SPECJALNY DODATEK **OD LENINO DO BERLINA**

www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 41 (979)
8-14.10.2018
Cena 5,80 zł
(w tym 8% VAT)

PIOTR NIEMCZYK:
SZÓSTA RANO. KTO PUKA?

SYLWIA SPUREK:
RZĄD ŁAMIE PRAWA CZŁOWIEKA

ANTYSZCZEPIONKOWA HISTERIA

WYBORY DLA 16-LATKÓW

KOŚCIUSZKOWCY

ŻOŁNIERZE WYMAZANI Z PAMIĘCI

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509-3115
41
9 771509 311805

WYTWÓRNIA FILMÓW DOKUMENTALNYCH I FABULARNYCH I KINO ŚWIAT PRZEDSTAWIAJĄ

FILM W REŻYSERII **MARKA KOTERSKIEGO**

TWÓRCY **DNIA ŚWIRA** I **BABY SĄ JAKIEŚ INNE**

7 UCZUĆ

WSZYSCY JESTEŚMY ŹLE WYCHOWANI

WYTWÓRNIA FILMÓW DOKUMENTALNYCH I FABULARNYCH PRZEDSTAWIA „7 UCZUĆ" W WYKONANIU STUDIEM PRODUKCYJNYM DRKA SP. Z O.O. WYKŁADY NA WARSZAWSKIEJ SZKOŁY FILMOWEJ POLSKIEGO INSTYTUTU SZTUKI FILMOWEJ

WYSTĘPUJĄ: MICHAŁ KOTERSKI, MARCIN DOROCIŃSKI, KATARZYNA FIGURA, MAŁGORZATA BOGDAŃSKA, GABRIELA MUSKAŁA, MARIA CUMELIS, ANDRZEJ MASTALERZ, TOMASZ KAROLAK, ANDRZEJ CHYRA, ROBERT WIĘCKIEWICZ, CEZARY PAZURA, ZBIGNIEW ROLA, MARCIN KWAŚNY, ILONA OSTROWSKA, SONIA BOHOSIEWICZ, DOROTA CHOTECKA, TOMASZ SĄFRYK, MAJA OSTASZEWSKA, ADAM WORONOWICZ, MAGDA BERUS, JOANNA KULIG, MARTA CHODOROWSKA, PIOTR GĄSOWSKI, MAGDALENA CELECKA, PIOTR TOŁECZKO, KATARZYNA MARIA ZIELIŃSKA, MATEUSZ BANASIUK, KAROLINA PORCARI, HANNA ŚLESZYŃSKA, ŁUKASZ SIMLAT, IZABELA DĄBROWSKA, EDYTA HERBUŚ, MARCELA LESZCZAK, VIOLA ARLAK, CEZARY ŻAK, KRYSTYNA CZUBÓWNA

SCENARIUSZ: TOMASZ MATRASZEK
REŻYSERIA: JUSTYNA STOLARZ
SCENOGRAFIA: PRZEMYSŁAW KOWALSKI
MONTAŻ: ARKADIUSZ GRODKOWSKI, MAREK KOTERSKI
ZDJĘCIA: MARIA CHŁADECKA, PAWEŁ JŁZWIECKI
MUZYKA: EWA SMAL
DŹWIĘK: ANDRZEJ BESZTAK
OPRACOWANIE MUZYCZNE: JERZY ZIELIŃSKI
ASOCIACJA PSC PRODUKCJA: KINO ŚWIAT
PRODUKCJA WYKONAWCZA: JACEK KULCZYCKI, MAGDALENA ZIMESKA
PRODUCENCI: WŁODZIMIERZ NIBERNAUS, RAFAŁ MAREK KOTERSKI

NAGRODA JURY MŁODYCH 43 FPFF GDYNIA 2018

W KINACH OD 12 PAŹDZIERNIKA

eprasa.pl 4ddd52fe30

CYTATY

WOJCIECH SMARZOWSKI, REŻYSER
Wierzę, że Polacy zaczną rozliczać duchownych z pedofilii – z ukrywania bandytów i tuszowania spraw.
„Polityka"

PROF. WIESŁAW ŁUKASZEWSKI, PSYCHOLOG OSOBOWOŚCI
Perfekcjonizm to uzależnienie pod wieloma względami podobne do alkoholizmu czy narkomanii.
„Charaktery"

KAYAH, PIOSENKARKA
Prawdziwy mężczyzna jest feministą wspierającym kobiety.
„Wysokie Obcasy"

MACIEJ MALEŃCZUK, MUZYK
Po raz pierwszy w historii chuliganie, ludzie wyjęci spod prawa, popierają rząd, popierają kler.
Onet

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Światowiec na obiedzie

Dzięki premierowi Morawieckiemu mamy nową wersję starego przysłowia. Kto taśmami wojuje, od taśm ginie. Sam Morawiecki jest tu tylko po drodze, bo na końcu będą, mam taką nadzieję, ci, którzy tym taśmociągiem sterują.

Po taśmach z nagraniami polityków PO ówczesna opozycja, czyli PiS, żądała dymisji Tuska i rządu. Bo wtedy były to taśmy prawdy. A teraz już nie są? Są. Choćby cała machina propagandowa rządzącej prawicy powtarzała jednym głosem, że na nagraniach z Morawieckim w restauracji Sowa i Przyjaciele nie ma nic, każdy będzie mógł posłuchać, co ten światowiec, modelowy katolik, purysta językowy oraz dżentelmen w angielskim stylu mówił. A jak posłucha, to się przekona, że wizerunek Morawieckiego z kampanii wyborczej do samorządów, z telewizji, kościołów i szkół, które odwiedza, nijak się ma do człowieka z restauracji. Ta różnica jest chyba zbyt wielka do przełknięcia nawet dla największych zwolenników PiS. Teraz tylko najgłupsi będą mogli jeszcze wierzyć w te cechy charakteru i stylu, których Morawiecki zwyczajnie nie ma. A co ma? Talent aktorski, którego po tym sztywnym bankowcu nikt się nie spodziewał. Ma też ogromną łatwość zmieniania poglądów, obozów politycznych i ocen na każdy temat.

Wiarygodność Morawieckiego legła w gruzach i nawet jeśli spece od wizerunku coś tam posklejają i wymyślą kolejne kampanie z tym herosem w roli głównej, pomoże mu to tyle, co umarłemu kadzidło. Może go reanimują? Może będziemy mieli premiera z odzysku? Ale trudno go sobie wyobrazić w starych rolach. Jego występy w kościołach i szkołach też. Bo knajacki język to nie jest bilet wstępu na rozmowy z uczniami. Ciekaw również jestem reakcji kobiet na prawdziwy język pana premiera. Bo pani wiceprezes PGE jakoś te wulgaryzmy nie przeszkadzały. I zachowania służb, bo zdaniem Morawieckiego każdy bank jest powiązany ze służbami.

Zobaczymy także, jak zagrają pisowskie służby, bo trudno uwierzyć, że taśmami dysponują kelnerzy i czekający na odsiadkę Falenta. Pogubili się politycy broniący Morawieckiego. Nie jest ich zresztą w PiS zbyt wielu, bo wyrósł na poważnego konkurenta innych liderów. I to oni są najbardziej zainteresowani wykorzystaniem taśm do osłabienia, a nawet wyeliminowania rywala. Dlatego opcja antyniemiecka w PiS z taką lubością powtarza, jak to Morawiecki wychwalał Angelę Merkel.

I z tymi faktami musi premier teraz żyć. Jego promotor polityczny także.

FAUL

„Miszczowie" zarządzania

Jak to możliwe, że coś tak zarządzanego jak Polska Grupa Zbrojeniowa jeszcze się nie zawaliło? Oczywisty cud. Możliwy tylko w Polsce. Bo tylko u nas przy kilkudziesięciu zakładach zbrojeniowych kręci się kilkuset kapelanów. Trzy lata rządów „dobrej zmiany" i piąty prezes PGZ. Byli już ludzie Macierewicza, Błaszczaka, teraz prezes jest od Morawieckiego. A wiceprezes od Błaszczaka. Sebastian Chwałek. Przez pół roku nadzorował zarząd i radę nadzorczą PGZ jako wiceminister obrony narodowej, a teraz oni wybrali go jako najlepszego kandydata na wiceprezesa PGZ. I to nie jest żarcik.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 4ddd52fe30

W NUMERZE

KRAJ

8 **PiS przestraszyło się antyszczepionkowców**
12 **Ten obcy**
Imigrant w polskiej szkole
14 **Morawiecki podsłuchany**
16 **Szósta rano. Kto puka?**
– rozmowa z Piotrem Niemczykiem
20 **O tym, który nie idzie na kompromis z zasadami**
„Dobra zmiana" dla kolegi Jakiego
52 **Rząd łamie prawa człowieka**
– rozmowa z dr Sylwią Spurek
58 **Samorządy same najlepiej wiedzą, co im potrzebne**
– rozmowa z Wiesławem Nasiłowskim
70 **Matki przedwczesne, matki późne**

ZAGRANICA

24 **Młodzież w kolejce do urn**
26 **Polityczna jesień Angeli i Andrei**
30 **Czyja Macedonia ważniejsza**
32 **Madryt – miasto, które nie pozwala zasnąć**
66 **Komu się odbija po sojowym latte**
74 **Szafran, czaj i baranina**

OD LENINO DO BERLINA

35 **Kościuszkowcy na drodze do niepodległości**
– rozmowa z gen. Zenonem Poznańskim i płk. Wiesławem Korgą
38 **Armia polska, a nie polskojęzyczna**
41 **Historii kościuszkowców nie da się zbrukać**
42 **Z Sybiru do Sielc**
45 **Kalendarium kościuszkowców**
46 **Znieważane platerówki**
48 **Krwawy chrzest bojowy**

OPINIE

54 **Małgorzata Żuber-Zielicz**
Gdzie znikają złotówki na edukację

KULTURA

64 **Qulturalia**
82 **Aleksandra Kalisz Un/Covered**

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Światowiec na obiedzie
22 **Bronisław Łagowski**
Wartość względna
29 **Jan Widacki**
Wszyscy przyjaciele Sowy
51 **Roman Kurkiewicz**
Kler, taśmy czy ustawy antyszczepionkowe
61 **Tomasz Jastrun**
Splot
63 **Edward Mikołajczyk**
Najwspanialsza pomyłka

12
KRAJ

TEN OBCY
Imigrant w polskiej szkole

32
ZAGRANICA

MADRYT – MIASTO, KTÓRE NIE POZWALA ZASNĄĆ

82
KULTURA

ALEKSANDRA KALISZ UN/COVERED

Projekt: Marta Bensalem

FOT. FoKa/FORUM

eprasa.pl 4ddd52fe30

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

JOANNA KOS-KRAUZE
Z łóżka nie zdążę wstać, a już mam przygody

WSZYSTKIE MIĘDLARY ŚWIATA
O nienawiści z ambony

CZAS NA ODCZULANIE!
Od alergii do astmy

Szkoda życia na Polskę?

W 2004 r. z ulgą wyjechałem z kraju „afery Rywina", potem wyjeżdżałem i wracałem jeszcze trzy razy. Teraz jestem w Polsce od trzech lat i powoli mam dość. Podpisuję się obiema rękami pod opiniami przedstawionymi w tym artykule. Część moich znajomych czeka jeszcze na wynik następnych wyborów, mnie chyba już się nie chce czekać. *Kacper Kozicki*

•

Jak wyjadą młodzi zdolni, zostaną starzy zdolni. Może otworzy się dla nich rynek pracy? Będą mogli spokojnie dorabiać do emerytury, aż do śmierci. *Grzegorz Jagielski*

Elita głęboko zakonspirowana

Czytam i lubię felietony Tomasza Jastruna, lecz ze stwierdzeniem z ostatniego, zatytułowanego „Tragiczna tajemnica" (PRZEGLĄD nr 40) całkowicie się nie zgadzam. Pisze pan Jastrun: „…jaka mała jest ta nasza elita". Powiedziałbym, że nasza elita jest raczej duża. Robi może wrażenie, że jest mała, bo większość jej członków w obecnej sytuacji przeszła do głębokiej konspiracji. Jak już będzie po wszystkim, a zapowiada się, że raczej nieprędko, wtedy większość elity się ujawni, chociażby w kolejce po nagrody za zasługi. Rozmnoży się jak króliki, jak to już nieraz w naszej historii bywało.

Sprawa druga. Może już czas, żeby szeroko rozumiana lewica przeszła do ofensywniejszych działań. Można by zacząć od zebrania się szerszego grona mądrych ludzi o lewicowych poglądach, bez udziału „skoczków", i wspólnie zastanowić się, co robić. Nie będę podpowiadał, kto to ma zacząć, ale chyba jest jeszcze w naszym kraju kilka kompetentnych osób, które mogłyby być zaczynem jakiejś głębszej odnowy życia politycznego w Polsce.

Edward Kałwiński

KOSZALIN W ROCZNICĘ BITWY POD LENINO

Koszaliński Komitet Obrony Lewicowych Tradycji serdecznie zaprasza na uroczyste spotkanie pod hasłem „Pokoleniowy przekaz prawdziwej historii", które odbędzie się w Koszalinie z okazji 75. rocznicy bitwy pod Lenino.

Celem uroczystości – otwartej dla mieszkańców Koszalina – jest oddanie hołdu uczestnikom bitwy pod Lenino oraz pokazanie prawdy historycznej o tamtych wydarzeniach wojennych.

Spotkanie odbędzie się 12 października o godz. 11.00 w siedzibie Koszalińskiego Komitetu Obrony Lewicowych Tradycji przy ul. Piłsudskiego 11-15 (parter).

ZDJĘCIE TYGODNIA

Zawieszony Cristiano Ronaldo ogląda mecz Juventusu i Young Boys z trybun stadionu swojego klubu, 2 października, Turyn.

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 4ddd52fe30

4388 osób, które ukończyły 100 lat, żyje w Polsce (dane GUS z lipca). Jest wśród nich 3345 kobiet i 1043 mężczyzn. Najwięcej stulatków mieszka na **Mazowszu** (1095), **Śląsku** (526) i w **Wielkopolsce** (404).

Polscy siatkarze prowadzeni przez Belga **Vitala Heynena** zostali **po raz drugi z rzędu mistrzami świata**. A **Bartosz Kurek** dostał nagrodę dla najlepszego zawodnika turnieju.

Zbigniew Preisner, wybitny kompozytor, otrzymał nagrodę na międzynarodowym festiwalu filmowym w Hajfie. Gdy, jak pisze Daniel Passent w „Polityce", organizatorzy poprosili ambasadora Magierowskiego o laudację, a sponsorem koncertu miał być Instytut Polski w Tel Awiwie, menedżerka artysty ogłosiła, że **„tak długo jak rządzi obecna partia, pan Preisner nie spotka się z przedstawicielami obecnej władzy"**.

Joanna Scheuring-Wielgus, posłanka Nowoczesnej, ujawniła nagranie, na którym prokurator **Stanisław Piotrowicz**, poseł PiS, broni byłego proboszcza z Tylawy, który przez wiele lat molestował małe dziewczynki. Obrzydliwe zachowanie przewodniczącego sejmowej Komisji Sprawiedliwości i Praw Człowieka. Ostatniego, który może pełnić taką funkcję.

O rzeczywistej sytuacji polskich firm świadczy ich **zadłużenie wobec ZUS**. W tym roku ponad pół miliona firm zalega ZUS z wpłatami składek w wysokości 3,5 mld zł.

Mamy **duży problem ze szczepieniami dzieci**. Większość wyborców PiS i Kukiz'15 uważa, że rodzice mają prawo odmówić wykonania obowiązku szczepienia swoich dzieci. Debata sejmowa i demagogia części mediów jeszcze ten problem pogłębia.

Towarzystwo Chrystusowe dla Polonii Zagranicznej musi zapłacić 24-letniej Katarzynie **1 mln zł zadośćuczynienia** za to, że jako 13-latka była gwałcona przez księdza Romana B. z tego zgromadzenia.

Witold Bańka jako minister sportu będzie miał w przyszłorocznym budżecie o **150 mln zł mniej środków na sport**. Tyle zostało z obiecanek premiera Morawieckiego.

Robert Winnicki, niezbyt rozgarnięty narodowiec i działacz Młodzieży Wszechpolskiej, **przegrał proces** z byłym komendantem głównym policji Markiem Działoszyńskim, którego w 2015 r. nazwał bandytą w mundurze. Musi za to zapłacić 24,1 tys. zł.

Polsat w 2017 r. często informował o **reformie Gowina**, czyli pracach nad tzw. konstytucją dla nauki. I dobrze. Ale niedobrze, że zrobił to za 270 tys. zł w wyniku umów zawartych z rządem.

PRZEBŁYSKI

Aktor Jaki

Można sporo przyoszczędzić. Bo odkąd PiS wyciągnęło z szuflady Patryka Jakiego, rozrywkę mamy za darmo. Facet ma niezwykły talent komiczny. Co się odezwie, to śmiechom nie ma końca. A znacie to o Jakim – studencie z Barcelony? Było tak. Jaki ogłosił, że skończył prestiżowe studia IESE Business School w Barcelonie. No cóż? Jaki zawsze miał pod górkę do szkoły. Może więc myślał, że 20-dniowy kurs w Warszawie to są studia? Bo dlaczego Unia Europejska zabuliła za niego 67 tys. zł? Ma też Jaki inne sukcesy. Jest kosmonautą, bo oglądał w telewizji loty Apolla i Sojuza. Jest też pisarzem aspirującym do Nobla, bo pisał notatki do Ziobry. I jest aktorem bliskim Oscara. Bo kto lepiej od niego gra niemotę?

Kto dawał zarobić krętaczom?

Czytanie prasy rządowej coraz częściej przypomina śledzenie relacji z walk bokserskich „dobrej zmiany". Bokserzy ze stajni „Gazety Polskiej", która na rękawicach ma wizerunek Macierewicza, okładają się z ekipą „Sieci" braci Karnowskich. Bracia szybko i łatwo zmieniają idoli. Teraz stawiają na Błaszczaka. Przypominają jego sukcesy w wyczyszczeniu MON i Polskiej Grupy Zbrojeniowej z przydupasów Macierewicza. I ostrzegają, że jakaś agencja PR wzięła się do niszczenia Błaszczaka, „bo pracuje uczciwie i nie daje zarobić krętaczom". Antoni mocno trafiony! Ale nie zatopiony.

Czarnecki matka i ojciec

Rychu Czarnecki miał udany tydzień. I dwa sukcesy. Jako wiceprezes Polskiego Związku Piłki Siatkowej jest matką złotego medalu. A jako ojciec Przemka załapał się na taśmy Morawieckiego z Sowy i Przyjaciół. Wiemy więc, jak młody Czarnecki trafił do roboty w banku Jagiełły. Rychu jest w swoich sprawach bardzo skuteczny. Wymusił na działaczach siatkówki wiceprezesurę. A na kolegach robotę dla syneczka. Wie też, jak się ustawić do kamery. Łaził z siatkarzami od lotniska do Dudy. I wszędzie ledwo było ich widać zza bardzo rozbudowanej sylwetki, jak mówią w PiS o europosłach, brukselskiego darmozjada.

Orion Jędrysek do egzorcysty

Jakiż umysł mógł spłodzić takie wersy: „chory penis", „rządzący agent niemiecki" i „gumowy ryj"? Wbrew pozorom odpowiedź nie jest trudna. Wystarczy trochę się skupić. Koleś jest z PiS? Brawo. Jest politykiem? Tak. Nazywa się Mariusz Orion Jędrysek? Bingo.
Partia matka obdarowała go wieloma tytułami. Jest głównym geologiem kraju, wiceministrem, posłem. Ale w głębi duszy Mariusz OJ jest poetą. Wrażliwą dziewczynką. A te bluzgi? To sprawka szatana. Egzorcyści, weźcie się do roboty. Bo tego przypadku ludzkim rozumem się nie ogarnie.

FOT. PACZAIZM.PL, MEMNEWS.PL

eprasa.pl 4ddd52fe30

www.mleczko.pl
www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Czy studenci medycyny powinni być obligowani do przepracowania określonego czasu w Polsce lub zwrotu pieniędzy za studia?

DR MAREK BALICKI,
lekarz, były minister zdrowia

14 lat temu Polska wstąpiła do Unii Europejskiej, opierającej się na swobodzie przepływu nie tylko kapitału, towarów i usług, ale także osób. A skoro tak, to każdy z nas ma prawo w każdym momencie zmienić miejsce zamieszkania w jej obrębie. Stworzenie bariery, o której mowa, kłóciłoby się z tym, co powszechnie zostało zaakceptowane przez polskie społeczeństwo. Alternatywa, czyli wprowadzenie płatnych studiów medycznych, też nie wydaje się rozwiązaniem problemu z niedoborem lekarzy. A poza tym bezpłatne studia są naszym prawem. Raczej należałoby kształcić tylu studentów i tworzyć – w pewnym sensie to się dzieje – takie warunki pracy, żeby zaspokoić potrzeby naszej służby zdrowia.

MARTYNA RÓWNIAK,
studentka WUM

Moim zdaniem absolutnie nie powinni być obligowani do zwrotu pieniędzy, ponieważ zgodnie z polskim prawem edukacja jest darmowa. Nie za bardzo rozumiem, dlaczego jeden kierunek miałby być specjalnie traktowany i jedna grupa zawodowa miałaby oddawać pieniądze, które państwo wyłożyło na jej edukację. Poza tym jest całkiem spora i co roku coraz większa grupa studentów, którzy płacą za swoje studia, wspierani przez rodziców lub dzięki zaciągnięciu kredytu. Oburzająca jest próba wprowadzenia straszaka w postaci kary finansowej zamiast zapewnienia wystarczającej liczby rezydentur dla osób, które chcą zostać w Polsce i tu pracować.

MARCIN SOBOTKA,
rzecznik Porozumienia Rezydentów OZZL

Moim zdaniem byłoby to niezgodne z prawem i stanowiłoby jawną dyskryminację studentów medycyny. Albo studia są bezpłatne dla wszystkich, albo każdy sam płaci za swoje wykształcenie. W jednym i drugim przypadku państwo nie ma prawa nikomu narzucać, gdzie ma pracować po zakończeniu edukacji. Państwo zdecydowało się na system bezpłatnych studiów, a następnie pozwala uczelniom otwierać określone kierunki ze ściśle wyznaczoną liczbą miejsc na nich, co oznacza, że potrzebuje właśnie tylu lekarzy, prawników czy architektów. Ale państwo musi również stworzyć takie warunki zatrudnienia w systemie opieki zdrowotnej, żeby młodzi lekarze chcieli po uzyskaniu dyplomu pracować w kraju. To, co teraz obserwują studenci medycyny w polskich szpitalach, nie nastraja ich optymistycznie na przyszłość. Dlatego głównym zadaniem Ministerstwa Zdrowia na najbliższe lata powinno być zapewnienie lekarzom takich warunków pracy i rozwoju zawodowego, żeby chcieli zostać w Polsce. Żadna forma przymusu nie będzie działała pozytywnie i odniesie skutek odwrotny do zamierzonego.

PAWEŁ TRUSZKOWSKI,
czytelnik PRZEGLĄDU

Znany piosenkarz James Blunt musiał odsłużyć w wojsku określony czas, ponieważ armia ufundowała mu studia. Nie ma powodu, by ten, kto ponosi koszty (czyli my, społeczeństwo w formie podatków), nie miał prawa wymagać czegoś w zamian. Oczywiście diabeł tkwi w szczegółach. Lekarze odpracowujący studia powinni mieć gwarancję możliwości specjalizacji i godziwych płac.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 4ddd52fe30

PiS PRZESTRASZYŁO SIĘ ANTYSZCZEPIONKOWCÓW

Posłowie partii rządzącej byli głusi na apele ministra zdrowia. Sejm będzie pracował nad projektem ustawy znoszącej obowiązkowe szczepienia

Ewa Rogowska

Antyszczepionkowcy mogą odtrąbić sukces. Nieduży, ale zawsze. Od kilku lat walczą o zniesienie obowiązku szczepień i wreszcie zrobili krok do przodu. W stanowisku rządu wobec obywatelskiego projektu napisano: „Obowiązkowe szczepienia ochronne są skuteczną i generalnie powszechnie społecznie akceptowaną metodą zapobiegania zachorowaniom na choroby zakaźne". A minister zdrowia Łukasz Szumowski stwierdził w Sejmie: „Dobrowolność szczepień jest groźna dla wszystkich Polaków. Moje stanowisko, jako resortu i oczywiście rządu, do projektu jest negatywne".

Posłowie partii rządzącej okazali się jednak głusi na apele ministra. A także ludzi, którzy nie chcą umierać z powodu epidemii.

Rząd zresztą miał w tej w tej sprawie rozdwojenie jaźni. Minister rodziny, pracy i polityki społecznej Elżbieta Rafalska mówiła w radiu, że skoro jest to projekt obywatelski, podpisany przez 120 tys. osób, powinno się dać mu szansę, czyli skierować go do komisji. Minister zdrowia był bardziej surowy. Pytał: „Czy dlatego, że są powikłania, nie powinniśmy wykonywać operacji wyrostka czy pęcherzyka u dziecka? No chyba nie". Jest źle, że ta ustawa jest – stwierdził – ale dobrze, że jest dyskusja, bo może uda się przekonać osoby z ruchów antyszczepionkowych, że szczepienia są konieczne.

RACJE PARTYJNE PRZED ZDROWOTNYMI

Na początku było ze 30 osób, potem może trzy razy tyle. Europoseł Janusz Korwin-Mikke stał z nimi. Człowiek z megafonem powiedział do niego: „Takich mądrych ludzi jak pan nam potrzeba". Poseł uśmiechnął się uśmiechem Trumpa, ale mimo komplementu opuścił manifestację, która – choć zapowiadana na wiele tysięcy osób – zgromadziła garstkę. Ogólnopolskie Stowarzyszenie Wiedzy o Szczepieniach Stop NOP skrzyknęło ludzi na 3 października, bo w Sejmie miała się odbyć dyskusja o projekcie obywatelskim ustawy dotyczącej szczepień. Zgodnie z nim ze wszystkich artykułów i paragrafów miałoby zniknąć określenie „obowiązkowe". To znaczy, że zostałby zlikwidowany obowiązek szczepień dzieci od lat 0 do 19. Projekt zaprezentowała w Sejmie Justyna Socha, twórczyni i prezes stowarzyszenia.

Nazajutrz tuż po godz. 10 posłowie dwukrotnie głosowali nad projektem ustawy o zmianie ustawy. Pierwsze głosowanie dotyczyło odrzucenia projektu w I czytaniu. Z 407 głosujących posłów 230 było przeciw odrzuceniu projektu, za odrzuceniem – 172, a pięć osób wstrzymało się od głosu. Przeciw odrzuceniu głosowali niemal wszyscy posłowie PiS (pięciu było za) i Kukiz'15.

> Do końca czerwca br. w Polsce nie poddało się obowiązkowym szczepieniom 34 tys. osób. Przez cały ubiegły rok – 26 tys.

W drugim głosowaniu posłowie decydowali o skierowaniu projektu do Komisji Zdrowia i do Komisji Polityki Społecznej i Rodziny. Tym razem głosowało 412 posłów, 252 było za, przeciw – 158, a dwóch wstrzymało się od głosu. Przeciw skierowaniu do komisji głosował tylko jeden poseł PiS – Michał Cieślak, absolwent Uniwersytetu Rolniczego im. H. Kołłątaja w Krakowie, magister inżynier agroekonomii.

W Sejmie z powodu ustawy o szczepionkach wrzało przez dwa dni. Jeden z posłów opozycji upomniał szefową Stop NOP, że nie powinna w trakcie dyskusji robić sobie selfie i chichotać. Po głosowaniu poseł Bartosz Arłukowicz powiedział, że skierowanie projektu do komisji jest skandalem. Piotr Liroy-Marzec, poseł niezrzeszony, szef czteroosobowego Parlamentarnego Zespołu ds. Bezpieczeństwa Programu Szczepień Ochronnych Dzieci i Dorosłych, zamiast odnieść się do samego projektu, odniósł się do słowa skandal użytego przez Arłukowicza. – Skandalem jest to, że przez wszystkie te lata musimy patrzeć na wasze złodziejstwo i na wszystko to, co wy robicie. 40 mln ludzi patrzy na was, a wy mówicie, że nie chcecie nawiązać dyskusji z ponad 100 tys. Polaków. Skandalem jest, że się nazywacie obywatelska. Tu nie chodzi o to, czy ludzie mają rację, czy nie mają. Od tego jest komisja i specjaliści – powiedział specjalista od szczepionek Liroy-Marzec.

Patryk Jaki, który wielokrotnie występował na konferencjach z przedstawicielami ruchów antyszczepionkowych, tym razem ich zawiódł, bo postąpił wbrew ich nadziejom i partyjnej instrukcji.

Szybko jednak się poprawił. W pierwszym głosowaniu był za odrzuceniem projektu w I czytaniu. Podobnie głosowali Mariusz Kamiński, Józefa Szczurek-Żelazko, Grzegorz Tobiszowski i Łukasz Zbonikowski. Z tego grona tylko Szczurek-Żelazko ma wykształcenie medyczne. Wiceprzewodnicząca klubu parlamentarnego PiS Jolanta Szczypińska, pielęgniarka dyplomowana, racje partyjne umieściła przed zdrowotnymi i głosowała przeciw odrzuceniu projektu. W drugim głosowaniu wszyscy „odszczepieńcy" zagłosowali za skierowaniem projektu do Komisji Zdrowia i do Komisji Polityki Społecznej i Rodziny.

„Szczepionki są dobre, ruch antyszczepionkowy jest groźny. Szczepienia

eprasa.pl 4ddd52fe30

są bardzo ważne, fundamentalne. Kiedyś umówiliśmy się, że w przypadku projektów obywatelskich PiS będzie głosowało za skierowaniem do komisji, ale bywało różnie", stwierdził marszałek Senatu Stanisław Karczewski, lekarz chirurg z wykształcenia. I powiedział, że gdyby był posłem, zagłosowałby przeciwko dalszemu procedowaniu nowelizacji.

„ARGUMENTY" I ARGUMENTY

Na wynik głosowania w Sejmie antyszczepionkowcy musieli zareagować euforią. Stało się, jak chcieli. Kiedy dzień wcześniej pojawili się na demonstracji przed parlamentem, wcale nie byli pewni, że głosowanie tak się zakończy, choć gromko wykrzykiwali: „Stop NOP!" i „Wygramy!". Ale prywatnie niektórzy przyznawali, że nie bardzo w to zwycięstwo wierzą, choć wolą głośno o tym nie mówić, by nie zapeszyć. Jedni trzymali transparenty z hasłami, drudzy rozpięli białe „antyszczepionkowe" parasole. I maszerowali ulicami w sąsiedztwie Sejmu, nawołując przechodniów: „Chodźcie z nami!".

Byli w różnym wieku. Ewa, rocznik 1944. Przyszła, bo uważa, że szczepionki to zło wcielone. Ona jako dziecko nie została zaszczepiona na odrę, zachorowała, przeżyła i żyje do dziś. Można? Można.

Anna i Krzysztof przyjechali aż z Dublina. Przywieźli ze sobą synów: siedmiolatka i trzymiesięczną kruszynkę. W ubiegłym roku Krzysztof ze starszym synem też uczestniczyli w takiej demonstracji. Anna ze względu na ciążę została wtedy w domu. U nich było tak: starszy syn był szczepiony zgodnie z irlandzkim kalendarzem szczepień, choć nie są one obowiązkowe. Kiedy jednak zauważyli, że syn nie mówi tak biegle jak rówieśnicy, nie rośnie tak szybko jak oni i ma zaburzenia sensoryczne, doszli do wniosku, że to wynik szczepionki. Dlatego postanowili, że więcej go nie zaszczepią i będą protestować przeciw obowiązkowym szczepieniom w Polsce – bo może kiedyś tu wrócą. A gdy urodził się drugi syn, zdecydowali, że nie będą go szczepić przeciw czemukolwiek. Zapominają, że kiedy – jak teraz – przyjadą z nim do Polski, będzie narażony na choroby, które być może nie stanowią zagrożenia w Irlandii.

Justyna podkreśla, że większość antyszczepionkowców to ludzie, którzy w rodzinie mają osobę z NOP, czyli niepożądanym odczynem poszczepiennym. I przekonuje, że nie jest oszołomką, ale zwyczajną matką, która do końca życia będzie się opiekować chorym na autyzm synem. – Do 17. miesiąca życia syn przyjął wszystkie szczepionki przewidziane w kalendarzu – wspomina. – Normalnie się rozwijał, mówił, chodził. Kiedy wróciliśmy z ostatniego szczepienia, źle się czuł, dostał gorączki, potem nie było z nim kontaktu. Lekarz najpierw uspokajał, że tak może się zdarzyć, ale po kilku dniach był bardzo zaniepokojony. Syn ma stwierdzony NOP i bezterminowo odroczone szczepienia. Chodziliśmy z nim od lekarza do lekarza. W końcu lekarze orzekli, że ma autyzm. Jest niepełnosprawny i zawsze będzie wymagał opieki rodziców lub opiekunów. Nie wiadomo do końca, jaki jest wpływ szczepionek na zdrowie ludzi. Czy to przypadkiem nie one przyczyniają się do zachorowań na raka czy choroby autoimmunologiczne.

Sabina Szafraniec kiedyś pojawiała się na demonstracjach antyszczepionkowców, wojowała przeciw temu ruchowi na transparenty i na hasła krzyczane przez megafony. Teraz doszła do wniosku, że cenniejsza jest merytoryczna dyskusja. Dlatego ani ona, ani nikt związany z jej Stowarzyszeniem Parasol dla Życia nie przyjechali do Warszawy, by zorganizować kontrmanifestację pod Sejmem. Bo ona w przeciwieństwie do antyszczepionkowców jest entuzjastką szczepień. I wie, że gdyby 13 lat temu w kalendarzu szczepień było to przeciw pneumokokom, jej syn Jakub byłby zdrowy.

Jakub urodził się w 2005 r. W tym samym roku, 6 października, zachorował na śmiertelną chorobę – pneumokokowe zapalenie opon mózgowych w przebiegu z sepsą, zapaleniem płuc i obustronnym zapaleniem ucha środkowego. W szpitalu lekarze stwierdzili, że chłopiec ma małe szanse na przeżycie. A jeśli nawet by przeżył, szanse na to, że fizycznie i psychicznie będzie w takim stanie jak przed chorobą, były równe zeru. Ale stał się cud – jak mówi Sabina. Kuba zaczął się wybudzać, zaczął nawiązywać kontakt z otoczeniem. – Bóg oddał nam Jakuba – wspomina teraz jego mama. Po ośmiu tygodniach malec został wypisany do

eprasa.pl 4ddd52fe30

domu. Ale już w tym momencie było wiadomo, że w wyniku choroby pewne partie jego mózgu zanikły. Ze zdrowego dziecka stał się dzieckiem niepełnosprawnym. Sabina postanowiła wówczas, że będzie walczyć o to, by szczepienia przeciw pneumokokom zostały wprowadzone na listę obowiązkowych.

– Nawet w Rumunii te szczepienia były obowiązkowe – zaznacza. – Proszę zobaczyć, ile czasu nam zajęło, by wprowadzić je w Polsce. Opcje rządzące się zmieniały, a parlamentarzyści wciąż nie zajmowali się tą sprawą. Ile dobrze opracowanych publikacji naukowych wysłaliśmy do nich! W ciągu kilku lat powstały też dwa poważne raporty. A Sejm się przyglądał i przez siedem lat nic nie zrobił. Cieszę się, że w końcu to szczepienie zostało wprowadzone na listę. Moim zdaniem dobrodziejstwo, które wynika ze szczepień, jest ogromne. Ale trzeba pamiętać, że każdy produkt farmaceutyczny ma działanie uboczne.

ODMOWA CORAZ CZĘŚCIEJ

Do końca czerwca br. w Polsce obowiązkowym szczepieniom nie poddało się 34 tys. osób. Wzrost znaczny, bo przez cały ubiegły rok było ich 26 tys. To problem dla społeczeństwa, bo te osoby nie żyją na bezludnej wyspie.

– Są pewne grupy, które nie mogą być szczepione, ale muszą być chronione – mówi prof. Ewa Helwich, kierownik Kliniki Neonatologii i Intensywnej Terapii Noworodka Instytutu Matki i Dziecka w Warszawie. – Do tych grup należą osoby po przeszczepach, które są leczone lekami zmniejszającymi odporność, osoby z istotnymi zaburzeniami neurologicznymi, np. padaczką. Przecież także dzieci chorują na białaczkę i mają przeszczepiany szpik, mają przeszczepy narządów czy zaburzenia neurologiczne. Szczególnie groźny dla małych niemowląt i wcześniaków jest koklusz. Dzieci są szczepione przeciw tej chorobie najwcześniej w trzecim miesiącu życia. Groźna jest również grypa. Świadomi rodzice szczepią się przeciwko grypie, podobnie jak rodzeństwo malucha i dziadkowie. Wówczas prawdopodobieństwo zachorowania niemowlęcia spada o 50%.

Ruchy antyszczepionkowe straszą rodziców autyzmem i groźnymi niepożądanymi odczynami poszczepiennymi. Przytaczają prace dr. Andrew Wakefielda. Kilkanaście lat temu opublikował on w piśmie „Lancet" artykuł, z którego wynikało, że u ośmiorga z dwanaściorga dzieci, które trafiły do szpitala w Londynie po zaszczepieniu przeciwko odrze, śwince i różyczce, wystąpiły objawy autyzmu. Po 12 latach okazało się, że te wyniki były fałszywe.

– Nie ma żadnej wątpliwości, że autyzm nie jest wynikiem szczepień – twierdzi prof. Helwich. – To twierdzenie było oparte na kłamstwie. Niepożądany odczyn poszczepienny w 90% ma łagodny przebieg. Zaledwie jeden na ileś milionów NOP niesie poważne zagrożenie. Trzeba tych ludzi, którzy występują przeciw szczepionkom, przekonywać, odsyłać do źródeł, które informują rzetelnie na ten temat. Aby wyeliminować NOP, stworzono wzory bardzo precyzyjnych wywiadów rodzinnych. My w naszej klinice mamy do czynienia m.in. z wcześniakami. Nie spotykamy się z odmową szczepień ze strony tych rodziców. Oni widzą, jak tygodniami walczymy o życie ich dzieci, więc nam ufają i wiedzą, że robimy wszystko dla dobra naszych najmniejszych pacjentów i wiemy, jak to robić.

> Rząd miał w sprawie projektu ustawy o zniesieniu obowiązku szczepień rozdwojenie jaźni.

Antyszczepionkowcy szczególnie negatywnie podchodzą do szczepień w pierwszej dobie po urodzeniu – wtedy szczepi się noworodka przeciw gruźlicy i wirusowemu zapaleniu wątroby typu B. W ubiegłym roku, aby ochronić noworodka przed szczepieniami, rodzice porwali swoje dziecko ze szpitala w Białogardzie i schronili się pod skrzydłami Stop NOP.

– Na Białorusi i Ukrainie jest sporo zachorowań na gruźlicę – mówi prof. Helwich. – Dlatego nie można u nas wycofać szczepienia na tę chorobę. Światowa Organizacja Zdrowia daje przyzwolenie na rezygnację z tego szczepienia, jeśli zapadalność na gruźlicę jest mniejsza niż pięć przypadków na 100 tys. obywateli. Na razie u nas jest zbyt wysoka – wynosi 6,3 na 100 tys. Ale niektóre osoby występujące przeciw szczepieniom są słabo wyedukowane. Na przykład wierzą, że przechorowanie naturalne choroby daje lepszą odporność. To nieprawda. W szczepionce są albo martwe bakterie, albo odpowiednio dobrane żywe. Na pewno jest to bezpieczniejsze niż zachorowanie. Mama niemająca wiedzy medycznej wiąże jakieś negatywne zdarzenie ze szczepieniem, podczas gdy może ono nie mieć żadnego związku.

DROGA DO EPIDEMII

Państwowy Zakład Higieny – Narodowy Instytut Zdrowia zajmuje się m.in. oceną sytuacji epidemiologicznej chorób bakteryjnych i wirusowych, którym można zapobiec drogą szczepień, a także oceną skuteczności szczepień. Tu trafiają informacje z całej Polski dotyczące osób, które nie poddały się szczepieniu obowiązkowemu. Populacja objęta szczepieniami obowiązkowymi, czyli dzieci od 0 do 19 lat, to w Polsce ok. 6 mln osób. Przez dziesiątki lat liczba niezaszczepionych utrzymywała się na poziomie 3-3,5 tys. Dopiero w ostatnich czterech-pięciu latach nastąpił jej znaczący wzrost, którego przyczyną było powstanie ruchów antyszczepionkowych. PZH nie prowadzi statystyk, jakie były powody niepoddania się szczepieniu.

– Ze względu na nasilenie się tego zjawiska dobrze byłoby zacząć ujmować w statystykach powody niezaszczepienia, jakich szczepionek to dotyczyło i w jakim wieku były te osoby – mówi dr Iwona Paradowska-Stankiewicz, która jest krajowym konsultantem w dziedzinie epidemiologii i kierownikiem Pracowni Epidemiologii Chorób Zwalczanych Drogą Szczepień PZH. – Nie wszystkie przypadki wynikają z tego, że rodzice odmawiają poddania dziecka szczepieniu, chociaż grozi za to kara pieniężna. Część przypadków jest odroczona przez lekarza np. z powodu choroby.

Sytuacja epidemiologiczna w Polsce zmienia się w czasie. – Jednak w przypadku chorób, którym zapobiegamy przez szczepienia, ta sytuacja była przez wiele lat stabilna i korzystna – zwraca uwagę dr Paradowska-Stankiewicz. – Okresowo obserwujemy zjawiska pogorszenia się sytuacji epidemiologicznej. Na przykład przez lata na krztusiec chorowało rocznie ok. 2 tys. osób. Tymczasem w 2015 r. zachorowało 5 tys., a w 2016 r. – 7 tys. Kiedyś krztusiec był uważany za chorobę wieku dziecięcego, mimo że

eprasa.pl 4ddd52fe30

W demonstracji antyszczepionkowców pod Sejmem wzięło udział niewiele osób.

można na niego chorować kilka razy w życiu. W tej chwili zauważyliśmy, że choruje także młodzież w wieku 13-15 lat i seniorzy. Te osoby, które korzystają z wiedzy merytorycznej na temat szczepień, a mają w domu niemowlę lub spodziewają się przyjścia na świat dziecka, poddają się szczepieniom przeciw krztuścowi. To szczepienie jest zalecane kobietom w ciąży od 28. tygodnia, bo kobieta zaszczepiona wytwarza przeciwciała i dzięki temu również dziecko je ma. To jest tzw. strategia kokonowa.

Źródłem zakażenia dziecka krztuścem może więc być osoba dorosła. Jeżeli dorośli cierpią z powodu kaszlu, który utrzymuje się przez dwa, trzy albo cztery tygodnie, to lekarz szuka różnych przyczyn, ale jedną z najmniej prawdopodobnych jest krztusiec, kojarzony z wiekiem dziecięcym. Tymczasem ochrona poszczepienna przeciw krztuścowi trwa najwyżej 5-10 lat i po tym czasie każdy powinien się doszczepić. Zazwyczaj ludzie tego nie robią, uważając, że są uodpornieni na całe życie. Najbardziej zagrożone są osoby, które pracują np. w szpitalach na oddziałach neonatologii, w żłobkach, przedszkolach, szkołach, domach opieki. One są doszczepiane.

Poziom zaszczepienia jest niezwykle ważny. W Polsce zaszczepienie chorób objętych obowiązkowymi szczepieniami wynosi 97-99%. Jeśli w przypadku którejkolwiek z chorób spadłoby ono do 80-85%, groziłby wybuch epidemii. Dr Paradowska-Stankiewicz: – Niektórzy mówią, że skoro nie ma jakiejś choroby, to nie trzeba szczepić dziecka przeciw niej. Nic bardziej mylnego! Właśnie dlatego ta choroba nie występuje, że dzieci są szczepione.

Owszem, dr Paradowska-Stankiewicz przyznaje, że po niektórych szczepieniach pojawia się NOP. Antyszczepionkowcy uważają, że nie wszystkie przypadki są rejestrowane, że się je zataja. – To nieprawda, każdy taki przypadek, jeśli lekarz rozpoznaje lub podejrzewa NOP, jest zgłaszany do sanepidu, a stamtąd informacja trafia do PZH – zapewnia. – U nas te zgłoszenia są rejestrowane i analizowane. Co roku wydajemy „Biuletyny

Zaszczepienie chorób objętych obowiązkowymi szczepieniami wynosi 97-99%.

Szczepień Ochronnych", w których publikowane są dane o NOP. Rocznie występuje ich w Polsce ok. 2-3 tys. Jako NOP może być uznane zdarzenie, które wystąpiło 30 dni od szczepienia. Ale np. w Niemczech nie traktują jako NOP wzrostu temperatury powyżej 38 st. C, a u nas tak. Trzeba brać pod uwagę sytuację, w jakiej wystąpił np. wzrost temperatury. Jeśli kilka dni po szczepieniu dziecko miało jakiś uraz nogi, powiedzmy otarcie, to można przypuszczać, że wzrost temperatury, który po nim nastąpił, będzie raczej spowodowany tym urazem, a nie szczepieniem. Każdy przypadek podejrzenia NOP wymaga więc szczegółowej analizy.

•

Jaki będzie dalszy los obywatelskiego projektu ustawy o zmianie ustawy o zapobieganiu oraz zwalczaniu zakażeń i chorób zakaźnych? Któż to może wiedzieć. Jeśli partia rządząca uzna, że elektorat antyszczepionkowców jest godny uwagi, nowela może przejść przez Sejm, Senat i biurko prezydenta w jeden dzień.

Co wtedy? Rodzice, zwolnieni z myślenia przez wcześniejszą ustawę, nakładającą na nich obowiązek szczepienia dziecka, wcale nie zaczną myśleć. Tak sądzę.

Być może zaczną szukać odpowiedzi na swoje wątpliwości w kręgach magicznych. Codziennie kilka stacji telewizyjnych nadaje w godzinach nocnych programy ezoteryczne, a magowie, tarociści, wróżbici, odczyniacze zła i przywoływacze dobra radzą ludziom, jak żyć. Na razie odcinają różne powiązania energetyczne z przodkami, odczyniają klątwy, radzą, z którą kobietą/z którym mężczyzną warto się związać, co zrobić, by sprawa spadkowa potoczyła się po naszej myśli, jakie decyzje podjąć w sprawie biznesu, jeśli nie ma się dostępu do źródła, czyli planowanych rozstrzygnięć ustawowych, o których mówi się w niedostępnych kuluarach.

Nigdy w czasie takiego programu nie spotkałam się z pytaniem: „Czy mam zaszczepić dziecko przeciw gruźlicy?". Ale oczami wyobraźni widzę kogoś pytającego: „Panie Macieju, za dwa dni mogę, choć nie muszę, zaszczepić dziecko przeciw gruźlicy (błonicy, krztuścowi, śwince, odrze, ospie wietrznej, ostremu nagminnemu porażeniu dziecięcemu, różyczce, tężcowi, wirusowemu zapaleniu wątroby typu B, wściekliźnie). Co mam robić?". I ciekawa jestem odpowiedzi wróża.

Dr Paweł Grzesiowski z Centrum Medycyny Zapobiegawczej i Rehabilitacji powiedział, że zniesienie obowiązkowych szczepień będzie miało złe skutki. W przeszłości, kiedy upadł Związek Radziecki i załamał się tamtejszy system szczepień, w Europie była epidemia błonicy, której nikt nie widział od kilkudziesięciu lat. A spiskowa teoria dziejów mówi, że za polskimi antyszczepionkowcami stoi Putin. Choć oni sami o tym nie wiedzą.

Ewa Rogowska

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (2), KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 4ddd52fe30

Katarzyna Wierzbicka

Rozpoczęcie roku szkolnego w Szkole Podstawowej w Berezówce.

TEN OBCY

„Dla dobra dzieci" polscy rodzice zażądali usunięcia z klasy czeczeńskiego dziewięciolatka

Zakończenie roku szkolnego. Dzieci recytują wierszyk dla nauczycieli – poza jednym chłopcem. Nieco starszy od kolegów, rudawy dziewięciolatek stoi z boku, uśmiechając się szeroko do kamery smartfona. Wygląda na bardzo podekscytowanego – to jego pierwsze zakończenie roku w nowej szkole. Pod koniec przedstawienia każde dziecko wręcza nauczycielom różę. Robi to również chłopiec, tyle że kwiatek daje nie wychowawczyni, ale szkolnej socjoterapeutce. Potem jest piosenka o wakacjach (rudy uczeń nie śpiewa, wciąż się uśmiechając, obserwuje ruchy ust kolegów), a następnie dzieci idą do klas na wręczenie świadectw. Poza rudawym dziewięciolatkiem – on otrzyma świadectwo osobno. Będzie na nim napisane, że nie dostał promocji do klasy trzeciej. O tym jednak dowie się dopiero po jakimś czasie, kiedy mówiący po rosyjsku lub czeczeńsku wolontariusze przetłumaczą dokument jego mamie.

Rudy chłopiec to Arbi, a filmik z zakończenia roku nakręciła jego mama Amina, która dwa lata temu uciekła z Czeczenii z Arbim i jego młodszą o siostrą. Pierwszy rok w Polsce chłopiec spędził w strzeżonym ośrodku dla cudzoziemców. Kiedy Amina dostała decyzję pozwalającą jej na pozostanie w kraju, rodzinie, dzięki wsparciu organizacji pozarządowych, udało się wynająć pokój z kuchnią.

Do klasy, którą widzimy na filmie, Arbi trafił na początku grudnia zeszłego roku. Po mniej więcej miesiącu rodzice polskich dzieci zażądali usunięcia chłopca ze szkoły. Pretekst: kilka razy użył niecenzuralnego słowa i popchnął kolegę. Wobec retoryki o „dobru naszych dzieci" nie pomogły argumenty, że podobne wykroczenia zdarzają się większości uczniów.

Ostatecznie dyrekcji udało się czasowo udobruchać rodziców, izolując chłopca od reszty klasy. O uczestniczeniu w klasowych wycieczkach nie było mowy. Na pytanie, czy cokolwiek przeszkadza mu w szkole, Arbi odpowiada: „Nie. Ja wszystkich lubię", po czym zmienia temat.

JAK ZROZUMIEĆ LEKCJĘ

Dokładna liczba dzieci imigrantów w polskich szkołach nie jest znana. Jak podaje portal „Rzeczpospolitej", w Warszawie jest ich ok. 3,5 tys., w Krakowie – ponad 2 tys., w Białymstoku – ok. 500. Do tego dochodzą jeszcze Lublin (ok. 300), Poznań (ok. 150) i mniejsze miasta. Najwięcej przybyszów pochodzi z Ukrainy, Wietnamu i Czeczenii.

Uczniowie imigranci to zarówno dzieci, których rodzice mówią po polsku i orientują się w systemie edukacji, jak i te, które – często po ciężkich przeżyciach w kraju pochodzenia – trafiają do strzeżonych ośrodków, a po polsku mówią słabo. Rodziny tych drugich nie są pewne, kiedy i czy w ogóle dostaną pozwolenie na pobyt, żyją w ciągłym poczuciu tymczasowości, cierpią niedostatek i z trudem starają się spełniać wymagania stawiane przez szkołę. Do tej grupy należą Amina i jej dzieci. To właśnie one stają się obiektem niechęci ze strony rówieśników i ich rodziców.

W przypadku Arbiego i innych cudzoziemskich uczniów pierwszą barierą w integracji jest język. Problem ten dotyczy szczególnie tych dzieci, które nie mówią po rosyjsku ani w innym języku słowiańskim. – Zupełnie inaczej pracuje się z małym dzieckiem z Ukrainy i np. z nastoletnim Irakijczykiem – mówi Marysia Złonkiewicz z Fundacji Polska Gościnność, która prowadzi program wsparcia w nauce dla dzieci imigrantów. – Ustawowe dwie godziny polskiego w tygodniu to zdecydowanie za mało. Lekcje są często po południu, kiedy dzieci mają dużo mniejszą zdolność skupienia. Do tego nauczyciele, którzy prowadzą te lekcje, nie są odpowiednio przygotowani. Czym innym jest prowadzenie lekcji języka polskiego w grupie dzieci polskich, a czym innym uczenie go jako języka obcego.

– Dwie godziny lekcyjne nauki polskiego w tygodniu to jakieś 80 godzin na rok. Za mało, żeby nauczyć się czegokolwiek, a co dopiero zupełnie nowego języka – dopowiada Hanna Szewczyk, nauczycielka w jednej z warszawskich podstawówek, prowadząca również lekcje języka dla uczniów spoza Polski. – Dziecko, które nie rozumie treści lekcji, bardzo szybko przestanie w nich uczestniczyć.

ŻYCIE W NIEPEWNOŚCI

Ale nie tylko bariera językowa utrudnia adaptację w szkole. – Wiele

eprasa.pl 4ddd52fe30

zależy od indywidualnych cech dzieci: sytuacji ich rodziny, wcześniejszych przeżyć i cech charakteru – wskazuje Marysia Złonkiewicz. – Duże znaczenie ma poczucie bezpieczeństwa. W naszym programie mamy dziewczynkę, która została porwana ze szkoły w kraju, z którego pochodzi. Do dziś boi się rozstawać z mamą.

Kamil Kamiński, psycholog pracujący z rodzinami uchodźców: – Znamy rodzinę, którą straż graniczna już wywiozła na lotnisko w celu deportacji. Ostatecznie do niej nie doszło, ale chłopiec przestał chodzić do szkoły. Bał się, że go złapią i wywiozą. Dopiero dzięki pomocy psychologów i psychiatrów zaczął funkcjonować względnie normalnie.

– Część tych rodzin latami ubiega się o prawo pobytu, pisząc kolejne odwołania, czekając na kolejne przedłużenia – dodaje Kamil Kamiński. – Często zwyczajnie nie ma głowy do tego, żeby w pełni zająć się edukacją swoich dzieci. Niektórzy nie wiedzą, jak długo zostaną w Polsce, czy nie będą musieli za chwilę uciekać dalej.

Według danych Urzędu ds. Cudzoziemców o status uchodźcy ubiega się 878 dzieci migrantów w wieku szkolnym. Zdecydowana większość nie otrzymuje prawa do ochrony międzynarodowej. Ci, którzy mogą pozostać w Polsce, najczęściej dostają zgodę na pobyt tymczasowy. Jeśli sąd nie przedłuży zgody na pozostanie w kraju, migrant musi go opuścić.

Zdarza się, że decyzja o deportacji zapada, gdy uczeń zdążył już się zaadaptować i zżyć ze szkolnymi rówieśnikami. Tak było z Walentyną Kalaitan z Ukrainy, która w Polsce mieszkała dwa lata. Mimo petycji i protestów szkolnych kolegów została deportowana kilka miesięcy przed maturą.

Podobny los spotkał 10-letniego Mikaiła Turpalowa i 13-letniego Kharona Aldamowa z Czeczenii. Chłopcy chodzili do dzielnicowego klubu sztuk walki. Po pół roku treningów mieli jechać na mistrzostwa Polski. „Obie rodziny zaraz po przyjeździe złożyły wniosek o przyznanie ochrony międzynarodowej – czytamy na stronie „Gazety Wyborczej". – Decyzja była odmowna. O tym, że rodzinom kończy się wiza, poinformował rodziców dzielnicowy. Już drugiego dnia rodzina Mikaiła wsiadła do pociągu do Rosji".

PODSTAWÓWKĘ ZMIENIAŁEM TRZY RAZY

Ciągłą niepewność nasilają praktyki straży granicznej. – Na przesłuchania straży granicznej trzeba się stawić razem z dziećmi. To oznacza, że rodzice nie idą do pracy, a dzieci do szkoły – tłumaczy Marysia Złonkiewicz. – Bardzo często urzędnicy zapowiadają wizytę konkretnego dnia, cała rodzina czeka wtedy w domu, a oni nie przychodzą. A potem przychodzą bez zapowiedzi. Zdarza się też, że wizyta straży granicznej kończy się deportacją.

Hanna Szewczyk: – Wspólną cechą rodziców dzieci spoza Polski jest brak zaufania do szkoły, tak jakby ich wcześniejsze doświadczenia z instytucjami były złe. Mama jednego z naszych ukraińskich uczniów dopiero w drugiej godzinie rozmowy uwierzyła, że wzywamy ją do szkoły po to, żeby współpracować, a nie dlatego, że chcemy źle dla jej dziecka. Musiał minąć rok, żeby sama zaczęła zgłaszać do nas problemy syna z nauką.

Aby poradzić sobie w szkolnej rzeczywistości, dzieci cudzoziemców często muszą wykazywać więcej siły i samozaparcia niż polscy rówieśnicy. A jednocześnie wymagania wobec nich są niekiedy bardziej wyśrubowane. – Jak polskie dziecko kogoś uderzy, mówi się, że „to tylko dziecko" albo „to tylko kłótnia" – wytyka pochodzący z Czeczenii Elsi Adajew, który przyjechał do Polski 18 lat temu. – Jak uderzy dziecko muzułmańskie, to dlatego, że jest „agresywne".

Elsi kilka lat temu skończył szkołę. Ale początki nie były łatwe: – Podstawówkę zmieniałem trzy razy. Zawsze było to samo: byłem wyzywany, często musiałem się bić we własnej obronie. Jak oddawałem, natychmiast była afera. Nieraz słyszałem: terrorysta, kozojebca, morderca. Kiedyś koledzy z klasy zagrozili mi, że pobiją mnie w 11 osób. Mój kuzyn powiedział im wtedy, że jak chcą się bić, to jeden na jednego, ale grupowo pobić mnie nie pozwoli. Grożący poszli się poskarżyć. Usłyszałem, że zostanę deportowany razem z rodziną. Moja mama przyszła wtedy do szkoły i zapowiedziała, że jak taka sytuacja jeszcze raz się powtórzy, zawiadomi swoich przyjaciół, m.in. prasę. W szkole więcej mi tak nie grożono.

Elsi miał szczęście. Jego rodzice mówili po polsku. To właśnie znajomość języka decyduje o tym, że rodzic może stanąć w obronie dziecka.

Justyna, matka dwujęzycznego sześciolatka: – Ponieważ ja jestem Polką, a ojciec mojego syna Rosjaninem, Janek bardzo dobrze zna polski i rosyjski. W Rosji nigdy nie był, ale w przedszkolu bardzo lubił o niej opowiadać innym dzieciom. Aż pewnego dnia jedna z matek uznała, że Janek za dużo mówi o Rosji. Od innych rodziców i wychowawców dowiedziałam się, że Janek, jej zdaniem, promuje przemoc. Próbowała prowadzić cichą kampanię w tej sprawie. Skończyło się, kiedy zainterweniowałam.

Justyna podkreśla jednak znaczenie własnej narodowości i pozycji w przedszkolnej społeczności. – Ina-

FOT. FACEBOOK

eprasa.pl 4ddd52fe30

czej było z siostrzeńcem mojego męża, który trafił do szkoły w Warce. Od początku nie był akceptowany w klasie. Sytuacja była wzmacniana przez nauczycielkę, która uznawała za stosowne karanie chłopca przy całej klasie. Formą „dyscyplinowania" było m.in. nazywanie go kacapem.

– Zdarza się, że cudzoziemscy rodzice są zwyczajnie izolowani przez Polaków – mówi Marysia Złonkiewicz. – Najczęściej niechęć jest wyrażana biernie, np. przez nieodpowiadanie na dzień dobry. Ale może przybierać bardziej zdecydowane formy, np. żądania usunięcia dziecka ze szkoły.

Hanna Szewczyk: – Rodzice dzieci niebędących obywatelami Polski nie przychodzą na zebrania często dlatego, że nie rozumieją, co się na nich dzieje. Jeśli przychodzą do szkoły, to zwykle na wezwanie nauczyciela.

Właśnie na jednym z klasowych zebrań rodzice polskich dzieci postanowili, że pozbędą się Arbiego ze szkoły. Na kolejne zebranie dyrekcja zaprosiła Aminę i ludzi ze wspierających ją instytucji. – To, że Arbiego ostatecznie nie udało im się wyrzucić, jest skutkiem naszych interwencji i negocjacji ze szkołą – mówi Marysia Złonkiewicz. – Pani Amina nie byłaby w stanie zrobić tego sama.

NA WYCIECZKĘ NIE POJEDZIESZ

Również na zebraniach nauczyciel informuje rodziców o szkolnych wycieczkach. – W naszej szkole nie ma takiej opcji, żeby jakiekolwiek dziecko nie pojechało na wycieczkę – zaznacza Hanna Szewczyk. – To szczególnie ważne w przypadku dzieci obcokrajowców, bo przecież głównie na wycieczkach klasa się integruje.

Marysia Złonkiewicz: – Kiedy rodziny nie stać na opłacenie wycieczki, zdarza się, że rada rodziców wykłada na nią pieniądze. Jednak standardem jest, że dzieci cudzoziemskie na wycieczki nie jeżdżą.

Kamil Kamiński: – Wszystko zależy od szkoły. Bywają nauczyciele, którzy poświęcają dodatkowy czas na to, żeby przeprowadzić rodziców przez wszystkie procedury, np. pokazując im, co trzeba wypełnić, żeby dziecko pojechało na wycieczkę za darmo.

Wola i możliwości nauczycieli, inicjowanie współpracy przez szkołę i życzliwość innych rodziców ułatwiają adaptację. Liczy się m.in. to, czy w szkole są organizowane zajęcia integracyjne albo warsztaty o kulturze kraju pochodzenia nowych uczniów. Przykładem tego, jak wiele zmienia nastawienie szkoły, może być podstawówka w Berezówce niedaleko Białej Podlaskiej. Chodzi do niej 80 uczniów, połowa to dzieci migrantów z pobliskiego ośrodka, czekających na decyzję polskich władz w sprawie nadania im statusu uchodźcy. Szkoła kładzie nacisk na atmosferę tolerancji i różnorodności. Muzułmańskie dziewczynki mogą chodzić na lekcje w hidżabie. – Nikomu to nie przeszkadza – mówi radiu TOK FM Beata Sobolewska ucząca w szkole angielskiego.

Szkoła organizuje też zajęcia integracyjne dla rodziców. Podczas Święta Ziemniaka mamy polskie i czeczeńskie wspólnie pieką ciasta. W efekcie dzieci cudzoziemskie w szkole odnajdują się bardzo szybko.

Jak podkreśla Kamil Kamiński, działania, jakie podejmuje szkoła, by wspierać uczniów spoza Polski, zależą wyłącznie od dyrekcji i nauczycieli. – Nie istnieją żadne ramy postępowania z dziećmi migrantów. Jeśli szkoła ma doświadczenie w pracy z takimi dziećmi, sama sobie te ramy wypracowuje. Ale żeby takie doświadczenie mieć, trzeba chcieć je zdobyć – tłumaczy psycholog. – Tymczasem szkoły nie korzystają nawet z tych rozwiązań, do których mają prawo, chociażby z asystenta kulturowego.

Elsi Adajew na pytanie, jak to się stało, że polubił Polskę, odpowiada: – Kiedy przyjechałem do Polski, nienawidziłem chodzić do szkoły. Cały czas mi dokuczali, a ja musiałem nieustannie walczyć we własnej obronie, żeby przetrwać. I widzę to wśród dzieciaków, z którymi pracuję: część uczy się, że cokolwiek zrobią, zostaną ukarane. Stają się agresywne. A inne zaczynają to traktować jako normę, taki los. Kiedy miałem 13 lat i trafiłem do gimnazjum, wszystko się odmieniło. Spotkałem się z wielką otwartością, nagle przestało się liczyć, jaką religię wyznaję i skąd pochodzę. Od razu zacząłem lepiej się dogadywać z rówieśnikami i dzięki nim chłonąłem polską kulturę: zacząłem oglądać polskie filmy, słuchać polskiej muzyki, czytać polskie książki i komiksy. Wszystko się wtedy zmieniło. Zacząłem się czuć jak w domu.

Katarzyna Wierzbicka

Robert Walenciak

Proszę państwa! Oto Mateusz Morawiecki!

Tydzień temu poznaliśmy go jako seryjnego kłamczucha, teraz dowiadujemy się, jaki jest naprawdę. Portal Onet.pl opublikował nagraną przez kelnerów w restauracji Sowa i Przyjaciele rozmowę, w której bierze udział Morawiecki. To było wiosną 2013 r., Morawiecki był wtedy prezesem Banku Zachodniego WBK i członkiem Rady Gospodarczej przy premierze Tusku, a więc pełnoprawnym członkiem ówczesnego establishmentu Platformy Obywatelskiej. Zresztą zasiada w restauracji w towarzystwie innych ważnych ludzi tej grupy – Krzysztofa Kiliana (prezesa PGE), Zbigniewa Jagiełły (prezesa PKO BP) i Bogusławy Matuszewskiej (wiceprezes PGE).

Morawiecki swobodnie konwersuje, często używając słowa na k (nie jest to konstytucja) i wygłaszając rozmaite opinie. Dzięki czemu możemy go lepiej poznać. Oto one:

MORAWIECKI I ŚWIAT PRACY

Morawiecki: – Mam absolutnie pozytywne zdanie o Merkelowej, Sarkozym, czy jak się ten nowy nazywa... Hollande itd. Że oni w takim świecie jak dzisiaj są, gdzie przez 50 lat ludziom się wydawało, że zawsze będzie lepiej, emerytury będą dość wysokie, żyć będziemy coraz dłużej, służba zdrowia będzie za darmo, k... i edukacja za darmo, oni tą krzywą, która, wiesz, tak szła co do oczekiwań, oni muszą ją odkręcić, nie? (...) Jak ludzie ci zapier... za miskę ryżu, jak było w czasach po II wojnie światowej i w trakcie, to wtedy gospodarka cała się odbudowała.

(...) Musimy obniżyć nasze oczekiwania. Bo jak obniżymy, to w ślad za tym wszystko pójdzie dobrze, się da zreperować. Będziemy zapier... i rowy, k... kopać, a drudzy będą zakopywać, będziemy zadowoleni. Będziemy (...) wtedy my jako ludzie mniejsze firmy mieć emerytury. Mniejsze oczekiwania.

Chwilę później Matuszewska dodaje, że „przyzwyczaić się do lepszej sytuacji jest daleko łatwiej niż do gorszej", na co Morawiecki odpowiada:

eprasa.pl 4ddd52fe30

MORAWIECKI PODSŁUCHANY

Jeśli istnieje jeszcze druga taśma z nagraniem, to los premiera wisi na cienkim włosku

– Najlepszym sposobem zawsze była wojna. Wojna zmienia perspektywę w pięć minut.

Te mądrości o misce ryżu i wojnie wygłosił prezes, który za sam 2014 r. zainkasował 1,8 mln zł pensji i dodatkowo 1,7 mln zł nagrody. A w ciągu 11 lat, zanim trafił do rządu, zarobił 33,5 mln zł.

MORAWIECKI I UCHODŹCY

Mateusz Morawiecki zaprezentował też osobliwy pomysł na rozwiązanie kryzysu migracyjnego: – No, k... wiesz, kiedyś przypłyną, kiedyś coś zrobią. (...) Te iPhone'y pokażą im: tu żyje się tak, a tu tak. I co my zrobimy, jak flotylla tratw, k... nawet tam z północy Afryki? (...) Będziemy strzelać, będziemy odpychać ich.

Prawda, że proste? Zupełnie w stylu prezydenta Filipin Rodriga Duterte…

MORAWIECKI I BANKI

Wiele ciekawych rzeczy mogliśmy się dowiedzieć od Mateusza Morawieckiego na temat banków. A to przy okazji rozmowy o rosyjskim Alfa Banku, który chciał odkupić od PKO BP kontrolowany przezeń bank ukraiński.

Jagiełło: – Nie, ale ten Alfa Bank no to jest kojarzony ze służbami rosyjskimi na wprost.

Morawiecki: – (...) K... proszę cię, każdy bank dotyczący służb eee... absolutnie (...).

Jagiełło: – Nie, jeszcze masz (...), bo banki oligarchiczne i służbowe, nie?

Morawiecki: – (...) Oligarchiczne też są służbowe. Wszystkie są służbowe.

No to teraz wypada zapytać pana premiera, jaką on ma szarżę, ewentualnie – kto jest jego oficerem prowadzącym.

MORAWIECKI I DOBRE SERCE

Ale prezes Morawiecki miał także dobre serce i interweniował w sprawie syna Ryszarda Czarneckiego, który pracował w PKO BP. Rozmowa brzmiała tak:

Jagiełło: – Ten chłopak po trzech miesiącach powiedział, że jest dużo pracy, że on myślał, że będzie luźniej itd., że ma inne plany właśnie. Miał napisane, miał umowę na trzy miesiące. Typowy staż i że on nie chce już tego kontynuować. Co ja się będę angażował i o niego walczył.

Morawiecki zadzwonił więc do Ryszarda Czarneckiego, włączając tryb głośnomówiący:

– No, cześć. Słuchaj, ciąg dalszy tej sprawy, o której ostatnio rozmawialiśmy. Twój Przemek nie chciał tam dalej pracować.

Czarnecki: – Z ręką na sercu, on był absolutnie zrozpaczony. Ja go znam. Wiem, kiedy, że tak powiem, był absolutnie zdołowany.

Morawiecki: – A weź z nim tak po piwku pogadaj, bo coś mi tutaj zgrzytnęło. Pamiętam, co mi mówiłeś dwa tygodnie temu.

Czarnecki: – On oczywiście mówi, że chciałby więcej zarabiać, że...

Morawiecki: – To to jeszcze rozumiem.

MORAWIECKI I TAŚMA, KTÓREJ NIE MA

Mateusz Morawiecki zeznał w prokuraturze, że w restauracjach Sowa i Przyjaciele i Amber Room w latach 2012-2014 bywał kilkukrotnie, „w ważnych sprawach biznesowych bądź towarzyskich". Już gdy wchodził do rządu, mówiono, że są taśmy z jego udziałem. Tymczasem jest tylko jedna. A reszta?

Z zeznań kelnerów wynika, że nagrali jeszcze inną rozmowę obecnego premiera z nieznaną im osobą. Dżentelmeni dyskutować mieli na temat zakupu nieruchomości na „słupy", czyli przez podstawione osoby. To jest oczywiście kryminał. Tylko że tej taśmy w aktach śledztwa nie ma. Kelnerzy zeznali, że przekazali je Markowi Falencie. A Falenta milczy.

Pytania nasuwają się więc same: czy taka rozmowa rzeczywiście miała miejsce? A jeżeli tak, to kto ma taśmę? Falenta? Rosjanie? CBA, którego Falenta był agentem? Prokuratura?

Cokolwiek by mówić, los Mateusza Morawieckiego wisi na cienkim włosku. ■

FOT. FB/ANONIMOWYINTERNAUTA

eprasa.pl 4ddd52fe30

SZÓSTA RANO. KTO PUKA?

Kilkuset policjantów obserwuje kilkudziesięciu Obywateli RP, żeby nie przeskoczyli przez płot pod Sejmem

Rozmawia Robert Walenciak

– były więzień polityczny, dyrektor Biura Analiz i Informacji Urzędu Ochrony Państwa i zastępca dyrektora Zarządu Wywiadu UOP, stały doradca sejmowej Komisji ds. Służb Specjalnych, wiceminister gospodarki. Obecnie wykładowca Centrum Badań nad Terroryzmem Collegium Civitas, konsultant w zakresie analizy ryzyka. Do księgarń trafiła właśnie jego książka „Szósta rano. Kto puka?".

„Ojczyzna Solidarności zmienia się w państwo policyjne", pisze pan na okładce swojej książki.

– W Polsce przepisy zmierzają do tego, by objęcie nas postępowaniem karnym i to, czy postępowanie skończy się wyrokiem skazującym, w dużo większym stopniu zależało od polityków niż tradycyjnych uczestników procesu wymiaru sprawiedliwości – sędziów, prokuratorów, adwokatów. W tej chwili prokuratura jest całkowicie podporządkowana czynnikom politycznym, sądy, jak widzimy, bronią się jeszcze.

Ale za chwilę będą podporządkowane.

– Widzimy też taką ewolucję przepisów, że służbom policyjnym, służbom specjalnym (podlegającym przecież politykom), a dodatkowo – upolitycznionej prokuraturze, coraz więcej wolno. Zanim Sejm uchwalił tzw. ustawę inwigilacyjną, Trybunał Konstytucyjny stwierdził, że jest w niej za mały nadzór nad działaniami służb policyjnych. Ustawę „poprawiono". Wprowadza ona iluzoryczną kontrolę nad pobieraniem danych telekomunikacyjnych, bo co pół roku sądy kontrolują *de facto* statystyki, a nie konkretne przykłady pobierania billingów. Podobnie jest z inwigilacją – nie tylko nie wprowadzono hamulców przed jej nadużywaniem, ale jeszcze rozszerzono o „grzebanie" w internecie. Do tego dochodzi ustawa antyterrorystyczna. Została ona wprowadzona pod pretekstem zagrożenia terrorystycznego.

Pretekstem?

– Tak, bo jest ono mocno hipotetyczne. To nie jest żadne realne zagrożenie, i nie tylko ja tak uważam, ale również wiele kompetentnych, zagranicznych ośrodków analitycznych. Ta ustawa, pod pretekstem zagrożenia terrorystycznego, wprowadza dosyć płynne pojęcie ekstremizmu.

KTO JEST EKSTREMISTĄ, DECYDUJE SZEF MSW

Dlaczego dosyć płynne?

– Bo o tym, co jest zdarzeniem o charakterze terrorystycznym, decyduje rozporządzenie ministra spraw wewnętrznych. I może on w nim napisać, że działaniem o charakterze ekstremistycznym, a to upoważnia do uruchomienia procedur ustawy antyterrorystycznej, jest np. wezwanie do nieposłuszeństwa obywatelskiego. W ten sposób nagle się okaże, że bez ogłaszania stanu wyjątkowego, który może być wprowadzony jedynie przez Sejm, faktycznie żyjemy w świecie przepisów stanu wyjątkowego.

To znaczy?

– Po pierwsze, mamy uproszczenie procedur inwigilacji wobec określonej grupy osób. Po drugie, różnego rodzaju zgromadzenia, manifestacje można pod dowolnym pretekstem (byle popartym argumentem „zagrożenia bezpieczeństwa") rozwiązać. Po trzecie, jest możliwość blokowania stron internetowych. Na zasadzie, że są tam treści o charakterze ekstremistycznym, więc ABW ma obowiązek taką stronę zablokować.

A o tym, co jest ekstremizmem, decyduje szef MSW.

– Jeżeli w Polsce dojdzie do podwyższenia poziomu napięcia, np. ostrej dyskusji między środowiskami narodowymi a obrońcami demokratycznego państwa prawa, jeżeli dojdzie do bijatyk, nie daj Boże do rozlewu krwi, to są gotowe instrumenty, narzędzia prawne i organizacyjne.

> Służbom policyjnym, służbom specjalnym, upolitycznionej prokuraturze coraz więcej wolno.

eprasa.pl 4ddd52fe30

Rządzący ewidentnie wspierają nacjonalistów i budują symetrię, że z jednej strony jest ONR, a z drugiej KOD i Obywatele RP.

– Były w policji programy przeciwdziałania agresji, identyfikowania przestępstw z nienawiści. Zostały wycofane. Był podręcznik identyfikujący zachowania o charakterze nacjonalistycznym, neofaszystowskim. Został wycofany na skutek interpelacji posła Andruszkiewicza, praktycznie z dnia na dzień.

W mediach pojawiły się informacje, że policjanci mają polecenie nie ruszać narodowców.

– To widać! Nie mam dostępu do wewnętrznych instrukcji policji, więc wnioskuję po zachowaniu… Narodowcy są traktowani na odrębnych zasadach. Przecież widać, że w większości przypadków zachowania zabronione przez prawo są tolerowane.

Prawo służy władzy?

– Tak! I odnoszę wrażenie, że władza nie miałaby nic przeciwko temu, gdyby doszło do poważnego konfliktu demokratów z narodowcami. Może o to chodzi? Propaganda pokazuje symetrię. Przekonuje ludzi, że Paweł Kasprzak i inni uczestnicy ruchu protestu, siedzący na chodniku z białymi różami, są większym zagrożeniem dla porządku publicznego niż młodzi mężczyźni w czarnych koszulach i kominiarkach.

ZNOWU MAMY POLITYCZNYCH

Ale areszty na 48 godzin ludziom nie grożą!

– To nie takie proste. Oczywiście większość społeczeństwa nie ma powodu tego się obawiać. Ale popatrzmy na statystyki – od grudnia 2017 r. do sierpnia 2018 r. było w nich ponad 1 tys. osób, niekoniecznie Obywateli RP, to są też osoby ze Strajku Kobiet, z KOD, z Odnowy, z Osy, z innych organizacji obywatelskich, które były objęte różnego rodzaju postępowaniami policyjnymi. Były wzywane na przesłuchania, doprowadzane na przesłuchania, oskarżane przed sądem. Na razie większość tych oskarżeń jest oddalana, ci ludzie są uniewinniani. Niemniej jednak to nie jest naturalne – być kilka razy miesięcznie, czy nawet w tygodniu, wzywanym na przesłuchanie. Do tej grupy dorzućmy ponad 400 ekologów, którzy również byli wzywani czy nawet doprowadzani na przesłuchania. Mamy więc już 1,4-1,5 tys. osób. A jeszcze trzeba pamiętać, że dodatkowo znaczna grupa ludzi objętych tymi restrykcjami była aktywna w 2017 r. Bo największe protesty były w lipcu 2017 r. Liczba osób nękanych w różny sposób, czy to wezwaniami do prokuratury, czy do sądu, zbliża się więc do ok. 2 tys.

To dużo?

– Dla porównania powiem, że w roku 1976, w jednej z największych fal protestów robotniczych w PRL, zatrzymanych było ok. 2,5 tys. osób. Oczywiście moi oponenci zaraz zawołają z oburzeniem: jak można porównywać ścieżki zdrowia do zatrzymywania demonstrantów! Powiedziałbym, że niestety i to da się porównać. Bo mamy przypadki, na szczęście nie masowe, łamania palców, łamania nadgarstków, zrywania wiązadeł w ramieniu, są przypadki stosowania w trakcie wynoszenia bardzo bolesnych dźwigni na ręce i nogi.

Specjalnie zakładanych?

– To zależy od policjantów. Ci, którzy są w miarę przyzwoici, zachowują się normalnie. Ale bywają i tacy, co wiem z relacji Obywateli RP, którzy przy okazji rozbijania blokad i manifestacji załatwiają prywatne porachunki. I stosują bolesne dźwignie, wyłamują ręce i palce. Z tym różnie bywa. Więc, niestety, porównanie ze ścieżkami zdrowia wcale nie jest tak nieuprawnione, jak by się wydawało na początku.

PODSŁUCH W KONFESJONALE

To się nakręca czy uspokaja? Czy rzeczywiście Polska zmierza w stronę rozwiązań siłowych?

– Nastroje społeczne falują. Jest więc różnie. Natomiast z punktu widzenia władzy to równia pochyła. Oni konsekwentnie idą zaplanowaną drogą. Jak są jakieś protesty, to potrafią pół kroku się cofnąć, przeczekać, a potem zrobić dwa kroki do przodu. W czasie prac nad ustawą inwigilacyjną środowiska obrońców praw człowieka walczyły, żeby nie naruszała ona tajemnicy adwokackiej i tajemnicy spowiedzi. Bo w pierwotnej wersji ustawa *de facto* te tajemnice uchylała. Co prawda, nie można było przesłuchać adwokata w sprawie objętej tajemnicą obrończą ani księdza na okoliczność tajemnicy spowiedzi, ale można było ich podsłuchać. I wykorzystać ten podsłuch.

Podsłuch w konfesjonale?

– W kościele pewnie nie. Ale w aresztach tymczasowych? Aresztanci, bardzo często z nudów, dość regularnie chodzą do spowiedzi. Jeżeliby nagrać to, co opowiadają księżom w trakcie spowiedzi, mogłyby to być bardzo przydatne prokuratorom informacje. Co ważne, niekoniecznie, a nawet przeważnie nieprawdziwe. Ale z tego, co słyszałem, Episkopat się zdenerwował, interweniował i zablokował to obejście tajemnicy spowiedzi. I być może ocalił też tajemnicę obrończą. W tej chwili znów mamy do czynienia z projektem – choć Ministerstwo Sprawiedliwości twierdzi, że to nieprawda – w którym prokuratorzy mieliby prawo uchylać tajemnicę adwokacką i dziennikarską*. Do tej pory uchylić ją mógł tylko sąd. Widzimy więc, jaka jest konsekwencja we wprowadzaniu prawa stanu wyjątkowego bez stanu wyjątkowego. To idzie krok po kroku.

> Mamy coraz więcej przypadków uruchamiania podsłuchów, kontroli operacyjnej.

Obywatele RP władzę denerwują.

– Są też uregulowania wprowadzane bez rozgłosu. Na przykład ustawa zmieniająca Kodeks wykroczeń. To klasyczne *lex* Frasyniuk. W pierwszej kolejności jest przepis, który zaostrza karalność za przedstawienie się nieprawdziwym imieniem i nazwiskiem. Czyli kazus Jana Józefa Grzyba, posłużenia się przez legitymowanego Władysława Frasyniuka pseudonimem z podziemia solidarnościowego. W tej chwili nawet tak zażartować nie będzie można, grozi za to kara. Druga rzecz – wprowadzono tzw. recydywę wykroczeń. Jeżeli ktoś kilkakrotnie popełni wykroczenie, będzie podlegał znacznie ostrzejszej karze. Uzasadnia się to przykładem drobnego złodziejaszka, który kradnie batony w sklepie, więc nie ma jak go efektywnie ukarać. Ale mam dziwne podejrzenie, że tak naprawdę chodzi o Obywateli RP

* 5 października rzecznik Ministerstwa Sprawiedliwości poinformował, że projekt nie uzyskał akceptacji kierownictwa resortu.

eprasa.pl 4ddd52fe30

i podobne organizacje obywatelskie, których uczestnicy mają po kilkanaście postępowań o wykroczenia w związku z blokowaniem ulicy itp. I władza chce im przykładnie dokuczyć.

KOGO ŚCIGA POLICJA?

Mówi się o złodziejaszkach, ale myśli o opozycji? W PRL rozrzucających ulotki karano za zaśmiecanie.

– Uruchomiono działania przeciwko terrorystom, tylko terrorystów nie ma. Za to mamy działania wymierzone w opozycję. Dokumenty, do których dotarli dziennikarze i prawnicy, są przerażające. Kilkuset policjantów obserwuje kilkudziesięciu Obywateli RP, żeby nie przeskoczyli przez płot pod Sejmem.

Obserwują ich też podczas spotkań na mieście.

– I to jest absolutnie skandaliczne. To, że obserwacja policji jest prowadzona nie tylko w miejscu demonstracji i protestów. Że działacze Obywateli RP są inwigilowani przez całe grupy policjantów, ściąganych z innych województw, w kawiarni, w sklepie AGD… To odciąga uwagę policji od walki z pospolitą przestępczością. Co widać!

Jak?

– Mamy coraz więcej przypadków uruchamiania podsłuchów, kontroli operacyjnej, ta liczba idzie zdecydowanie w górę. Gdyby te działania były skierowane przeciwko przestępczości zorganizowanej, to i zagrożenie ze strony tych grup przestępczych by malało. Byłoby ich mniej, byłyby mniej liczne, byłoby mniej przypadków różnych porachunków identyfikowanych jako terror kryminalny. A przypadków terroru kryminalnego było w 2016 r. więcej niż w roku 2015. Coś tu więc nie gra. Albo technika operacyjna jest wykorzystywana niewłaściwie, albo przeciwko niewłaściwym osobom.

O tym, że policja i służby mniej się zajmują zagrożeniem, wiemy choćby z afery śmieciowej. Wjechały do Polski śmieci z całego świata i płoną na wysypiskach.

– Swego czasu walkę z przestępczością związaną z nielegalnym sprowadzaniem odpadów niebezpiecznych powierzono straży granicznej. Dano jej nawet uprawnienia do stosowania kontroli operacyjnej wobec importerów nielegalnych odpadów. Żeby sprawdzić, jak to działa, poczytałem oficjalne statystyki za rok 2017, kiedy te odpady zaczęły być masowo sprowadzane. W tych statystykach straż graniczna się chwali, że złapała dwie ikony, ileś kradzionych samochodów, motocykle. Ale nie zatrzymała ani jednego transportu z odpadami! Czyli widać, że nie potrafi prawidłowo zarządzać priorytetami. Bo to, że kiedy Chiny zamkną swoją granicę, zacznie się lawinowy napływ do Polski odpadów, można było przewidzieć.

Ale nasze służby to zaskoczyło. Jak zima drogowców.

– Dlatego hałdy płoną. I nie tylko dlatego, że te odpady już tam się nie mieszczą. Myślę, że tu chodzi o coś jeszcze poważniejszego, o pozbycie się odpadów niebezpiecznych. Nielegalnie wwożonych, ukrywanych pod innymi śmieciami. Chodzi o to, by zatrzeć ślady tego procederu. Klęska ekologiczna, która nam groziła i grozi, jest więc dużo bardziej niebezpieczna. Ale żartem jest powierzenie ABW działań mających to zatrzymać.

Dlaczego żartem?

– ABW nie ma powodu tym się zajmować, bo się na tym nie zna. Są inne służby, lepiej do tego przygotowane, włącznie z komórkami ekologicznymi straży miejskich. Takie też są. Gdyby ktoś to dobrze koordynował i pozwolił straży granicznej zwrócić uwagę, co się wwozi w tirach z odpadami, następnie to porównał z informacjami celnymi, policyjnymi, inspektoratów ochrony środowiska, byłaby szansa na skuteczną walkę z tym rodzajem przestępczości. A tak jest tylko gadanie.

Mamy przypadki bardzo brutalnego działania policji w czasie likwidowania protestów. Nz. protest Obywateli RP pod Sejmem, 20 lipca 2018 r.

Różnego rodzaju zgromadzenia, manifestacje można pod dowolnym pretekstem rozwiązać.

STRAŻ MARSZAŁKOWSKA I AGENTURA

Skoro jesteśmy przy ABW, zaskoczyła mnie informacja, że „dobra zmiana" zwolniła ok. 1,2 tys. jej funkcjonariuszy. Ujawnił to były szef tej służby, gen. Bondaryk.

– Jeżeli tak jest, to mamy katastrofę. Miejsce ludzi z doświadczeniem zajmują ludzie bez doświadczenia. Łatwo sobie wyobrazić, jak to wygląda. Mówi się, że wyszkolenie oficera służby specjalnej trwa około trzech lat. I to nie jest kwestia rocznego kursu, tylko późniejszej pracy. Jeżeli do służby przychodzą ludzie bez doświadczenia, to mamy takie wpadki jak proces grupy Czeczeńców, którzy byli podejrzani o współpracę z ISIS, a faktycznie organizowali pomoc dla czeczeńskiej republiki Iczkerii. Też islamskiej, ale bardziej niepodległościowej. Nie chcę twierdzić, że nie złamali polskiego prawa, bo złamali – prowadzili nielegalną zbiórkę pieniędzy. Tylko to była zbiórka nie na ISIS, ale na rzecz państwa czeczeńskiego. Tego, do którego kiedyś PiS wykazywało daleko idącą sympatię. A skąd się

eprasa.pl 4ddd52fe30

wzięła ta pomyłka? Ktoś źle przetłumaczył raporty z podsłuchów ich rozmów. Podejrzewam, że doświadczony oficer nie pozwoliłby sobie na zaniesienie takich niezweryfikowanych materiałów do sądu. Bo dopiero biegły sądowy oświadczył, że podsłuchy są źle przetłumaczone.

Do czego zmierza to władza? Buduje własne służby i…

– Przyjrzyjmy się dwóm charakterystycznym ruchom – przekształceniu Biura Ochrony Rządu w Służbę Ochrony Państwa i upoważnieniu straży marszałkowskiej do czynności operacyjnych.

W Sejmie.

– Nie tylko w Sejmie! Straż marszałkowska ma uprawnienia do ochrony osób także poza budynkami Sejmu i Senatu. Jeżeli marszałek czy wicemarszałkowie Sejmu jadą np. z delegacją do Rzeszowa, to funkcjonariusze straży mają prawo podejmować czynności operacyjno-rozpoznawcze, prowadzić wywiad środowiskowy, nawet werbować agentów, którzy mają informować, czy jest jakieś zagrożenie dla wizyty marszałka Sejmu w Rzeszowie. I jeżeli ktoś usłyszy, że jakiś obywatel kupił jajka albo zgniłe pomidory i zastanawia się, czy nimi nie rzucać, to może być powód, żeby wkroczyć do niego o szóstej rano i sprawdzić, czy nie jest groźnym terrorystą. Jeszcze dalej poszedł Sejm z uprawnieniami dla Służby Ochrony Państwa. BOR nie miało uprawnień do czynności operacyjno-rozpoznawczych, nie miało prawa do kontroli operacyjnej.

SOP zostały one przyznane.

– Czyli stworzono drugą służbę antyterrorystyczną obok ABW. Pod pretekstem zagrożenia terrorystycznego mamy powołaną dodatkową służbę, która może się interesować osobami deklarującymi poglądy polityczne nieprzyjazne władzy. I co jeszcze ważniejsze, SOP nie podlega kontroli sejmowej Komisji ds. Służb Specjalnych, w której są przedstawiciele opozycji i choć mają bardzo ograniczony dostęp do wiedzy, mogliby teoretycznie zapytać, dlaczego taka czy inna osoba została objęta ochroną albo dlaczego zastosowano kontrolę operacyjną w jakimś środowisku.

To ważne?

– Ochronie SOP mogą podlegać osoby kluczowe z punktu widzenia nie tylko administracji państwowej, ale również „ważnego interesu państwa". Czyli np. lidera opozycji, który dostaje mejle z pogróżkami, też można objąć ochroną. On może powiedzieć: nie życzę sobie ochrony fizycznej. Ale nie może powiedzieć, że sobie nie życzy kontroli operacyjnej. Jeżeli służba uzna, że jest zagrożony, może nagrywać jego telefony.

Bez jego wiedzy?

– Za zgodą sądu, ale bez jego wiedzy.

Władza buduje służby dla siebie.

– To jeden z głównych wątków mojej książki. „Dobra zmiana" wbrew pozorom nie troszczy się o bezpieczeństwo obywateli, tym się przejmuje w niewielkim stopniu. Natomiast buduje system, który pozwoli jej kontrolować działaczy ruchów obywatelskich i polityków opozycji. A jej samej zapewni dobre samopoczucie.

Robert Walenciak

eprasa.pl 4ddd52fe30

O tym, który nie idzie na kompromis z zasadami

Piotr Łebek, srogi pełnomocnik Patryka Jakiego przeciw byłej sołtysce, Kukizowi i suwerenowi, to przykład „dobrej zmiany" w karierze

Beata Dżon-Ozimek

Piotr Łebek zasłynął wystawieniem za swoje usługi faktury na 1,23 zł. Wystawił ją jako pełnomocnik procesowy Komitetu Wyborczego Arkadiusza Wiśniewskiego, wybranego na prezydenta Opola w 2014 r. przy wsparciu Patryka Jakiego. Łebek, młody radca prawny, wówczas 29-latek (rocznik Jakiego), reprezentował komitet Wiśniewskiego w sprawie przeciwko SLD. Umowa i faktura nie zostały dołączone do sprawozdania, które badała delegatura Krajowego Biura Wyborczego, odnalazły się dopiero na wyraźne żądanie KBW. Radcy prawnemu Piotrowi Łebkowi ta niska faktura się opłacała. Zaczął od dodatkowych dochodów w spółce miejskiej Wodociągi i Kanalizacja; oficjalnie 30 grudnia 2014 r. Łebek został przewodniczącym rady nadzorczej. Do zarządu trafił wtedy także (jako wiceprezes) Ireneusz Jaki, ojciec Patryka. Wymiana starej rady WiK na ludzi nowego prezydenta nastąpiła w typowym dla PiS trybie nocnym – z wtorku na środę, z 23 na 24 grudnia 2014 r. Patryk Jaki zbierał pierwsze plony wyborczego wsparcia Arkadiusza Wiśniewskiego. 1 kwietnia 2016 r. Jaki senior został prezesem WiK.

PRZYŚPIESZENIE PO WYBORACH

4 lutego 2015 r. dwóch kolegów, radców prawnych, wpisuje do KRS spółkę partnerską Kancelaria Radców Prawnych Hryniów, Łebek i Partnerzy. Hasło młodej kancelarii brzmi: „Nigdy nie idziemy na kompromis ze swoimi zasadami". Dobrze się zapowiada.

Już po wygranej Wiśniewskiego w wyborach samorządowych kariera obiecujących radców prawnych z Opola, absolwentów rodzimej uczelni, nabiera tempa. Jeszcze szybciej toczy się zaś po wyborach w roku 2015 i wygranej PiS, a przy okazji Patryka Jakiego – posła drugiej kadencji i wiceministra sprawiedliwości. Ledwie zarejestrowana kancelaria Hryniów, Łebek i Partnerzy otrzymuje w 2015 r. zadanie reprezentowania miasta Opole w sądzie podczas walki o przejęcie kontroli nad Energetyką Cieplną Opolszczyzny. Chodziło m.in. o zmiany w radzie nadzorczej, których dokonało miasto, by sparaliżować wpływy załogi oraz niemieckiego mniejszościowego udziałowca, E.ON. Sąd Okręgowy w Opolu uznał jednak, że przedstawiciele miasta jako większościowego akcjonariusza spółki ECO dokonali zmian bezprawnie. Mimo to pełnomocnik Łebek ogłosił zwycięstwo, bo w mniej ważnym aspekcie sąd przyznał miastu rację. Faktury za usługi tej kancelarii oraz drobny udział innej nie były dla miasta obciążeniem – 6 tys. zł. Taką w każdym razie kwotę usłyszał pytający o to radny.

Piotr Łebek zasłynął wystawieniem faktury na 1,23 zł za swoje usługi jako pełnomocnika procesowego komitetu wyborczego przyszłego prezydenta Opola.

Płacą natomiast inni. Dariusz Hryniów, rocznik 1984, od marca 2015 r. do 29 lutego 2016 r. zasiada w zarządzie Opolskiego Towarzystwa Budownictwa Społecznego i jeszcze innej, prywatnej spółki, a 3 marca 2016 r. zostaje przewodniczącym rady nadzorczej spółki skarbu państwa PGNiG Termika SA. Piotr Łebek

Protesty mieszkańców Czarnowąsów przeciw włączeniu do Opola nic nie dały.

eprasa.pl 4ddd52fe30

z kolei jeszcze przed zarejestrowaniem kancelarii zasiada w zarządzie Wodociągów i Kanalizacji. Potem przez dwa miesiące jest w radzie nadzorczej Gwardii Opole SA – nowego klubu piłki ręcznej, w którego przejęciu aktywnie pomagał jako prawnik. Wreszcie w czerwcu 2016 r. na niespełna rok trafia do Superligi Sp. z o.o. Nowa Gwardia Opole właśnie tu ma zacząć swój pierwszy sezon. Ówczesny prezes Superligi nie widzi konfliktu między pełnionymi przez Łebka funkcjami w klubie w Opolu i w lidze. Według Łebka „sport w dzisiejszym świecie to ważna gałąź gospodarki".

OPOLSKI OJCIEC ZAŁOŻYCIEL

Superliga to zawodowa liga piłki ręcznej, nowy twór w polskim sporcie. Powstała w 2016 r. pod auspicjami i głównie dzięki finansom Polskiego Górnictwa Naftowego i Gazownictwa. W jego zarządzie zasiadał znany z miłości do sportu polityk PiS Janusz Kowalski, były wiceprezydent miasta Opole, menedżer, mentor polityczny Patryka Jakiego z okresu m.in. ruchu Młodych Konserwatystów. „Dzięki wsparciu PGNiG i jego wiceprezesa Janusza Kowalskiego piłka ręczna zyskała ojca założyciela, dzięki któremu goni piłkę nożną czy siatkówkę", powiedział w jednym z wywiadów Piotr Łebek. – Kowalski pojawił się w PGNiG i już wszystko było możliwe, chociaż działacze piłki ręcznej wcześniej starali się o zmiany w zarządzaniu – mówią ludzie bliscy Gwardii Opole. Inny opolanin, Łukasz Strzelecki, naczelnik wydziału sportu w urzędzie miasta, trafił do PGNiG kilka miesięcy po Kowalskim, by zająć się rozwojem i profesjonalizacją piłki ręcznej w Fundacji Rozwoju Kultury Fizycznej w Pucku. Od 2017 r. fundacja nazywa się Orły Sportu i dysponuje wielkimi pieniędzmi.

Kowalski jest dla Piotra Łebka także ojcem założycielem w karierze – w listopadzie 2016 r. Łebek zostaje komisarzem ligi w PGNiG Superliga Mężczyzn. To ważne stanowisko, zarządza rozgrywkami organizowanymi przez Związek Piłki Ręcznej w Polsce. Przejmuje część obowiązków prezesa Superligi.

Ojciec założyciel, jeszcze jako wiceprezydent Opola, dla siebie zarezerwował sport w mieście. Powołał w opolskim ratuszu Radę Sportu, organ doradczo-opiniodawczy prezydenta. Jej członkami zostali m.in. Patryk Jaki, Piotr Łebek i poseł Tomasz Garbowski, były sędzia piłkarski. Rada miała opiniować m.in. wydatki budżetu na sport oraz przepisy związane z działalnością opolskich stowarzyszeń i klubów sportowych – w praktyce obdzielać pieniędzmi i obdarzać względami swoich ulubieńców, niszczyć zaś innych. W 2016 r. np. dotację otrzymał ledwie zarejestrowany klub dżudo Mizuka Tomasza Hryniewicza (rejestracja 15 stycznia, wniosek o dotację – 27 stycznia). Natomiast skonfliktowane i rozbite zostało środowisko siatkówki kobiecej, przejęty klub piłki ręcznej Gwardia Opole.

OJCOWIE NISZCZYCIELE

Dlaczego Kowalski tak się troszczył o piłkę ręczną? „Bo ten sport pokazuje cechy Polaka. Jest w nim walka do samego końca, wkładanie serca w działanie. Poza tym sport jest narzędziem do budowania wspólnoty, tożsamości i emocji. Jest elementem polityki zagranicznej. I to bez względu na opcję polityczną. (…) A my chcemy, żeby polska piłka ręczna była narzędziem dumy narodowej". Jak do tych deklaracji ma się fakt, że wszechmocny Kowalski nie wsparł starej Gwardii Opole, dawnej chluby miasta, która borykała się z kłopotami finansowymi? Władze naciskały na założenie nowej spółki, na kolejne wydatki, by wejść do ekstraklasy. Nie udzielały działaczom obiecanej pomocy finansowej i podcinały klubowe źródła sponsorów, psując atmosferę wokół Gwardii i jej prezesa Janusza Maksyma. Kancelaria Hryniów, Łebek doradzała Gwardii już jako spółce z o.o. założonej za ich radą, narzucała umowy stypendialne i honoraryjne z zawodnikami, które potem dały miastu podstawy, by nękać spółkę żądaniami zwrotu dotacji, mimo wcześniejszej akceptacji wydatków. Pamiętna jest wieczorno-nocna rozmowa, która odbyła się w ratuszu w drugiej połowie stycznia 2016 r. W Krakowie trwały wtedy Mistrzostwa Europy Piłki Ręcznej Mężczyzn, w Opolu spotkali się Kowalski, Łebek, działacze ZPRP i ludzie Patryka Jakiego. Kowalski był już prokurentem w PGNiG, a mająca przeszło 70-letnie tradycje Gwardia stała się łakomym kąskiem. Naciskano na oddanie za symboliczną złotówkę nazwy klubu, godła, barw. – Gwardia była pierwszą ofiarą „dobrej zmiany" – mówi Janusz Maksym. Jego spółka została z długami starego klubu, bezlitośnie pozostawiona sama sobie. – Wtedy zaczyna się matrix. Kontrole, zarzuty przekrętów, węszenie służb. Nic nie znaleziono. Pół roku milczenia, co jakiś czas pan Łebek kontaktował się ze mną, podtykał jakieś dokumenty, których nie powinien mieć – wspomina Maksym. W końcu następuje przejęcie klubu. – Zwróciłem się do pana Łebka, że nie podoba mi się, jak przy przejmowaniu klubu i organizacji zawodowej Superligi usiłuje się omijać czy naginać prawo i przepisy – opowiada. Oburzony Łebek odpowiedział, że on „niczego nie omija, on porządkuje".

Niska faktura się opłacała. Łebek został przewodniczącym rady nadzorczej miejskiej spółki Wodociągi i Kanalizacja.

Maksym przypłacił to wszystko zdrowiem, stwierdzoną i leczoną depresją. Utratą dobrego imienia i pracy. A Piotr Łebek wszedł wkrótce do rady nadzorczej nowej Gwardii Opole SA. Animatorem tych zmian był także bliski kolega i człowiek Patryka

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, SŁAWOMIR MIELNIK/NOWA TRYBUNA OPOLSKA

eprasa.pl 4ddd52fe30

Jakiego, Marcin Rol, do lutego br. asystent w ratuszu, o statusie wiceprezydenta Opola.

UPRAWNIENIA, JAKICH NIKT WCZEŚNIEJ NIE MIAŁ

Piotr Łebek działa nie tylko na niwie sportowej. Jest również pełnomocnikiem wiceministra sprawiedliwości Jakiego w procesach sądowych. Na przykład tym, który w listopadzie 2016 r. wytoczyła mu Krystyna Pietrek, była sołtys wsi Czarnowąsy, zwykła obywatelka oburzona działaniami władzy. Jej wieś 1 stycznia 2017 r. włączono do Opola wbrew woli mieszkańców. – Jako mieszkańcy naszej gminy byliśmy nieustannie przez Patryka Jakiego obrażani. Mieliśmy sfałszować konsultacje, co jest nieprawdą – wyjaśniała pani Pietrek. Mecenas Piotr Łebek przekonywał, by sąd odrzucił pozew przeciwko wiceministrowi słem. Jego asystentka, Małgorzata Wilkos, dziś już wiceprzewodnicząca rady miasta i członkini rady nadzorczej Zakładu Konstrukcji Spawanych Łabędy Sp. z o.o., wezwała policję. „Okupantom" biura, wyborcom Jakiego, groziła za zakłócenie porządku publicznego kara aresztu, ograniczenia wolności lub grzywny, ale Sąd Rejonowy w Opolu umorzył postępowanie. Sędzia Zdzisław Niklasiński nie miał wątpliwości, że mieszkańcy chcieli jedynie porozmawiać z Patrykiem Jakim i przedstawić mu swoje obawy związane z rozszerzeniem granic miasta. Taka decyzja nie podobała się wiceministrowi sprawiedliwości, chciał się włączyć do sprawy jako oskarżyciel posiłkowy – mógłby składać wnioski dowodowe, przedstawiać własne stanowiska, wnosić środki zaskarżenia i ukarać tych ludzi. Nie udało się, bo mecenas Łebek spóźnił się z terminem złożenia takiego wniosku o prawie pół roku.

Od niemal dwóch lat Patryk Jaki chowa się za immunitetem i nie stanął przed sądem.

z powodu immunitetu poselskiego, bo wtedy Jaki wypowiadał się jako poseł, ale sąd się z nim nie zgodził. Potem Łebek zapewniał, że ze względu na swoją funkcję i terminarz Jaki nie może się stawić osobiście. Od niemal dwóch lat wiceminister chowa się za immunitetem i nie stanął przed sądem. Pani Krystyna czeka, aż zakończy kadencję jako poseł.

Odmienne standardy mecenas Łebek stosuje jako pełnomocnik Patryka Jakiego w sądowym starciu z Pawłem Kukizem, którego także chroni immunitet. Tym razem przekonywał, że Kukiz pisząc o Jakim na Facebooku, robił to jako osoba prywatna, więc nie trzeba mu uchylać immunitetu. Również tu sąd się z nim nie zgodził. „Na dzień dzisiejszy mamy więc do czynienia z sytuacją, że można wszystko powiedzieć, przypisać to do każdego kontekstu i poseł będzie zwolniony z odpowiedzialności za swoje słowa", żalił się Łebek gazecie „Nowa Trybuna Opolska". Święte słowa.

30 listopada 2016 r. do biura posła Jakiego w Opolu przyszło dziewięć osób, mieszkańców wsi, o które powiększono Opole wbrew ich woli. Czekali na obiecane spotkanie z po-

Być może zajęty był pisaniem pracy doktorskiej „Charakter prawny i organizacja ligi zawodowej". Jeden z recenzentów, prof. Paweł Chmielnicki z Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie, uznał ją za „interesujące skądinąd ustalenia badawcze" i stwierdził, że „zasadniczo – profesjonalnie posługuje się elementami rozprawy prawniczej". Z drugiej strony wskazał w recenzji wiele uchybień, miał ileś uwag krytycznych i odniósł wrażenie, że doktorant się śpieszył, co trochę dziwi, bo przewód został otwarty 29 maja 2015 r. na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Opolskiego. Ostateczna ocena była jednak pozytywna, autor sprostał wymaganiom stawianym przed pracą naukową, praca miała „wysoką jakość argumentacji, a także doniosłe znaczenie naukowe i społeczne omawianych kwestii". Piotr Łebek przyczynił się też do zmiany zasad udzielania rabatu na usługi prawne podczas kampanii wyborczej. Będzie można stosować tylko zwyczajowy rabat, a nie usługi za „1,23 zł". Bo potem nas, podatników, tanie usługi na rzecz kolegów drogo kosztują.

Beata Dżon-Ozimek

Cały naród jest wzywany, a nawet lekko przymuszany, do uroczystego świętowania okrągłej rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę. Niepodległość to najwyższa wartość polityczna, swego rodzaju absolut, jeśli w polityce istnieją absoluty. Czy istnieją? Jednocześnie przecież Polacy otrzymują lekcję poglądową relatywizmu, bo obóz panujący mówi im, że dla dobra Polski niezbędne jest umieszczenie na naszym terytorium baz wojskowych światowego hegemona. Jak widzimy, istnieją koniunktury w stosunkach międzynarodowych, kiedy podległość także bywa wysoką wartością. Ważne jest, czy podległość innemu państwu jest dobrowolna, czy przymusowa. Podległość innemu państwu, nawet dobrowolna, zarówno empirycznie, jak i definicyjnie niepodległością nie jest. Nie wiem, co myślą wodzowie partii rządzącej i opozycyjnej – te partie zarówno w tej sprawie, jak i w wielu innych się nie różnią – ale zakładam, że wybierają podległość Ameryce w celu zapewnienia krajowi bezpieczeństwa, a jak nie krajowi, to przynajmniej samym sobie. Gdyby o to chodziło, nie sprzeciwiałbym się tej polityce. Bezpieczeństwo kraju jest ważniejsze niż niepodległościowa fanfaronada, problem polega na tym, że Amerykanie nie budują tu swoich baz dla naszego bezpieczeństwa, lecz w ramach strategii osaczania Rosji i bardzo prawdopodobnej wojny o Ukrainę. Ta wojna gdzieś się musi toczyć, nie gdzie indziej, jak na Ukrainie, ale Polska również musiałaby ucierpieć, miejmy nadzieję, że dużo mniej. Tak więc żadnego bezpieczeństwa te bazy nam nie gwarantują. Przeciwnie, zapowiadają niebezpieczeństwo.

Obóz solidarnościowy chciał baz amerykańskich od początku swego panowania. Żadna dyskusja na ten temat nie była możliwa, ponieważ przesłanki tego chcenia były infantylne. Wolna Europa przez dziesięciolecia nauczała, że w krajach wolnego świata istnieją amerykańskie bazy, a więc i Polska wolna i demokratyczna musi mieć takie bazy. Dopóki ich u siebie nie zobaczymy, nie będziemy pewni, czy należymy do wolnego świata. Obecnie to myślenie jest dalekim i bladym tłem dla twardej polityki amerykańskiej i jej polskich pracowników.

eprasa.pl 4ddd52fe30

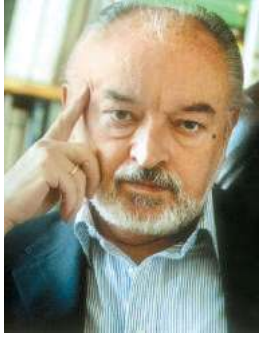

Bez uprzedzeń

Bronisław Łagowski

WARTOŚĆ WZGLĘDNA

Dylemat niepodległości i bezpieczeństwa Polski rozważał w okresie międzywojennym (ale przed Hitlerem) Hermann Rauschning, później sławny autor „Rewolucji nihilizmu". Uważał on, że szkoda Polski, nie ma ona szans przetrwania jako państwo niepodległe, powinna pomyśleć o swoim bezpieczeństwie raczej, a to może sobie zapewnić, łącząc się z państwem niemieckim. Ta koncepcja była łamaniem polskiego niepodległościowego tabu, a z perspektywy lat widać, że był to dla nas jedyny ratunek przed straszliwą klęską, jaka Polskę spotkała. (Hitler nie doszedłby do władzy). Podoba mi się poniewczasie i bezinteresownie koncepcja Rauschninga, ponieważ wyżej stawiam bezpieczeństwo niż niepodległość i byłbym za bazami amerykańskimi w Polsce, gdyby obiecywały bezpieczeństwo. Niestety, nie obiecują.

•

Paweł Jasienica w tomiku szkiców „Polska anarchia" opisuje konflikty, jakie zachodziły wśród szlachty i magnatów w Polsce przedrozbiorowej, wolnej i niepodległej. Muszę przytoczyć dłuższy cytat. „W Olkienikach tryumfował motłoch szlachecki. Przewalały się po miasteczku tłumy pijane do zbydlęcenia. (…) Pod szablami panów braci padali wzięci do niewoli stronnicy Sapiehów. (…) Niezmordowanie uwijał się i podjudzał »krwawy ksiądz«, kanonik wileński… Śmierć mając w oczach, Michał Sapieha ukląkł przed duchownym. Prosił o wysłuchanie ostatniej spowiedzi. Ot! masz absolucyją – krzyknął ksiądz, bijąc klęczącego po twarzy". I w Koronie panowała anarchia, ale do największego zbydlęcenia dochodziło na Litwie i Rusi. „Przyzwyczailiśmy się sądzić – pisze Jasienica – że najciemniejsze karty naszych dziejów zapisała doba rozbiorów. Moim zdaniem czas »kollizji litewskiej« był gorszy". Wiadomo, że dzięki rozbiorom poprawiło się położenie chłopów w zaborach austriackim i pruskim, ale także szlachta została tam przymuszona do życia w sposób bardziej cywilizowany.

Instrukcja, jaką Charles Talleyrand miał przy sobie na kongresie wiedeńskim, w części dotyczącej Polski jest ścisła i wizjonerska. Choćby ze względu na osobę tego genialnego dyplomaty zasługuje na gruntowne przemyślenie. „Przywrócenie królestwa Polski byłoby dobrem, i to bardzo wielkim dobrem", ale żeby to nastąpiło – mówi instrukcja – musiałyby być spełnione warunki w tej chwili nieosiągalne. „Polska przywrócona niepodległości byłaby nieuchronnie przywrócona anarchii. (…) Otóż w jaki sposób, przywracając Polskę, odebrać wolność polityczną szlachcie albo nadać wolność obywatelską ludowi. Nie da się jej nadać deklaracją ani ustawą. (…) Anarchia była stanem, z którego Polska mogła się wydobyć tylko z pomocą władzy absolutnej; a że nie miała u siebie pierwiastków takiej władzy, trzeba było, aby przyszły one do niej z zewnątrz już w pełni ukształtowane, czyli żeby została podbita. (…) postępy, jakie poczyniły te jej części, które przypadły ludom bardziej od niej zaawansowanym w cywilizacji, dowodzą, że szczęśliwie dla niej stało się, że ją podbito".

Rozbiór Polski nie unicestwia jej na zawsze. Nie będąc państwem, ciałem politycznym, zachowują Polacy swój język, a w tym gwarancja, że się odrodzą. „Pod obcymi panowaniami dojdą wieku męskiego, do którego dojść nie mogli przez dziewięć wieków niezawisłości". (Cytaty z „Pamiętników" tłumaczonych przez Wiktora Dłuskiego).

Okresy niepodległości w historii narodu nie zawsze pokrywają się z okresami pomyślności społeczeństwa. Nawet państwo lenne bywa lepiej urządzone niż całkowicie niepodległe. Nie mówię, że tak jest zawsze, lecz że tak bywa. Przykładem może być Królestwo Polskie, zwane Kongresowym, nieporównanie wyżej stojące pod względem porządku, prawa, kultury politycznej, sądownictwa, rozwoju gospodarczego, poziomu moralnego i intelektualnego elity rządzącej niż Polska przedrozbiorowa. Niepodległość – tak, ale zależy od kogo i od czego. Z pewnością nie jest to taka świętość, dla której wolno mordować innych lub samemu dać się mordować.

eprasa.pl 4ddd52fe30

MŁODZIEŻ W KOLEJCE DO URN

Coraz więcej krajów chce przyznać prawa wyborcze 16-latkom

Silny ruch domagający się obniżenia wieku wyborczego działa w Irlandii Północnej. Popiera go komisarz do spraw dzieci i młodzieży Koulla Yiasouma (w środku).

Mateusz Mazzini

Obniżenie kryterium wiekowego osób, które mogą głosować w wyborach, jest już polityczną rzeczywistością w kilku miejscach na świecie. W Europie 16-latkowie mogą już pójść do urn w Austrii i na Malcie. Ich udział w wyborach do władz regionalnych dopuszcza też 10 landów w Niemczech. Wszystko wskazuje również na to, że, podobnie jak Szkoci, w 2021 r. młodzi Walijczycy otrzymają możliwość głosowania w wyborach do parlamentu narodowego. Poza Starym Kontynentem 16-latkowie mogą uczestniczyć w publicznych głosowaniach m.in. w Argentynie i Brazylii, na Kubie, w Ekwadorze. Niektóre kraje, jak chociażby Słowenia, Chorwacja oraz Bośnia i Hercegowina, wprowadzają dodatkowe kryterium, pozwalając głosować jedynie tym osobom w wieku 16-18 lat, które mają stałe miejsce pracy i regularny dochód. Bardzo poważnie obniżenie limitu wyborczego biorą pod uwagę niektóre stany w Australii i pojedyncze hrabstwa w USA. Co ciekawe, zdecydowana większość z tych miejsc dopuściła 16-latków do urn z zupełnie odmiennych powodów.

PIERWSZA BYŁA AUSTRIA

Państwa europejskie najczęściej mówią o misji edukowania najmłodszych członków społeczeństwa. Tak było w Austrii, która na tym polu jest absolutnym pionierem. Czynne prawo wyborcze 16-latkom przyznano tam bowiem już w 2007 r. Dziś Tamara Ehs, szefowa pozarządowej grupy IG Demokratie, mówi, że dopuszczenie młodszych wyborców do urn miało na celu zakotwiczenie ich na trwałe w demokracji. Nie spodziewano się więc przełomu w wyniku wyborów. Słowa Tamary Ehs świadczą o tym, że dla propagatorów obniżenia wieku wyborczego najważniejszy był sam udział nastolatków, bez względu na ich preferencje wyborcze. Liczby pokazują, że eksperyment ten w dużej mierze zakończył się sukcesem. Badania przeprowadzone przez dr Evę Zeglovits z Uniwersytetu Wiedeńskiego w 2012 r., a więc po zakończeniu pierwszego pełnego cyklu wyborczego z udziałem 16- i 17-latków na wszystkich poziomach głosowań (lokalnym i federalnym), pokazują liczby wręcz nieosiągalne dla wielu europejskich społeczeństw. W wyborach parlamentarnych 2008 r. uczestniczyło aż 86% uprawnionych do głosowania w wieku 16-18 lat. Co więcej, możliwość czynnego głosowania znacznie wpłynęła na ogólną świadomość polityczną młodych Austriaków. Jeszcze w 2004 r. jedynie 9% deklarowało „duże zainteresowanie" polityką, a „umiarkowanie zainteresowanych" było 25%. Cztery lata później, a więc już po przyznaniu im prawa do głosowania, odsetki te zwiększyły się odpowiednio do 23 i 34%. Znacznie też zmniejszyła się grupa „raczej niezainteresowanych" polityką – z 50 do 34%.

Oczywiście wyniki tych badań należy traktować z dużą ostrożnością. Do tak korzystnych rezultatów z pewnością przyczynił się dość mocno efekt nowości i początkowy entuzjazm związany z przyznaniem młodzieży czynnego prawa wyborczego. Potwierdziły to zresztą wyniki wyborów z 2013 r., gdy do urn poszło już tylko 63% uprawnionych nastolatków. To jednak wciąż dość wysoki wynik, zwłaszcza gdy przedstawi się go w szerszym kontekście. Pomimo spadku o ponad 20 pkt proc. frekwencja wśród najmłodszych wyborców w wielu regionach Austrii była wciąż wyższa o nawet jedną piątą.

ILOŚĆ NIE RÓWNA SIĘ JAKOŚĆ

O ile sama mobilizacja wyborcza okazała się sukcesem, o tyle mniej optymistyczne wnioski płyną z analizy zjawiska zwanego w naukach politycznych jakością głosu wyborczego. W dużym uproszczeniu termin ten

eprasa.pl 4ddd52fe30

odnosi się do stopnia świadomości politycznej wyborcy w momencie wrzucenia głosu do urny. Jakość głosu odzwierciedla znajomość linii ideologicznej i programu wybranej partii czy kandydata oraz aktywność osoby głosującej. Znów najlepiej widać to na przykładzie Austrii, która z racji przeszło 10 lat doświadczeń z głosowaniem od 16. roku życia jest kopalnią danych dla naukowców. Markus Wagner z Uniwersytetu w Adelajdzie wraz z Davidem Johannem i Sylvią Kritzinger z Uniwersytetu Wiedeńskiego przeprowadzili szczegółową analizę austriackich wyborów właśnie pod kątem jakości głosu. Wynika z niej dość jasno, że choć 16- i 17-latkowie często chętniej niż starsi wyborcy biorą udział w wyborach, to ich decyzje przy urnie są dużo mniej świadome. Głosujący z tej grupy wiekowej najmniej wiedzą o programach partii i w ogóle o ustroju państwa, najrzadziej także pracują dla organizacji pozarządowych lub w kampaniach wyborczych. Nie wchodzą też raczej w bezpośredni kontakt z politykami. Nie brakuje im za to zapału. Nie odstają od innych części elektoratu w udziale w demonstracjach ulicznych czy zbieraniu podpisów pod listami wyborczymi.

Co gorsza, są bardziej podatni na obietnice wyborcze populistów, bez względu na orientację ideologiczną. W Austrii stosunkowo dużą popularnością wśród najmłodszych wyborców cieszy się populistyczna wolnościowa partia FPÖ. To zjawisko znane jest także w innych krajach Europy. Nie przypadkiem najwięcej młodych wyborców w Hiszpanii mobilizuje Podemos, a we Włoszech – Ruch Pięciu Gwiazd. Wreszcie pamiętać należy, że i w naszym kraju od lat nadspodziewanie wysokim poparciem wśród nastolatków cieszy się Janusz Korwin-Mikke, nawet mimo nieustannych zmian szyldów, pod którymi startuje.

Poparcie dla populistów i nieodpowiedzialne używanie swojego głosu to główny argument w ręku przeciwników obniżenia kryterium wiekowego. Dr Michael Carr-Gregg, australijski psycholog dziecięcy, twierdzi wręcz, że głosowanie młodych to „szalony pomysł". Jego zdaniem w tym wieku nie ma się przecież wystarczająco szerokich horyzontów, nie rozumie działania mechanizmów wyborczych. Ulega się także obietnicom bez pokrycia. Na pierwszy rzut oka jego obawy mają sens. Biorąc pod uwagę wysoką frekwencję, czyli niemałą szansę na wpłynięcie na końcowy wynik wyborów, młodzi mogą potencjalnie stanowić bazę wyborczą, która populistom w wielu krajach pozwoli na skok jakościowy. Głosy 16- i 17-latków mogą się okazać brakującym ogniwem, bez którego populiści nie wchodziliby do parlamentów lub odgrywaliby w nich marginalne role. Ponadto, jak zwraca uwagę amerykański portal Bustle, głosujący 16-latkowie często wyrażaliby opinię w sprawach, które bezpośrednio ich nie dotyczą, jak chociażby zmiany podatkowe. Stąd poparcie dla obarczenia prawa do głosowania dodatkowym kryterium zarobkowym, jak to się stało w Słowenii, Chorwacji oraz Bośni i Hercegowinie. Ten argument wydaje się jednak mocno nietrafiony – w końcu wszyscy głosujemy choćby w sprawie różnych reform emerytalnych.

W Europie 16-latkowie mogą pójść do urn w Austrii, na Malcie oraz w 10 landach niemieckich.

MŁODYM TO SIĘ NALEŻY

Są jednak kraje, które do obniżenia kryterium wiekowego w czynnym prawie wyborczym podchodzą dużo bardziej pragmatycznie. Szkoci, którzy już to zrobili, oraz Irlandczycy, którzy poważnie to rozważają, chcą w ten sposób uratować katastrofalne często frekwencje w swoich wyborach. Przyciągnięcie do urn nastolatków miałoby na nowo rozruszać coraz bardziej apatyczne społeczeństwa. Kraje światowego Południa z kolei uważają, że globalizacja, zmiany klimatyczne i automatyzacja rynku pracy sprawiają, że młodym ten głos zwyczajnie się należy. Ponadto w tych społeczeństwach, dużo młodszych od europejskich, młodzi stanowią znaczny odsetek populacji. W dużo większym stopniu więc niż ich rówieśnicy ze Starego Kontynentu decydują o swojej przyszłości. Tak właśnie w 2012 r. obniżenie kryterium wiekowego w Argentynie argumentował rząd Cristiny Kirchner. Zdaniem ówczesnej prezydent w dzisiejszych czasach świat zmienia się szybciej niż kiedykolwiek, dlatego młodzi Argentyńczycy muszą jak najwcześniej móc się wypowiedzieć na temat kierunku tych zmian. Polityka bowiem dotyka ich wszędzie – w prawie do podróży bez paszportu, studiowania za granicą, picia czystej wody z kranu.

Lista ta zawiera też dużo bardziej bolesne aspekty życia nastolatków. Debata o obniżeniu wieku wyborczego została na nowo otwarta w Stanach Zjednoczonych na początku tego roku, gdy w strzelaninie w liceum w Parkland na Florydzie zginęło siedemnaścioro uczniów. Ich koledzy, którzy przeżyli zamach, szybko stali się twarzami ogólnokrajowej mobilizacji na rzecz utrudnienia dostępu do broni, a liderka ruchu, Emma González, okazywała polityczną dojrzałość i zdolności przywódcze równe kongresmenom z kilkudziesięcioletnim stażem. Pierwszym amerykańskim miastem, które obniży do 16 lat kryterium wiekowe czynnego prawa wyborczego, może zostać Golden w stanie Kolorado. Władze samorządowe zadecydują o tym w listopadowym głosowaniu. Jeśli decyzja będzie pozytywna, 16-latkowie będą mogli wybierać władze samorządowe miasta. Do zwolenników tej zmiany należy przede wszystkim Partia Demokratyczna, wśród nastolatków znacznie bardziej popularna od Partii Republikańskiej. Potwierdzają to dane. Według najnowszych informacji Departamentu Stanu w samej Kalifornii wstępnej rejestracji do głosowania dokonało w ostatnich dwóch latach ponad 200 tys. 16- i 17-latków. Oznacza to, że wszyscy będą już zarejestrowani na wybory prezydenckie w 2020 r. Wśród nich 34% określa się jako demokraci, mniej niż 10% – jako republikanie. Aż 47% zostawiło obie opcje otwarte, rejestrując się jako niezależni. Przykład amerykański pokazuje zatem, że bez względu na wiek nastolatków ich głosami politycy powinni interesować się jak najwcześniej. ■

FOT. PAUL FAITH/NIYF.ORG

eprasa.pl 4ddd52fe30

Wojciech Osiński
Korespondencja z Berlina

POLITYCZNA JESIEŃ ANGELI I ANDREI

Kryzys trwający w Wielkiej Koalicji odsłania słabości dwóch najbardziej wpływowych kobiet w Niemczech

Jak mogłaś do tego przyłożyć rękę? Nasi wyborcy tej decyzji nie zrozumieją – denerwował się wiceszef SPD Ralf Stegner, gdy usłyszał, że szef niemieckiego kontrwywiadu Hans-Georg Maassen, zamiast wylecieć z hukiem, został powołany na prestiżowe stanowisko w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych (pisaliśmy o tym w PRZEGLĄDZIE 39/2018). Andrea Nahles nie kryła (udawanego) zdumienia. – Jak to, nie zrozumieją? Powiedziałam, że Maassen nie będzie szefem kontrwywiadu i przecież już nie jest – odrzekła przewodnicząca socjaldemokratów. Gdy w kwietniu przejmowała schedę po Martinie Schulzu, jej śmiałość i „nieprzemakalność" odbierano w partii jako ozdrowieńczy powiew, uruchamiający siły do wewnętrznej naprawy. W pierwszych miesiącach celnie punktowała rząd, w którym właściwie zasiadają ministrowie z jej nadania. Im samym to nie zaszkodziło i znamienny jest fakt, że dziś w obronie Nahles musi występować Olaf Scholz, wicekanclerz w nielubianej Wielkiej Koalicji.

Teza, że każdy kryzys rządowy przekłada się od razu na SPD i jej szefową, potwierdziła się po raz pierwszy w lipcu, gdy w obozie CDU/CSU trwał spór azylowy. Nahles zakładała, że przeczekanie konfliktu między Angelą Merkel a Horstem Seehoferem przyniesie jej partii zyski sondażowe, jako że partnerzy koalicyjni sami się wykrwawią. Nadzieje te okazały się płonne, bo w oczach lewicowych wyborców jej milczenie w tak ważnej kwestii jak polityka migracyjna potwierdzało raczej opinię o słabej pozycji SPD jako przystawki chadeckiego rządu. Pomyłka jednak była jeszcze odwracalna, ewentualne błędy (m.in. powściągliwość w sprawie polityki azylowej) Nahles mogła naprawić lub przykryć sukcesami. Szczególnie dużo mogła ugrać w rozmowach o przyszłości broniącego AfD Maassena. Zamiast tego zgodziła się na wątpliwy *deal* z Seehoferem, przewidujący awans szefa BfV.

Dziś wiemy, że sprawa byłego szefa kontrwywiadu zaszkodziła wszystkim liderom koalicyjnych partii CDU, CSU i SPD, a tę ostatnią wyprzedza w niektórych sondażach nawet już skrajnie prawicowa AfD.

Szef bawarskiej chadecji Horst Seehofer przypuszczalnie powoli żegna się już z karierą polityczną. Niemieccy publicyści jednak rozpisują się także o zmierzchu Andrei Nahles, która dopiero niedawno została szefową SPD i jej frakcji w Bundestagu, oraz Angeli Merkel, która jeszcze musi trzy lata porządzić.

GNIEW MŁODYCH WILKÓW

Sprawa Maassena po raz wtóry odsłoniła przepaść w koalicji. Nahles i Merkel zapewne nie przewidziały, że kontrowersje wokół mało znanego urzędnika mogą zatoczyć aż tak szerokie kręgi i zaszkodzić im samym. Cały polityczny Berlin zadaje sobie pytanie, ile prób koalicja CDU-SPD będzie jeszcze w stanie wytrzymać. – Nasi wyborcy słusznie się zastanawiają, czy nie zwariowaliśmy – oburza się Carsten Linnemann, jeden z konserwatywnych młodych wilków we frakcji chadeków. Ostatnie konflikty w rządzie wzbudziły również gniew młodzieżówki SPD. – Głowa Maassena powinna polecieć już wcześniej. Teraz jest za późno – twierdzi Kevin Kühnert, szef Jusos.

Amunicji do ataku na szefową SPD dostarczyła informacja, że Maassen pozostanie w MSW i będzie otrzymywał na nowym stanowisku wyższe uposażenie. Lecz nie tylko kwestia wynagrodzenia byłego szefa BfV rozpaliła emocje młodych socjalistów. Awans Maassena w MSW wymagał zwolnienia niejakiego Gunthera Adlera z SPD, co zresztą sprawiło, że jego słaba rozpoznawalność zamieniła się w lawinę medialnego zainteresowania. Zamiast głowy Maassena Nahles położyła na tacy głowę Adlera – przynajmniej tak to widzą krytycy.

Pod naciskiem opinii publicznej Merkel, Seehofer i Nahles próbowali zminimalizować powstałe szkody. Podjęto decyzję, że Maassen co prawda zostanie w MSW, ale będzie mniej zarabiał. Wyborców jednak irytuje już nie tyle sprawa byłego szefa BfV, ile nieustanne konflikty między CDU, CSU i SPD, napędzane z kolei wewnętrznymi sporami ideowymi. Socjaldemokraci zżymają się, że ich partia stale daje się wodzić za nos chadekom. Teraz zaczynają się dystansować od Nahles nawet jej formalni zastępcy. Natascha Kohnen, liderka bawarskiej SPD i wiceszefowa partii, napisała do niej list otwarty, w którym domaga się zmiany kursu. – Obecna atmosfera przypomina okres po przegranych wyborach w 2017 r., gdy wszyscy chcieli dymisji Martina Schulza – mówi Sebastian Hartmann, szef nadreńskiej SPD.

Andrea Nahles rzeczywiście popełniła w ostatnich miesiącach wiele pomyłek. Nie przewidziała rosnącego sprzeciwu wobec Wielkiej Koalicji ani tego, że ona sama za bardzo jest z nią kojarzona. Także postępowanie wobec Martina Schulza do dziś odbija się jej czkawką. Kiedy trzon partii domagał się odejścia Schulza, który nie tylko przegrał wybory, ale i wbrew wcześniejszym zapewnieniom, że pozostanie w opozycji, chciał zostać szefem MSZ, Nahles najpierw energicznie go broniła. Potem uległa nastrojom w partii, choć niektórzy wciąż krytykują brutalny sposób, w jaki po-

Każdy kryzys Angeli Merkel przeradza się w kryzys Andrei Nahles.

eprasa.pl 4ddd52fe30

Andrea Nahles jest bardzo mocno kojarzona z Wielką Koalicją i kanclerz Angelą Merkel.

zbyła się poprzednika. Towarzysze zastanawiają się, dlaczego Nahles – mimo bogatego doświadczenia i 30 lat poświęconych SPD – tak często nie widzi swoich błędów.

ATAK Z DWÓCH STRON

W odróżnieniu od Sigmara Gabriela i Martina Schulza Andrea Nahles starannie wyselekcjonowała swój zespół pod względem lojalności. Z jednej strony, skutecznie zabezpieczyła się przed próbami puczu, ale z drugiej – zamknęła na konstruktywną krytykę z zewnątrz. Dlatego na każdą ocenę towarzyszy reaguje alergicznie: „Nie będziemy ulegać emocjom, koncentrujemy się na sprawach merytorycznych i troskach zwykłych obywateli". To jednak przestało już działać, członkowie i wyborcy SPD nie kupują podobnych wypowiedzi bez zastrzeżeń. Nieprzemakalność Andrei Nahles sprawia dziś wrażenie raczej odcięcia się od rzeczywistości.

Sytuacja wyglądałaby inaczej, gdyby Nahles musiała się zmagać z niezadowoleniem tylko jednego skrzydła partyjnego. Problem w tym, że z obecnym kursem nie zgadzają się socjaldemokraci o różnych poglądach. – Sądzę, że ostatnie decyzje przekroczyły już granicę wytłumaczalności. Jeśli chodzi o Wielką Koalicję, to wolałbym chyba straszny koniec niż strach bez końca. Myślę, że będzie coraz gorzej. Seehofer jest nieobliczalny i nie zdziwiłbym się, gdyby na stanowisko szefa kontrwywiadu mianował Frauke Petry (byłą liderkę AfD – przyp. red.) – uważa Johann Saathoff, jeden z liderów konserwatywnej grupy Seeheimer Kreis, który we Fryzji Wschodniej zdobył dla SPD w ostatnich wyborach ponad 50% głosów.

– Najpóźniej po dwóch latach powinniśmy skorzystać z zawartej w umowie koalicyjnej możliwości wyjścia z rządu – wtóruje mu Cansel Kiziltepe, polityczka z lewicowego skrzydła SPD. Nie oni jednak – doświadczeni posłowie – są liderami oporu, lecz szef partyjnej młodzieżówki. Kühnert nie pozostawia na Nahles suchej nitki, co sprawia, że na politycznej giełdzie jego akcje idą w górę. 29-letni Kühnert, żądający odnowy SPD w opozycji, uchodzi za potencjalnego następcę Nahles, którego wielu towarzyszy już teraz chętnie zobaczyłoby w bezpośredniej przepychance słownej z szefową partii.

Na razie przewodnicząca nie musi się tego obawiać. Gdy w ubiegłym tygodniu medialny szum wokół jej osoby przykryły inne wydarzenia na świecie i Nahles spokojnie przeglądała w biurze akta, zadzwonił do niej Thomas Oppermann (SPD). – Andrea, u chadeków szykuje się powstanie – powiedział wiceprzewodniczący Bundestagu. Nahles znów się zamyśliła, przecież doskonale wie, że każdy kryzys Merkel przeradza się w jej własny.

STYL KIEROWANIA

Nahles i Merkel łączy nie tylko to, że są najbardziej wpływowymi kobietami w kraju, obie nie lubią Twittera i chcą za wszelką cenę ocalić Wielką Koalicję. Merkel podobnie jak Nahles otacza się od lat wianuszkiem lojalnych współpracowników, co dawało jej poczucie bezpieczeństwa. Jednak ostatnie wydarzenia w obozie CDU/CSU pokazują, że ta strategia nie może trwać wiecznie. Tyle że Merkel rządzi od 13 lat, a Nahles kieruje partią i frakcją dopiero od pół roku. Problemy pani kanclerz powinny więc dostarczyć liderce SPD dużo materiału do przemyśleń.

25 września szefem klubu poselskiego chadeków został niespodziewanie 50-letni Ralph Brinkhaus, uchodzący za przeciwnika Merkel. Tym samym wpływów we frakcji został pozbawiony Volker Kauder, człowiek szefowej rządu. Niemieccy publicyści dostrzegają w tym wydarzeniu początek zmierzchu kariery Merkel. W przeszłości wielu usiłowało zepchnąć z cokołu szefową CDU. Christian Wulff robił to łagodnie, Friedrich Merz z nieskrywaną antypatią, a Roland Koch niczym podstępny lis. Szpilki wbija jej także bez ustanku Horst Seehofer. Mimo to do września 2018 r. żaden ze znamienitych „chadeckich słoni" nie mógł jej zaszkodzić. W kluczowych chwilach Merkel wykazywała się genialnym wyczuciem nastrojów, bez skrupułów eliminując konkurentów.

Nie jest więc pozbawiony ironii fakt, że polityczną jesień niezatapialnej kanclerki zainicjował nikomu nieznany Brinkhaus, skromny finansista z nadreńskiego miasteczka Wiedenbrück. – Nie będę atakował pani Merkel, chciałbym jedynie zmienić styl kierowania frakcją, otworzyć się na nowe środowiska – tłumaczył tuż po odniesionym zwycięstwie. W istocie, wielu chadeków miało już dość

Liderem oporu przeciw Andrei Nahles jest szef partyjnej młodzieżówki, 29-letni Kevin Kühnert.

FOT. XINHUA/EYEVINE/EAST NEWS

eprasa.pl 4ddd52fe30

Kaudera. Nie tylko dlatego, że był skłonny do zachowań, które oddane mu media tuszowały figlarnym słówkiem wpadka. 69-letni weteran chadecji rządził frakcją właściwie od początku kanclerstwa Merkel. Często zarzucano mu, że stracił kontakt z rzeczywistością. Na krytykę reagował z rozdrażnieniem, a niektórym posłom przestał nawet mówić dzień dobry. Można więc założyć, że chcieli teraz na nim się odegrać. Merkel nie musiała jednak do tego dopuścić. Wiedziała, że w CDU rośnie przeciwko niej opór, ale nadal mogła udaremnić rewoltę. Czemu tego nie zrobiła? Mogła przecież zamiast nielubianego Kaudera wystawić innego lojalnego kandydata, który zostałby zaakceptowany, np. Hermanna Gröhego. Kaudera zaś zadowolić funkcją w rządzie. On sam był jednak pewny zwycięstwa, Merkel z kolei nie mogła odrzucić prośby człowieka, który od 13 lat posłusznie wykonuje jej polecenia.

Teraz kanclerka wie, że będzie jej coraz trudniej samodzielnie zadecydować o pożegnaniu się z polityką. Bo jeśli młode wilki raz stwierdziły, że się udało, będą kroczyć dalej. A już w grudniu odbędzie się konwencja CDU w Hamburgu, na której szefowa partii będzie się ubiegać o reelekcję. Merkel sama napisała scenariusz swojego epilogu, oczywiście z happy endem. Nie bez kozery powołała zaufaną Annegret Kramp-Karrenbauer na stanowisko sekretarz generalnej. Potem chciała namówić wpływowych kolegów, by namaścili ją na jej następczynię. Problem w tym, że Kramp-Karrenbauer sama zaczyna się dystansować od przełożonej.

FINEZYJNE ROZGRYWKI

Załóżmy, że Merkel na grudniowym zjeździe CDU przegra z innym kandydatem. Co wtedy? Oczywiście nadal będzie kierować rządem. Ale jak to miałoby wyglądać? Jej autorytet doznałby ponownego uszczerbku. Poza tym jej kryzysy przekładają się na sytuację całej koalicji. Na okazję do wniosku o wotum nieufności czeka nie tylko opozycja. Merkel walczy więc również o swój polityczny testament. Adenauer kojarzony jest ze wskrzeszeniem demokracji w RFN, Kohl ze zjednoczeniem, Merkel zaś głównie z kryzysem migracyjnym i ratowaniem strefy euro, co nie jest osiągnięciem tak wielkim. Na pewno potrafiła finezyjnie rozgrywać przeciwników. Zagospodarowała elektoraty innych partii, zmierzając ku centrum. I o utrzymanie tego *status quo* będzie walczyć. Zwłaszcza gdy w czasach rosnącej w siłę AfD w szeregach CDU pojawia się coraz więcej pyszałków domagających się powrotu do konserwatywnych korzeni.

Chadeckie trzęsienie ziemi trwa bowiem nie tylko w Berlinie. W saksońskim landtagu szefem frakcji CDU został niejaki Christian Hartmann, który już otwarcie mówi o możliwości lokalnego sojuszu z AfD. Aby ocalić swój autorytet – wyciągając stosowne wnioski z blamażu Kaudera – Merkel mogłaby zrezygnować z ponownego kandydowania na szefową CDU i wystawić np. Armina Lascheta, premiera Nadrenii Północnej-Westfalii, który jest lubiany i umiejętnie niweluje podziały. Sukces Brinkhausa w Bundestagu może jednak ośmielić innych młodych chadeków do podjęcia własnych działań. Kanclerka wysyłała przecież swojej frakcji wyraźne sygnały, że odejście Kaudera zaszkodzi także jej samej. Posłom CDU było to obojętne. Można zresztą przypuszczać, że Brinkhaus i jego środowisko będą wbrew zapewnieniom stopniowo wywierać nacisk na Urząd Kanclerski, tym bardziej jeśli wyniki partii Merkel w nadchodzących wyborach w Bawarii i Hesji okażą się mierne.

Merkel oczywiście może też dotrwać na funkcji szefowej CDU i rządu do 2021 r. Jej pozycja na świecie jest zbyt wysoka, by podwładni mogli jej zadać śmiertelny cios. Zresztą to jest w tej chwili cały paradoks pani Merkel – przepaść między jej sytuacją w Niemczech a pozycją za granicą. W niektórych krajach, tak jak ostatnio w Jordanii czy w Izraelu, witano Merkel niczym brytyjską królową. Jej wystąpienia bywają przyjmowane gromkimi brawami, choć nieżyczliwe SMS-y z Berlina nie pozwalają zapomnieć o bolesnej krajowej rzeczywistości nawet podczas podróży zagranicznych. Gdy Merkel sama będzie mogła zadecydować o swoim schyłku, pójdą w górę także akcje Andrei Nahles i SPD. Jeżeli jednak już takie osoby jak Maassen czy Brinkhaus są w stanie zachwiać koalicją, to poważniejszy konflikt (a jest ich sporo, choćby tląca się wciąż afera spalinowa, dotycząca wycofania z rynku silników diesla) może ją zdmuchnąć i doprowadzić do przyśpieszonych wyborów.

Na ten scenariusz niektórzy są już przygotowani. Młodzi z Die Grünen i FDP spotykają się regularnie co tydzień w pewnym lokalu na Kurfürstendammie, pracując nad reanimacją koalicji jamajskiej. W dogodnym położeniu są zwłaszcza Zieloni, którzy po ostatnich sukcesach sondażowych (i niebawem zapewne wyborczych) mogą się okazać języczkiem u wagi. Kac niewykorzystanych szans doskwiera też bowiem politykom w SPD i Die Linke, snującym nadal marzenia o czerwono-czerwono-zielonym sojuszu. Powściągliwy zwykle Olaf Scholz ostatnio zaznaczył, że będzie teraz częściej uprawiał sport i odmawiał sobie tłustych potraw. – Nie chodzi mi o utratę wagi, chciałbym zyskać nową energię – zdradził.

Wojciech Osiński

To jest paradoks Angeli Merkel – przepaść między jej sytuacją w Niemczech a pozycją za granicą.

Jest przestępstwo i sprawca, który sam zgłasza się w prokuraturze. A PiS nic. Publikacja o zagadkowej bezczynności Ziobry **w nowym numerze tygodnika „NIE”.**

eprasa.pl 4ddd52fe30

Z Galicji

Jan Widacki

WSZYSCY PRZYJACIELE SOWY

Okazuje się, że premier Morawiecki też jadał u Sowy i Przyjaciół. Ujawnione ostatnio fakty przypominają również, że dzisiejszy premier i moralista, zachwycający się na jarmarkach twarogiem, przepadający za ludycznością, kiedyś lubił sobie dobrze podjeść wykwintnych potraw i popić je nie maślanką, ale niezłymi trunkami. Jedynie słownictwo premiera utrwalone na taśmach, wielokrotnie okraszane ulicznym k... jest świadectwem jego ówczesnego już przywiązania do ludu. Co gorsza, przy tej okazji przypomniano, że dzisiejszy premier, kolejny delfin PiS, kręcił się w kręgu przyjaciół z PO i w ich towarzystwie biesiadował! Teraz stało się już jasne, dlaczego PO nie budowała dróg: piła z Morawieckim!

Jeśli zeznania kelnerów nagrywaczy są prawdziwe, premier będzie miał jeszcze poważniejszy problem. Będzie musiał się wytłumaczyć, dlaczego chciał kupować nieruchomości lub brać kredyty na „słupy". Będzie musiał – jeśli nie teraz, to kiedyś. Ale na pewno będzie musiał. Zarzuty są zbyt poważne, by można było ich nie wyjaśnić. Dlaczego wątek ten uszedł uwadze prokuratury prowadzącej śledztwo w sprawie nagrań? Wszak dzisiejsze „rewelacje" pochodzą z akt prokuratorskich czy sądowych sprawy Falenty i kelnerów! Przecież prokuratura, znając te fakty, miała obowiązek je sprawdzić. Dlaczego tego nie zrobiono? Celowo? Przez niechlujstwo lub lenistwo? Może ktoś w prokuraturze nie dopełnił obowiązku albo przekroczył uprawnienia? To też wymaga zbadania. Jeśli nie teraz, to kiedyś.

Czy kolejna afera taśmowa to przypadek, czy następny etap rozgrywki Ziobro kontra Morawiecki?

A to, że sprawa jest poważna, potwierdza fakt, że zabrał głos sam pan prezydent Duda. Prezydent próbuje ją bagatelizować. Mówi językiem Ewangelii („Kto jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem"). Już to zasługuje na uwagę. Po pierwsze, nawet jeśli prezydent próbuje sprawę zbagatelizować, a jednak zabrał na jej temat głos, nie jest ona bez znaczenia. Po drugie, jakieś „grzechy" premiera sprzed kilku lat jednak dostrzegł i chodziło chyba nie tylko o daleki od mowy inteligenta język z wyrazistym przerywnikiem na k... Po trzecie, rodzi się pytanie, czy to łatwe, ewangeliczne grzechów odpuszczanie dotyczy tylko swoich, czy wedle pana prezydenta ma szerszy zasięg. Jak się ma np. do ustawy „dezubekizacyjnej" i krzywdzenia zasłużonych oficerów służb III RP za to, że kiedyś, przed przeszło 30 laty, zaczynali służbę w organach PRL?

Dziennikarze Onetu ujawnili ten dotyczący premiera fragment akt teraz. Pojawia się kolejne pytanie: przypadkiem? Czy może ktoś im to podpowiedział, mówiąc, czego i gdzie mają szukać? Ujawnili to, co Ziobrowa prokuratura od dawna wiedziała. Ziobro nie wiedział? Nie wierzę. Nie chciał tego ujawnić czy wolał sam tego nie robić? Zręczniej dla niego, kiedy ujawnili to i nagłośnili dziennikarze? A więc przypadek czy kolejny etap rozgrywki Ziobro kontra Morawiecki?

Ale sprawą znacznie poważniejszą, wymagającą pilnego wyjaśnienia jest co innego. Jak to możliwe, że nielegalne nagrania z knajpy wciąż mają wpływ na polską politykę? Jak to możliwe, że mimo prawomocnego skazania osób, które zlecały lub wykonywały nagrania, organy ścigania nie dysponują wszystkimi taśmami, że nowe nagrania wciąż jeszcze się ukazują to tu, to tam. Może przypadkiem, a może niekoniecznie przypadkiem.

Świadczy to albo o kompletnej indolencji naszych służb policyjnych i specjalnych, albo przeciwnie – o tym, że toczą one jakąś grę, sterując zza kulis polską polityką, lub po prostu uczestniczą w rozgrywkach wewnątrz obozu władzy. Jedno i drugie jest w najwyższym stopniu niebezpieczne dla państwa. Teoretycznie jest także możliwość trzecia, jeszcze gorsza. Nasze służby są wodzone za nos przez jakąś obcą służbę.

Ten absurdalny z pozoru pogląd traci nieco absurdalności, jeśli zważyć, że w tle afery jest handel rosyjskim węglem.

Jeśli rządzący nie palą się do wyjaśnienia tego problemu, tym bardziej jego wyjaśnienia powinna się domagać opozycja. Powinni też domagać się dziennikarze.

Na razie domagają się w sposób, delikatnie mówiąc, dość umiarkowany.

eprasa.pl 4ddd52fe30

CZYJA MACEDONIA WAŻNIEJSZA

W referendum dotyczącym zmiany nazwy kraju wzięło udział niewiele ponad 36% uprawnionych

Paweł Drąg
Korespondencja ze Skopja

Wiec zwolenników porozumienia z Grecją i wejścia do Unii Europejskiej.

Końcówka września upłynęła w Skopju pod znakiem chaosu i niepewności. Każdego dnia lokalne gazety przynosiły sprzeczne informacje dotyczące przyszłości tego niewielkiego kraju, otoczonego Albanią, Bułgarią, Grecją, Kosowem i Serbią. Było to związane z zaplanowanym na 30 września referendum, w którym obywatele Macedonii mieli się wypowiedzieć, czy chcą, aby weszła w życie wynegocjowana z Grecją umowa kończąca spór o nazwę państwa. W wyniku ugody ich terytorium miało się stać Republiką Północnej Macedonii. W zamian Grecy obiecali przestać blokować Macedończykom drogę do przystąpienia do Unii Europejskiej oraz NATO. Dla dwumilionowego narodu to prawdopodobnie jedyna szansa wydźwignięcia się z problemów, które od lat dotykają kraj.

Niepewność w stolicy

25 września od samego rana na dwóch placach Skopja były montowane sceny koncertowe. Nikt nie wiedział, kto miał na nich wystąpić, zabrakło też plakatów zaspokajających ciekawość. Wieczór przyniósł dwa zgoła odmienne obrazy rzeczywistości. Na placu Macedońskim postawiono głośniki, z których przez kilka godzin płynęła muzyka. Obok powiewały nieliczne flagi Unii Europejskiej oraz Macedonii. Poza tym nic się nie działo, więc mieszkańcy omijali to miejsce z daleka. Jeszcze przed godz. 22 flagi zniknęły z placu. Tak jakby w ostatniej chwili ktoś zrezygnował z organizacji większego wydarzenia.

W tym samym czasie ledwie kilkaset metrów dalej, po drugiej stronie mostu, na Starej Czarsziji, na małym placu niedaleko Bit Bazaru, przemawiał lokalny polityk. Przekonywał kilkusetosobową publikę o zaletach przynależności do Unii Europejskiej. W trakcie jego wystąpienia rozdawano flagi UE, USA oraz Albanii. Towarzyszył temu aplauz rozgorączkowanej widowni. Po kilku chwilach polityk opuścił podest, a jego miejsce zajęła gwiazdka hip-hopu. Następnie odpalono petardy, co jednak pociągnęło za sobą dramatyczne skutki – zdezorientowani hukiem kierowcy rozpędzonych aut zderzyli się ze sobą kilkanaście metrów od miejsca eventu. Przedreferendalne prognozy przewidywały, że to właśnie Albańczycy, którzy głównie stanowili publiczność imprezy, będą decydującą siłą podczas referendum. Stanowią oni około jednej czwartej ludności Macedonii i w zdecydowanej większości opowiadają się za przystąpieniem do Unii.

Dzień później w całym Skopju pojawiły się plakaty wzywające do bojkotu referendum z hasłami: „Bojkotuję Północ, Macedonia na zawsze/tylko Macedonia" i „Bojkot ustalonego referendum za Północą". Po kilku godzinach wiele z nich zostało zerwanych lub zamalowanych. Od rana po mieście krążyły liczne patrole policji. Kilka razy widzieliśmy, jak wstrzymywano ruch, gdy przejeżdżała kolumna kilkunastu aut na rosyjskich numerach rejestracyjnych. Może to potwierdzać doniesienia o zaangażowaniu Moskwy w konflikt grecko-macedoński.

27 lat konfliktu

Spór Macedonii z Grecją trwa od 27 lat, kiedy to podczas rozpadu Jugosławii nowo utworzone państwo przyjęło nazwę Republika Macedonii. Problem w tym, że nazwa Macedonia jest jednocześnie używana na określenie północnego regionu Grecji. Dla Greków nazwa sąsiedniego państwa była czytelnym sygnałem ambicji terytorialnych Macedończyków i chęci zagarnięcia praw do spuścizny antycznej Macedonii. Wywołało to potężne oburzenie w Grecji. Ateny zrobiły wszystko, aby na wiele lat wstrzymać negocjacje akcesyjne Macedonii z Unią Europejską i NATO. W 1992 r. na greckie ulice wyszło ponad milion protestujących. Kilkanaście miesięcy po tym zdarzeniu Ateny nałożyły na Macedonię embargo handlowe. W 1995 r. pojawiły się jednak zalążki porozumienia, zgodnie z którym Macedonia zgodziła się na nazwę Była Jugosłowiańska Republika Macedonii (ang. The Former Yugoslav Republic of Macedonia – FYROM). Jednocześnie zmieniła wzór

eprasa.pl 4ddd52fe30

kontrowersyjnej flagi oraz dopisała do konstytucji ustęp o braku roszczeń terytorialnych wobec sąsiadujących państw. Odpowiedzią Greków było zniesienie embarga.

Po kilku latach nastąpił kolejny przełom. Wiele krajów, m.in. Polska, zdecydowało się wycofać poparcie dla Grecji, uznając kraj pod nazwą Republika Macedonii. Nie sprawiło to jednak, że zyskała ona przewagę w politycznych przepychankach. Pogrążona w problemach społeczno-gospodarczych Macedonia, dotknięta rosnącym bezrobociem i potężną korupcją, zrozumiała, że musi zrobić wszystko, aby jak najszybciej stać się członkiem Unii Europejskiej. Już w 2011 r. monumentalny pomnik Aleksandra Wielkiego, który stanął na starówce Skopja, został oficjalnie nazwany pomnikiem bojownika na koniu, aby nie pogłębiać konfliktu z Grecją. W roku 2018 rząd macedoński zmienił nazwę skopijskiego lotniska z Portu Lotniczego im. Aleksandra Wielkiego na Międzynarodowe Lotnisko Skopje, autostradę im. Aleksandra Wielkiego nazwano zaś Autostradą Przyjaźni.

Te pojednawcze gesty nie uspokoiły Greków. Mniej więcej w tym samym czasie na ulice Aten, Salonik i innych miast wyszło prawie 140 tys. osób, protestujących przeciw nazwaniu sąsiedniego kraju Macedonią. Wśród transparentów dominowały: „Macedonia to Grecja!" i „Zostawcie w spokoju Macedonię!". W tak niekorzystnej atmosferze 12 czerwca tego roku premier Grecji Aleksis Tsipras i premier Macedonii Zoran Zaew ogłosili osiągnięcie porozumienia między obydwoma krajami. Zgodnie z nim władze Macedonii przystały na zmianę nazwy państwa na Republikę Macedonii Północnej. Grecy zaś zgodzili się na to, by Macedończycy używali słowa macedoński w odniesieniu do języka, jakim mówią mieszkańcy republiki, uznając tym samym ich tożsamość etniczną. Jednocześnie zaplanowano kroki, które mają doprowadzić do realizacji jeszcze w tym roku wszystkich zapisów porozumienia. Są nimi: ratyfikacja porozumienia przez parlament w Skopju, podpisanie porozumienia przez prezydenta Macedonii, wycofanie sprzeciwu Grecji wobec rozpoczęcia negocjacji w sprawie przystąpienia Macedonii do Unii Europejskiej i zaproszenia jej do NATO, referendum w Macedonii i zatwierdzenie zmiany konstytucji, wreszcie usankcjonowanie umowy przez grecki parlament.

Wyników porozumienia żadna ze stron nie przyjęła jednak z zadowoleniem. I w Grecji, i w Macedonii zarzucano politykom zdradę interesów państwowych. Efektem tego stały się demonstracje w Skopju i Salonikach. Przeciwnicy zmiany nazwy kraju to dziś przede wszystkim niewielkie nacjonalistyczne ugrupowania, które jednak mocno wspiera obecny prezydent Macedonii Gjorge Iwanow, wywodzący się z konserwatywnej partii WMRO-DPMNE, która sprawowała władzę w latach 2006-2017.

NATO czeka

30 września Macedończycy mieli odpowiedzieć na pytanie: „Czy jesteś za członkostwem w UE i NATO, akceptując umowę między Republiką Macedonii i Republiką Grecji?". Po przeliczeniu 43,57% głosów okazało się, że przeszło 90% głosujących odpowiedziało twierdząco. Problem w tym, że w referendum wzięło udział niewiele ponad 36% uprawnionych. Fatalny wynik z całą pewnością może pogłębić kryzys w kraju. Mimo że referendum miało charakter konsultacyjny, tak niska frekwencja wytrąciła wiele argumentów z rąk orędownikowi zmian, premierowi Zoranowi Zaewowi. Mimo to błyskawicznie poinformował on, że zwoła przedterminowe wybory, jeśli się okaże, że parlament nie uszanuje woli obywateli i nie poprze zmiany nazwy kraju. – Jeżeli, jak wszyscy się spodziewamy, większość obywateli była „za", wtedy przyszłość jest oczywista – powiedział tuż po zamknięciu lokali wyborczych. – Jestem zdeterminowany, aby doprowadzić Macedonię do UE i NATO. Czas na wsparcie dla europejskiej Macedonii – dodawał.

Plakat nawołujący do bojkotu referendum.

FOT. PAWEŁ DRĄG

W kontrze do niego Hristijan Mickoski, przywódca głównej partii konserwatywnej opozycji, powiedział, że referendum było „bardzo nieudane", a rząd „utracił swoją legitymację". Tymczasem aby macedoński parlament mógł zatwierdzić zmianę nazwy kraju, potrzebne jest poparcie dwóch trzecich wszystkich posłów. Uważa się, że obecnie brakuje do tego 11 deputowanych. Wyniki referendum miały pomóc ich odnaleźć...

Ocieplenie relacji między Grecją i Macedonią jest bardzo ważne dla Unii. Do Skopja w ostatnich tygodniach udali się m.in. szef NATO Jens Stoltenberg, sekretarz obrony USA James Mattis, a także kanclerz Niemiec Angela Merkel. Po ogłoszeniu wyników referendum szefowa unijnej dyplomacji Federica Mogherini powiedziała, że politycy muszą działać „ponad partyjnymi podziałami", natomiast Jens Stoltenberg napisał na Twitterze, że „drzwi NATO są otwarte". – Od Skopja zależy decyzja o kolejnych krokach. NATO jest gotowe powitać ten kraj jako naszego 30. członka, ale jedynym sposobem jest wdrożenie umowy dotyczącej nazwy. Nie ma innej drogi do członkostwa w NATO – dodał na konferencji przed spotkaniem ministrów obrony państw UE. Jednocześnie greckie MSZ wydało komunikat, że mimo niepowodzenia referendum w Macedonii Grecja nadal będzie popierała zawarte porozumienie.

Wolno i z licznymi problemami, ale wydaje się, że przybliża się zakończenie jednego z poważniejszych sporów współczesnej Europy. Na razie w obu krajach wstrzymano oddech – w oczekiwaniu na kolejne decyzje. Jedno nie ulega wątpliwości – niezależnie od tego, co się stanie, i tak wielu Greków, Macedończyków i Albańczyków będzie niezadowolonych. ■

epresse.pl 4ddd52fe30

MIASTO, KTÓRE NIE POZWALA ZASNĄĆ

Mieszkańcy Madrytu mają dość hałasu

Tomasz Skowronek
Korespondencja z Madrytu

Bum! Trzask! Trrr! I znowu. Nieważne, rano czy w nocy. Brzęk rozbijanego szkła, głośny śmiech czy wycie klaksonów zaczyna ci towarzyszyć bez przerwy. Do tego rozmowy, gwizdy i niosące się krzyki.

Wystarczy spędzić kilka dni w Madrycie, aby się przekonać, że miasto żyje w nieustannym hałasie. Kierowcy trąbią bez przerwy o każdej porze. Ciągle słychać policyjne syreny, przyśpieszanie lub hamowanie motocykla, samochody dostawcze rozładowywane o poranku, śmieciarki. Przy takim hałasie trudno zasnąć, odpocząć, zregenerować siły.

BOTELLÓN NA ROGU ULICY

Beatriz Zabala doskonale zna to uczucie. Od 13 lat mieszka w samym centrum, w dzielnicy La Latina. Jej cechą charakterystyczną są wąskie uliczki, urocze, stare budynki i małe placyki. Okolica tętni życiem w dzień i w nocy.

Sześć lat temu przy ulicy, gdzie mieszka Beatriz, otwarto nowy koktajlbar. Powstał w miejscu dawnego sklepu rybnego. Od tego czasu dziewczyna w domu nie może porządnie się wyspać. – Mamy podwójne szyby w oknach, ale to nic nie daje – mówi zrezygnowana. Prawie 30% wszystkich lokali w dzielnicy centralnej rozwija działalność hotelarską lub dyskoteki. – Policja twierdzi, że nic nie może z tym zrobić: nie może zamknąć lokalu ani nie może zmierzyć hałasu, bardzo poważnie rozważam przeprowadzkę do innej dzielnicy – dodaje.

Na taki krok zdecydował się Roberto Majano, który przez niemal 20 lat mieszkał przy ulicy Cava Baja, uchodzącej za jedną z najruchliwszych i najpiękniejszych w całym mieście. – Sprzedałem mieszkanie i przeprowadziłem się kilka ulic dalej. Choć tak naprawdę można stwierdzić, że zostałem ze swojej ulicy wyrzucony. Ta cała turystyka, pijaństwa, krzyki i wymioty to atak na mieszkańców. Odpowiedzialni za ten stan rzeczy są zarówno właściciele knajp, jak i rada miejska, która nie sprawuje kontroli nad przestrzenią publiczną – wskazuje. W ciągu tych 20 lat liczba hoteli i hosteli w okolicy Roberta wzrosła z 20 do ok. 50.

W centrum pełno jest nocnych barów i dyskotek, z których krzyki wylewają się na sąsiednie ulice. Lokalne władze już pięć lat temu próbowały ograniczyć hałas. Odmawiały wydawania licencji na bary i kluby. W połączeniu z podwyższeniem podatku od sprzedaży napojów alkoholowych doprowadziło to do zamknięcia w Madrycie od 60 do 100 nocnych klubów. Jednak nie sprawiło, że miasto ucichło. W Hiszpanii popularne jest *botellón*, picie z przyjaciółmi alkoholu z butelek na rogach ulic, na placach lub w parkach. – Ten nielegalny, ale kultywowany przez młodych ludzi obyczaj skłonił niektórych mieszkańców do wyprowadzki z głośnych dzielnic – opowiada Antonio Cano-Vindel, psycholog, prezes hiszpańskiego Towarzystwa Badania Lęku i Stresu. Hiszpański dziennik „El Mundo" wskazał jeszcze inne przyczyny nocnego hałasu. Wymienił m.in. prowadzone z reguły przez przybyszów z Dalekiego Wschodu *supermercado* – sklepiki czynne zazwyczaj całą dobę, oraz zakaz palenia, który wypchnął palaczy na ulicę.

ŻYJ I POZWÓL ŻYĆ

W całej Hiszpanii prawie 12 mln osób – około jednej czwartej populacji kraju – jest stale narażonych na hałas większy niż dopuszczalny, wy-

eprasa.pl 4ddd52fe30

nika z raportu Europejskiej Agencji Środowiska. Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) szacuje, że hałas jest drugim co do ważności źródłem problemów zdrowotnych, ustępując pod tym względem tylko problemowi z jakością powietrza. WHO zaleca ekspozycję na nie więcej niż średnio 40 dB na noc. Jako główny sprawca hałasu przywoływany jest ruch drogowy, a następnie kolej, lotniska, przemysł i – coraz częściej – życie nocne. Oprócz stresu wysoki poziom hałasu wywołuje upośledzenie funkcji poznawczych, nadciśnienie, choroby układu krążenia, a nawet może się przyczynić do przedwczesnej śmierci. W badaniu opublikowanym w 2016 r. przez „Environmental Research" naukowcy z Instytutu Zdrowia Uniwersytetu Karola III i Autonomicznego Uniwersytetu w Madrycie stwierdzili, że u osób w wieku 65 lat lub starszych jednorazowy wzrost ekspozycji na hałas może spowodować nawet zgon z powodu takich stanów jak zawał mięśnia sercowego, choroba niedokrwienna serca, choroba naczyń mózgowych, zapalenie płuc, przewlekła obturacyjna choroba płuc lub cukrzyca. Organizacja zajmująca się ochroną zdrowia przekonuje, że jeśli człowiek śpi mniej niż osiem godzin, może to prowadzić do zaburzeń umysłowych i sercowo-naczyniowych, zarówno nagłych, jak i przewlekłych. Niektórzy eksperci prawni mówią wprost, że jest to zamach na podstawowe prawa obywateli.

Na Półwyspie Iberyjskim największy problem z hałasem wiąże się z rozrywkowym życiem nocnym. Hiszpania, podobnie jak każdy inny kraj śródziemnomorski, kocha swój styl życia na świeżym powietrzu, nazywany tutaj *vivir y dejar vivir* – czyli żyj i pozwól żyć. Ale nie zawsze tak było. Manuel Fraga, który był ministrem informacji i turystyki podczas dyktatury Franco oraz przez krótki czas szefem MSW, ukuł powiedzenie, że „ulica należy do niego". Jak wyjaśnia Francesc Daumal Domènech, profesor związany z Uniwersytetem Katalonii, gdyby na ulicach pojawiły się więcej niż trzy osoby, policja natychmiast kazałaby im się rozejść. – Gdy zakończył się frankizm, wreszcie mogliśmy wyjść na ulicę i wyrazić siebie. I zrobiliśmy to. Ulica nie należała już do Fragi – teraz należała do nas wszystkich.

Na czele tej zmiany kulturowej była La Movida Madrileña, scena madrycka. Po śmierci caudilla i przywróceniu wolnych wyborów oraz swobody wypowiedzi artyści, muzycy i pisarze zakwestionowali ograniczenia dyktatury, zaczęli wychodzić na ulice, chodzić do barów. Pojawiły się nowe trendy w modzie, muzyce, literaturze, sztukach plastycznych i kinie.

Ta celebracja wolności miała miejsce także w innych hiszpańskich miastach – m.in. w Barcelonie, Maladze, Vigo, Bilbao czy Sewilli. – Władze miejskie zaczęły wydawać pozwolenia na otwieranie barów, aby istniał obszar, gdzie ludzie mogliby pójść na kieliszek wina – zauważa Jorge Pinedo Hay, który jest prawnikiem angażującym się w walkę z nadmiernym hałasem. – To zmieniło miasto w sposób nieodwracalny. Jeśli umieścisz 20 barów w małej przestrzeni, wyrzucisz swoich mieszkańców, ponieważ ci nie wytrzymają hałasu.

W całej Hiszpanii prawie 12 mln osób – około jednej czwartej populacji kraju – jest stale narażonych na hałas większy niż dopuszczalny poziom.

Enrique Tierno Galván, jeden z pierwszych demokratycznych burmistrzów Madrytu, stał się znany z zachęcania ludzi do wychodzenia z domów i traktowania ulic Madrytu jak własnych. – Chcemy, aby Madryt był miastem żywym, a jego ożywienie zależy w dużej mierze od żywotności tych placów, które odzyskujemy dla ludzi – powiedział w słynnym przemówieniu z 1984 r. Od tamtej pory zaczęto mówić: *Madrid nunca duerme* – Madryt nigdy nie śpi.

SILNE LOBBY BARÓW

Prawdziwym symbolem awangardy i tolerancji stała się madrycka dzielnica Chueca. W okolicy znajdują się liczne bary, które latem otwierają tarasy, rynek produktów ekologicznych i sklepy z najnowszymi ubraniami i butami. Chueca jest centrum koncertów i wydarzeń kulturalnych podczas imprezy Gay Pride, która odbywa się co roku pod koniec czerwca lub na początku lipca. Sama zaś okolica jest dość kolorowa, hipsterska, wielokulturowa, praktycznie nigdy nie zasypia.

– Mam prawo tu mieszkać, to strefa mieszkalna. Moja prywatność i dobre samopoczucie powinny być szanowane – mówi Esteban Benito w rozmowie z „El País". Jego dom stoi bardzo blisko Plaza de Chueca. Głośna muzyka przez prawie całą dobę siedem dni w tygodniu tak irytowała Estebana, że zaczął szukać w internecie informacji o stowarzyszeniach mieszkańców, do których mógłby dołączyć. Okazało się, że takich ludzi jak on, mających dosyć uciążliwego nadmiernego hałasu, jest znacznie więcej. Wraz z innymi mieszkańcami założył stowarzyszenie sąsiedzkie, które próbuje ograniczyć hałas w dzielnicy. – Ludzie przychodzą tutaj i myślą, że wszystko im wolno.

Podobne organizacje powstały nie tylko w Madrycie i innych hiszpańskich miastach, ale także w Paryżu, Turynie, Lizbonie czy Mediolanie (w tym ostatnim swego czasu powstał nawet pomysł zakazania sprzedaży lodów po północy). W sumie stowarzyszenia sąsiedzkie walczące o ograniczenie hałasu powstały w 45 miastach Europy (głównie we Włoszech, we Francji i w Hiszpanii).

Wielu mieszkańców blisko współpracuje z różnymi organizacjami oraz prawnikami, takimi jak Jorge Pinedo, aby przekonać władze miejskie do wysłuchania ich obaw. Biuro Pineda w Madrycie otrzymuje rocznie niemal tysiąc skarg na hałas, ok. 30 trafia do sądu. – To nie było łatwe – przyznaje Pinedo – po części dlatego, że bary mają silne lobby.

Jednak dzięki wysiłkom jego i stowarzyszeń miejskich wydaje się mniej nowych licencji na bary, istniejące restauracje muszą wcześniej kończyć działalność na zewnątrz, a nowe plany zagospodarowania przestrzennego są wdrażane indywidualnie dla każdego przypadku. W szkołach mówi się dzieciom o problemach związanych z nadmierną ekspozycją na hałas. Wraz z lokalnymi władzami stowarzyszenia miejskie prowadzą programy, aby pomóc nauczycielom i uczniom zrozumieć wpływ zanieczyszczenia akustycznego na zdrowie i środowisko. Przede wszystkim jednak udało się zwrócić uwagę na to, że hałas ma szkodliwy wpływ na nasze życie. ■

eprasa.pl 4ddd52fe30

POŻEGNANIE
TADEUSZA DREWNOWSKIEGO

Tadeusz Drewnowski był krytykiem spełnionym. Wiedział, że jego powołaniem jest opisać to, co uznał za etyczne przesłanie pisarzy pokolenia wojennego, z którym się utożsamiał. Choć nieco młodszy, miał do tego prawo nie tylko ze względu na męczeńską śmierć ojca i brata w Palmirach, sam także doznał jako 14-latek trującego oddechu nazistowskiej katowni. Wyróżnił zwłaszcza dwóch pisarzy: Tadeusza Borowskiego, który nie radząc sobie z własnym wyborem, wcześnie zakończył życie, i Tadeusza Różewicza z jego kartoteką podziemnej walki zbrojnej, powojennej ideologizacji życia i wszystkich rozkoszy małej stabilizacji. Wiedział też, jak ważne było objawione w „Dziennikach" świadectwo Marii Dąbrowskiej jako najgłębiej może myślącej łączniczki między duchowością Polski odrodzonej i rozterkami w obliczu Polski kształtującej się z powojennej magmy.

Był wreszcie spełniony dlatego, że kiedy już przestał być redaktorem działu kultury „Polityki", mógł podjąć się uniwersyteckich wykładów o współczesnej literaturze polskiej z jej dwoma płucami: krajowym i emigracyjnym. W stanie wojennym, kiedy tak wiele nazwisk nie funkcjonowało w obiegu publicznym, wykłady były wolne od tych ograniczeń. Tak powstawała książka „Literatura polska 1944-1989. Próba scalenia. Obiegi – wzorce – style", do dziś stanowiąca wzór uczciwego rozliczenia – z literaturą i samym sobą.

Do tych książek długo jeszcze będziemy wracać.

Andrzej Lam

POCZTA OJ TAM, OJ TAM

Były takie piękne lata, kiedy doręczyciel Poczty Polskiej przynosił paczkę o godz. 7 rano, bo wiedział, że o tej porze zastanie kogoś w domu. Zależało mu na jej dostarczeniu, a nie na pozorowaniu aktywności. Niestety, nadeszła epoka firm zewnętrznych. Od tamtej pory, jeśli człowiek nie chce się uganiać za swoją przesyłką, musi sobie organizować jakiegoś odbiorcę na czas bliżej nieokreślony.

28 września w Ełku zostają nadane przez tę samą osobę dwie paczki priorytetowe na jeden adres w Warszawie. Pierwsza ma szczęście i zostaje doręczona 1 października około godz. 14. Co się dzieje z drugą? Według strony e-monitoringu głównie nic. Infolinia jest dla ekstremalnie upartych. Wreszcie 2 października paczka zostaje wydana doręczycielowi o godz. 7.30. Pan dzwoni tuż przed południem i pyta, gdzie jestem – jak przeciętna osoba w wieku produkcyjnym w pracy. A kiedy będę w domu? Po 20. No nie, to za późno. A jutro? Do 10 rano. Nie, pan wyjeżdża o 9.30, nie zdąży. Proszę o zostawienie awizo. Na stronie e-monitoringu informacje o awizowaniu pojawiają się nawet dwie. W naturze, czyli w skrzynce lub w komórce – wcale. Dzwonię do doręczyciela. A, nie mógł się dostać na klatkę, to „pani sobie pójdzie z dowodem i odbierze" (poczta na ul. Senatorskiej 40). Jak działa takie dorozumiane awizo? Co ma nie działać, przecież jesteśmy w Polsce. A ja bym chciała, żeby prowizorka i bylejakość przestały być podstawą działania polskich instytucji.

Aleksandra Pańko

APEL

Koleżanki i koledzy dziennikarze byłego „SZTANDARU MŁODYCH",

reporterzy, pracownicy redakcji i nasi korespondenci, autorzy publikacji w „SM" oraz publikacji i książek o „SM"!

Od dawna myśleliśmy o opisaniu fenomenu „SM", dziennika, który nie bez powodu nazywano kuźnią talentów.

Przygotowujemy obszerne wydawnictwo o naszej gazecie i ludziach, którzy ją tworzyli. Bez Waszej pomocy nie damy rady w pełni udokumentować dorobku „Sztandarowej" rodziny. Dlatego prosimy o kontakt.

Liczymy na Waszą współpracę, życzliwą pamięć i pomoc, a także przekazanie naszego apelu wszystkim zainteresowanym

Zwracamy się też do członków rodzin, dzieci, wnuków i prawnuków pracowników „SM" oraz czytelników „SZTANDARU MŁODYCH".

Interesują nas wszelkie pamiątki po Waszych przodkach i krewnych związane z ich dziennikarską i zawodową przygodą ze „SZTANDAREM": zdjęcia, zszywki, wycinki, zachowane numery i przełomowe artykuły, kolekcje autorskie i tematyczne, plakaty i fotosy, okolicznościowe dodatki i wkładki, książki Biblioteczki SM, artykuły niewydrukowane, świadectwa pomyłek i wpadek redakcyjnych, zapiski z zebrań zespołu, protokoły kolegiów, dyplomy, legitymacje, nagrody dziennikarskie i odznaczenia, cokolwiek się zachowało i co przechowujecie.

Prosimy o kontakt CZYTELNIKÓW „SM", fanów gazety, kolekcjonerów i hobbystów, miłośników jazzu, kinomanów, kibiców, uczestników akcji i kampanii redakcyjnych, wszystkich, którzy na coś czekaliście w „SZTANDARZE", coś wycinaliście z gazety i do tej pory to macie. Pisaliście listy do redakcji i autorów wybranych publikacji? Może odpisali?

Jerzy Domański, Paweł Dybicz,
Leopold Dzikowski, Edward Mikołajczyk

E-mail: sztandar@tygodnikprzeglad.pl **Adres pocztowy: ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa** **Telefon: 798 181 930**

eprasa.pl 4ddd52fe30

75. rocznica utworzenia 1. Dywizji Pancernej im. Tadeusza Kościuszki

Od Lenino do Berlina

KOŚCIUSZKOWCY NA DRODZE DO NIEPODLEGŁOŚCI

Czujemy się jak żołnierze drugiej kategorii

Rozmawia Paweł Dybicz

GEN. ZENON POZNAŃSKI
– wiceprezes Stowarzyszenia Ogólnopolska Rodzina Kościuszkowców

PŁK WIESŁAW KORGA
– prezes Związku Weteranów i Rezerwistów Wojska Polskiego

W tym roku przypada 75. rocznica utworzenia 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, niebawem obchodzona będzie rocznica bitwy pod Lenino. O rocznicach tych jest jednak cicho, nie mówi się o nich oficjalnie.

Gen. Zenon Poznański: – W mediach generalnie te rocznice nie istnieją, ale nie jest tak, że nie są obchodzone. Przykładem może być choćby uroczystość w Surażu koło Białegostoku, w której uczestniczyliśmy jako stowarzyszenie. Nadano tam parkowi miejskiemu imię kościuszkowca, bohatera II wojny światowej, kpt. Antoniego Jabłońskiego, który przeszedł cały szlak bojowy dywizji od Lenino do Berlina i zawiesił biało-czerwoną flagę na Kolumnie Zwycięstwa w zdobytej stolicy III Rzeszy. Odsłoniliśmy tam tablicę pamiątkową oraz złożyliśmy kwiaty na jego grobie i grobie nieznanego żołnierza poległego w bitwie o Suraż w 1920 r.

To raczej chlubny wyjątek. Dzisiaj słyszy się tylko o obchodach 100-lecia odzyskania niepodległości.

Z.P.: – Oczywiście ta rocznica dominuje we wszelkich przekazach – i słusznie. My też uczestniczymy w tych obchodach i wiele naszych przedsięwzięć poświęcamy upamiętnieniu tej rocznicy. Przecież po 123 latach odzyskaliśmy niepodległość i tej niepodległości jako żołnierze staraliśmy się bronić. Nie można zapominać, że na tej drodze do niepodległości byli także kościuszkowcy. Wracając do poprzedniego wątku, powiem, że wymownym symbolem mogą być pomniki w Surażu. Obok obelisku poświęconego bohaterom wojny 1920 r. stoi tablica upamiętniająca żołnierza kościuszkowca, który idąc ze Wschodu, w polskim mundurze, z bronią w ręku, wyzwalał Ojczyznę spod hitlerowskiej okupacji. Takie po prostu są koleje naszej historii i nie da się tego wymazać przemilczeniami, eliminowaniem niewygodnych bohaterów.

Choćby dokonań i dorobku kościuszkowców.

Z.P.: – Nasza historia jest często zawiła, ale jest nasza. Zapominanie, jaki wkład w tę historię wnieśli kościuszkowcy, i próby wręcz wyrzucania ich dorobku i męstwa na śmietnik są co najmniej aroganckie.

Czy ci, którzy służyli w Wojsku Polskim w czasie wojny, którzy byli kościuszkowcami, mają poczucie, że są traktowani jako kombatanci gorszego sortu?

Z.P.: – Bardzo ładnie w naszej publikacji o kościuszkowcach mówi o tym biskup polowy gen. Józef Guzdek: „Nie wolno dzielić kombatantów, trzeba jednakowo szanować tych, co walczyli na Wschodzie, Zachodzie i w kraju". Jako żołnierz, który służył w Wojsku Polskim od 1964 do 1990 r., przechodząc drogę od szeregowca do generała, nigdy nie czułem się spadkobiercą żołnierzy niosących ze Wschodu na bagnetach komunizm czy zniewolenie. Miałem przekonanie, że byli to żołnierze, którzy

eprasa.pl 4ddd52fe30

na głos swojego sumienia, patriotyzmu, na głos swoich rodziców i najbliższych wyszli z głębi ogromnego kraju i stanęli w szeregach Wojska Polskiego, by walczyć o wolność Ojczyzny. Nie wszystkim było dane zdążyć do armii gen. Andersa, więc wstąpili do nowo tworzonej dywizji w Sielcach na Oką i stanęli do walki. Jaki mieli wybór? Czy można ich nazywać żołnierzami drugiej kategorii?!

W naszym kościuszkowskim klubie, działającym przy Związku Kombatantów RP i Byłych Więźniów Politycznych, są byli żołnierze 1. DP, byli żołnierze AK, w tym tacy, którzy wstąpili w szeregi 1. i 2. Armii WP i zakończyli swój szlak bojowy w Berlinie, a także byli żołnierze podziemia. I zapewniam, że nie ma wielkich różnic między nimi. Wszyscy są patriotami kochającymi swoją Ojczyznę.

Istnieje wiele publikacji o walkach polskich żołnierzy w czasie II wojny światowej, m.in. publikacji żołnierzy walczących na Zachodzie. Wielu z nich podkreśla ogromną waleczność i miłość do Ojczyzny tych, którzy w polskich mundurach szli ze Wschodu. Nie widzę żadnych podstaw, żeby krew żołnierza polskiego przelaną pod Calais, Dunkierką, Monte Cassino czy nad Renem odróżniać od krwi tych, co walczyli i ginęli na polach bitew pod Lenino, pod Warszawą, na Wale Pomorskim, nad Odrą czy w Berlinie.

To prawda, ale chyba zgodzi się pan ze mną, że w ramach polityki historycznej IPN ci, którzy szli ze Wschodu, są traktowani jako gorsi kombatanci.

Z.P.: – Tak, ale zastanawiam się, jak można tak osądzać tych żołnierzy, przecież byli to głównie wysiedleńcy z Kresów, polskich Kresów. To jacy oni byli obcy?

Płk Wiesław Korga: – To, co mówisz, jest prawdą, ale to jest nasze odczucie. Trzeba jednak jasno powiedzieć, że w obecnej sytuacji społeczno-politycznej kościuszkowcy, wszyscy żołnierze 1. i 2. Armii, są traktowani jako kombatanci gorszego sortu. To, co robi IPN, w ogóle to, co mówi się dzisiaj w mediach o tych żołnierzach, jest niesprawiedliwe i fałszywe. Ci kombatanci i my, którzy jesteśmy ich następcami, czujemy się nie tylko niedowartościowani i obrażani, ale wręcz poniżani. Świadczy o tym chociażby sprawa naszego stowarzyszenia. Związkowi Weteranów i Rezerwistów Wojska Polskiego podobnie jak Związkowi Żołnierzy odmówiono przedłużenia umowy najmu lokalu w koszarach przy ul. 11 Listopada w Warszawie. Członkami naszego związku są weterani różnych armii i oddziałów partyzanckich okresu II wojny światowej, również AK. Czuli się bardzo zawiedzeni, upokarzani, kiedy zaczęto opluwać LWP, że to polskojęzyczne wojsko Armii Czerwonej. Wielu rządzących pięknie mówi, ale kiedy zwracamy się o pomoc w zorganizowaniu wyjazdu np. na tereny walk o Wał Pomorski, do Wałcza, gdzie na tamtejszym cmentarzu leży 6 tys. żołnierzy, władze zajmujące się kombatantami, ale nie tylko, odpowiadają: nie ma pieniędzy.

Z jednej strony, prezydent Duda w Siekierkach mówi, że nie można dzielić polskich kombatantów, ale z drugiej, trudno dostrzec, aby ktoś z jego Kancelarii zabrał głos choćby w obronie pomników z krzyżami grunwaldzkimi, bo w opinii IPN są one symbolami komunizmu.

Z.P.: – Rzeczywiście, co innego się mówi, a co innego robi. Podczas prac nad przygotowaniem uroczystości z okazji 75-lecia bitwy pod Lenino spotkaliśmy się z min. Janem Józefem Kasprzykiem, szefem Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Obiecał nam duże wsparcie – nie tylko moralne, ale też finansowe i organizacyjne – w przygotowaniu jubileuszu dywizji kościuszkowskiej, np. zorganizowanie wyjazdu pod Lenino delegacji rządowej oraz objęcie patronatem honorowym uroczystości. Dlatego do urzędu skierowaliśmy odpowiednie pisma…

Domyślam się, że nic z tego nie wyszło?

Z.P.: – Wkrótce z sekretariatu urzędu otrzymaliśmy tylko ustne powiadomienie, że pan minister nie będzie w tego rodzaju uroczystościach partycypował. Oczywiście nie dostaliśmy żadnego wsparcia, ani moralnego, ani materialnego. Po prostu niczego. Mało tego, nikt z urzędu, mimo wysłanych zaproszeń, nie przybył na uroczystości, które zorganizowaliśmy. A były to uroczystości przed Grobem Nieznanego Żołnierza, pod pomnikiem Kościuszkowca na Pradze, w Katedrze Polowej WP na Starym Mieście oraz na cmentarzu Powązkowskim. Wysłaliśmy również zaproszenie do objęcia patronatem naszych uroczystości do szefa MON Mariusza Błaszczaka, który jest przecież legionowianinem, mieszkańcem miasta, gdzie stacjonował sztab dywizji kościuszkowskiej. Niestety, jego sekretariat telefonicznie poinformował nas, że ministra to nie interesuje! Mimo to wysłaliśmy zaproszenia do MON, jednak nikt z ministerstwa swoją obecnością nas nie „zaszczycił".

Nie koniec na tym. Ponieważ minister Kasprzyk zachęcał nas, abyśmy złożyli pismo o dotację i wsparcie organizacji jubileuszu, pismo takie złożyliśmy. Podobne prośby złożyły inne organizacje. Wszystkie wsparcie otrzymały, poza nami. Na tak wielką uroczystość, jubileusz 75-lecia utworzenia 1. DP, środków zabrakło. Ba, nie było nawet żadnej reakcji władz. To jak mamy się czuć?

Właśnie, jak?

Z.P.: – Jak żołnierze drugiej kategorii III Rzeczypospolitej. Zarówno ci, którzy walczyli na froncie, jak i ci, którzy podjęli zaszczytną służbę obrońców Ojczyzny. Na dowód

1

1. Sielce nad Oką, rekrutacja do kościuszkowców.
2. 6 maja 1943 r., „Wolna Polska", organ ZPP, informuje o utworzeniu Polskiej Dywizji im. T. Kościuszki.
3. 15 lipca 1943 r., przysięga, kościuszkowców, z prawej ich dowódca płk Zygmunt Berling, z lewej kapelan Wilhelm Kubsz.

eprasa.pl 4ddd52fe30

tego powiem, że wszystkie jednostki wojskowe utworzone przez 1. i 2. Armię WP zostały albo przemianowane, albo całkowicie zlikwidowane. Jako ostatnia 1. Warszawska Dywizja Zmechanizowana im. Tadeusza Kościuszki.

Czyli obserwujemy proces wygaszania tradycji nie tylko kościuszkowców, ale też 1. i 2. Armii WP?

Z.P.: – Oczywiście. I ten proces zaczął się nie za aktualnej władzy, tylko dużo wcześniej. Na przykład PO przygotowała wiele ustaw, które nas dyskryminowały. Wprowadziła m.in. zakaz pochówku generałów na cmentarzu Powązkowskim. Nawet SLD zachował się niegodnie w stosunku do armii. Wojskowi i byli wojskowi znaleźli się tylko w Sejmie i Senacie I kadencji. Później zostali całkowicie wyeliminowani z list wyborczych. W Senacie znalazł się tylko płk Wiesław Pietrzak. Nawet gen. Hermaszewski nie miał szans na udział w pracach parlamentu.

To wygaszanie, eliminowanie tzw. LWP ma wielorakie przejawy. Chodziłem do szkoły, której patronem był 1. Praski Pułk 1. DP. Dziś to szkoła im. Tomasza Morusa, którego związki z Polską i Polakami trudno znaleźć.

Z.P.: – Te przemianowania obserwujemy niemal wszędzie. W Wesołej, która rozwinęła się dzięki wojsku, zlikwidowano ulicę 1. Praskiego Pułku. Nam, w Legionowie, przy przychylnym stosunku włodarzy miasta i przy poparciu miejscowej społeczności, udało się utrzymać nazwę ulicy 1. Warszawskiej Dywizji Zmechanizowanej oraz szkołę jej imienia. Okazuje się, że tam, gdzie miejscowi stanowczo protestują przeciw usuwaniu pomników żołnierzy 1. i 2. Armii, przeciw eliminowaniu ich tradycji, obecna władza ma problemy z narzucaniem swoich koncepcji postrzegania historii.

Żołnierze 1. i 2. Armii WP mają potomków. Jak panowie oceniacie ich postawę? Czy stają w obronie honoru ojców i dziadków?

Z.P.: – Trzymam w ręku pendrive, na którym dzieci i wnuki kpt. Jabłońskiego nagrały film dokumentalny o swoim wielkim ojcu i dziadku. Choćby na tym przykładzie widać doskonale, że ludzie się nie wstydzą przynależności przodków do wojska, które szło ze Wschodu i wyzwalało Polskę. Ludzi służących w formacjach, o których mówimy, były i są setki tysięcy. Tylko przez 1. DP od 1943 r. do jej likwidacji w 2010 r. przewinęło się ponad 600 tys. ludzi. Proszę wejść na fora internetowe poświęcone kościuszkowcom. Tam przeważają pozytywne komentarze. W 70. rocznicę zakończenia wojny w uroczystościach w Podgajach na Wale Pomorskim uczestniczyło kilka tysięcy ludzi. Więcej było tylko w Moskwie i na Westerplatte. Tradycje 1. i 2. Armii kultywuje młodzież z wielu grup rekonstrukcyjnych. Podobne przykłady można mnożyć.

W.K.: – Nie wszędzie jest odczucie, że WP wyzwalało spod okupacji niemieckiej. Na Lubelszczyźnie, Zamojszczyźnie czy Podlasiu wiele osób nie rozumie tamtego okresu i walki żołnierza o wolność swojej Ojczyzny. Patrzą na to jednostronnie, mówią, że to były wojskowe formacje przy Armii Czerwonej. Do tego nastawienia przyczyniają się niektórzy działacze Światowego Związku Armii Krajowej. W efekcie dochodzi do takich sytuacji jak w Łukowie – gdy doniesiono, że współorganizatorami rocznicowej imprezy są weterani z LWP, wójt został wezwany na rozmowę. Ale na tamtym terenie są i inne postawy. Kiedy w Dorohusku organizowaliśmy 70. rocznicę przekroczenia Bugu przez kościuszkowców, najrozsądniej zachował się miejscowy ksiądz, miał najbardziej patriotyczne wystąpienie. Wójt w uroczystościach nie uczestniczył, bo podobno bał się kolegów z własnej organizacji partyjnej.

Gdzie znajdują się najsilniejsze środowiska kultywujące tradycje kościuszkowców oraz 1. i 2. Armii?

Z.P.: – Tam, gdzie stacjonowały jednostki po wojnie, m.in. w Legionowie, Lublinie, Wrocławiu, w wielu miastach Wielkopolski, Koszalinie, Kołobrzegu, Słupsku, Olsztynie, Bartoszycach czy Węgorzewie. Jak również tam, gdzie na Ziemiach Odzyskanych osiedli żołnierze.

IPN nie uda się zatem wyrugować ze świadomości społecznej tradycji kościuszkowskiej?

Z.P.: – Nie, bo historii nie da się zakłamać. Będziemy nadal czynić starania o to, by następne pokolenia znały historie żołnierzy, którzy szli ze Wschodu. My jako Stowarzyszenie Ogólnopolska Rodzina Kościuszkowców będziemy podejmować takie działania, jak wyjazd do Katynia, i Lenino (patrz: Program obchodów, s. 50 – red.), mimo wielu przeciwności i postaw rządzących. To wynika nie tylko z naszej woli, ale takie są oczekiwania Polaków.

Paweł Dybicz

VOLNA POLSKA

ORGAN ZWIĄZKU PATRIOTÓW POLSKICH

Nr. 10 Moskwa, 6 marca

wności i otuchy

Komunikat

O UTWORZENIU POLSKIEJ DYWIZJI im. TADEUSZA KOŚCIUSZKI

Rząd Radziecki postanowił zadośćuczynić prośbie Związku Patriotów Polskich w ZSRR w sprawie utworzenia na terytorium ZSRR polskiej dywizji im. Tadeusza Kościuszki w celu wspólnej walki z Armią Czerwoną przeciwko najeźdźcom niemieckim.

Formowanie polskiej dywizji już się rozpoczęło.

Odpowiedzi Józefa Stalina na zapytania korespondenta amerykańskiej gazety „New York Times" i angielskiej gazety „Times"

Braterstw

2

3

FOT. FoKa/FORUM (3), KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (2), REP. Z KSIĄŻKI „BERLINGOWCY. ŻOŁNIERZE TRAGICZNI"

eprasa.pl 4ddd52fe30

POLSKA, A NIE POLSKOJĘZYCZNA

Nie da się wykreślić z historii Polski czynu zbrojnego żołnierzy na froncie wschodnim

Adam Koseski

Tyle świadomości narodu, ile jego zbiorowej pamięci. Z tej pamięci po roku 1989 próbuje się niekiedy wymazywać, wyrywać fakty z dziejów polskich sił zbrojnych na Wschodzie, zniekształcać je i podważać, niemal odwzorowując poczynania propagandy z lat 1948-1956, brutalnie atakującej II Rzeczpospolitą i odmawiającej jej dokonaniom miejsca w dziejach państwa i narodu czy też kwestionującej męstwo i wkład w zwycięstwo nad hitleryzmem Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Patrząc na proces tworzenia zalążków armii polskiej pod kierownictwem politycznym lewicy, należy uwzględnić ówczesne tło historyczne, realia międzynarodowe, warunki, w jakich działali politycy radzieccy, działacze Związku Patriotów Polskich i Centralnego Biura Komunistów Polski. Jednym słowem, konieczne jest spojrzenie krytyczne, zobiektywizowane, ale nie ahistoryczne.

Formowanie jednostek wojskowych na obcej ziemi ma długą tradycję zarówno w dziejach Polski – wystarczy odwołać się choćby do Legionów Polskich we Włoszech gen. Henryka Dąbrowskiego – jak i w historii innych państw. Po zwycięstwach Hitlera w pierwszym okresie II wojny światowej, tj. do konfliktu niemiecko-radzieckiego, na terytorium Wielkiej Brytanii zaczęły powstawać formacje polskie, francuskie, czechosłowackie, belgijskie, holenderskie czy norweskie. Pod względem liczebności, a niekiedy i siły bojowej były one mocno zróżnicowane, lecz ich wysiłek wsparł opór Anglii na tyle skutecznie, że Wyspy Brytyjskie uniknęły losu Francji.

Na terytorium „wielkiego agresora" z pierwszej fazy wojny – ZSRR, odpowiedzialnego za napaść na Polskę i Finlandię, po 22 czerwca 1941 r. zaczęły się formować jednostki wojskowe czechosłowackie, jugosłowiańskie, a następnie rumuńskie i tuż przed zakończeniem zmagań wojennych – węgierskie.

Znaczenie militarne tych jednostek było niewielkie, ale zgoda Moskwy na ich tworzenie wynikała przede wszystkim ze strategicznych interesów bolszewickiego mocarstwa, a także z celów politycznych sił i ugrupowań, które, wykorzystując przyzwolenie Kremla, dążyły do tworzenia zalążków sił zbrojnych po wyzwoleniu. Był to ważny instrument w walce o władzę, jej kształt i program społeczny, zwłaszcza bezpośrednio po zakończeniu zmagań wojennych.

Szczególny charakter miało formowanie jednostek polskich, najliczniejszych wśród oddziałów wojskowych innych państw. Na ziemi radzieckiej w krótkim czasie dwukrotnie budowano od podstaw siły zbrojne sojuszniczej Polski. Było to wydarzenie bez precedensu, by po zorganizowaniu jednej armii, która nie weszła do walki i opuściła terytorium wschodniego alianta, zgodził się on na tworzenie, pod innym wprawdzie kierownictwem i w odmiennej sytuacji strategiczno-politycznej, nowego organizmu wojskowego.

Wyjście armii gen. Władysława Andersa zdecydowanie pogorszyło stosunki polsko-radzieckie, a nade wszystko sytuację Polaków, zarówno ludności cywilnej, jak i wojskowych, a także osób zdolnych do służby, które nie zostały żołnierzami. Ewakuacja armii Andersa okazała się posunięciem krótkowzrocznym, szkodzącym polskiej racji stanu i stosunkom z potężnym aliantem wschodnim, mającym coraz więcej do powiedzenia w rozgrywce Wielkiej Trójki o powojenny ład międzynarodowy.

Józef Stalin, mając dobre rozeznanie stosunków między aliantami zachodnimi a rządem RP na uchodźstwie, raz jeszcze podjął decyzję o utworzeniu formacji polskich w ZSRR. Nie chciał zrezygnować z szansy wykorzystania sprawy polskiej w rozgrywkach z mocarstwami zachodnimi. Rozumiał przy tym, że droga do Berlina prowadzi przez ziemie Polski, więc ustanowienie w niej rządu nie tylko mu przyjaznego, ale wręcz satelickiego zapewni ZSRR rozszerzenie strefy jego wpływów.

Po zwycięstwie pod Stalingradem rola Stalina w decydowaniu o losach wojny znacznie się zwiększyła – stał się bardzo ważny, jeśli nie najważniejszy, wśród przywódców Wielkiej Trójki koalicji antyhitlerowskiej. Dysponując wiedzą o nastrojach pozostałej przy życiu polskiej kadry oficerskiej, zaaprobował prośbę zarówno działaczy poli-

4. 15 lipca 1943 r., defilada zaprzysiężonej 1. DP.
5. Wrzesień 1943 r., wyjazd na front.
6. 19 stycznia 1945 r., defilada kościuszkowców w wyzwolonej Warszawie.

eprasa.pl 4ddd52fe30

tycznych skupionych w Związku Patriotów Polskich, jak i grupy oficerów z ppłk. Zygmuntem Berlingiem o utworzenie formacji gotowej do udziału w walkach z Niemcami w sojuszu z Armią Czerwoną.

Szansy zbudowania nowej armii nie zaprzepaścili organizatorzy 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki i kolejnych związków formowanych na terytorium radzieckim, tj. 1. Korpusu i Armii Polskiej. Nie było to zadanie łatwe również ze względu na daleko posuniętą rezerwę, wręcz niechęć części działaczy komunistycznych do tworzenia zwartych oddziałów złożonych z Polaków. Uważali oni, że po doświadczeniach z armią gen. Andersa polskie jednostki powinny być formowane tylko w strukturach Armii Czerwonej.

Decyzja rządu radzieckiego z 6 maja 1943 r. o powołaniu kolejnej polskiej jednostki wojskowej zapadła po zerwaniu przez Stalina stosunków dyplomatycznych z rządem RP w Londynie (25 kwietnia 1943 r.), po wykryciu i ujawnieniu przez Niemców grobów oficerów polskich, wziętych do niewoli w wyniku napaści ZSRR z września 1939 r. i rozstrzelanych na polecenie Stalina w Katyniu.

Z pewnością nowa formacja była wojskiem polskim, a nie polskojęzycznym. Warto dodać, że utworzenie 1. DP zaakceptowała Polonia amerykańska, która powołała dla jej wsparcia Ligę Kościuszkowską.

Żołnierze dywizji rekrutowali się z tej samej grupy Polaków, z której była organizowana armia gen. Andersa. Byli zapewne równie krytyczni wobec ideologii bolszewickiej jak żołnierze, którzy ewakuowali się do Iranu. Potrafili jednak wznieść się ponad poczucie krzywdy, udrękę, poniewierkę i głód. „Znad spienionej Syrdarii i z aułów Kirgizji – pisał Leon Pasternak (1910-1969) – jadą chłopcy do armii walczyć w polskiej dywizji / Twarz z tęsknoty wychudła tylko błyszczą się oczy / Żegnaj – niebo południa! Żegnaj – mroźna północy!". Poeta dobrze wiedział, że żołnierskie twarze wychudły nie tylko z tęsknoty, lecz i z katorżniczej pracy w niezwykle trudnych warunkach klimatycznych.

Ta masa zesłańców, z których ledwie część mogła „dostać broń do ręki i polski mundur", miała świadomość, że jest to dla niej jedyna droga powrotu do Polski i walki z najeźdźcą.

Główną przeszkodą w organizowaniu 1. DP był brak kadr, zwłaszcza oficerskich. Zamordowanie ok. 20 tys. oficerów – jeńców wojennych z września 1939 r., a następnie ewakuacja z armią gen. Andersa ok. 4 tys. oficerów spowodowały, że w początkach lipca 1943 r. nowo formowana jednostka dysponowała zaledwie 195 oficerami, podczas gdy etat dywizji zakładał przyjęcie niemal 840 osób. Nieco lepsza była sytuacja z korpusem podoficerskim.

Życie wewnętrzne jednostki szkolonej w przyśpieszonym tempie oparte zostało na wzorach wojska II Rzeczypospolitej. Nawet jeśli przyjmiemy, że był to zabieg propagandowy, swoista socjotechnika czasu i okoliczności, i tak polskie umundurowanie, hymn narodowy, ceremoniał wojskowy, obecność kapelanów dawały poczucie więzi z tradycjami narodowymi, w tym legionowymi, co przejawiało się w śpiewaniu „My, Pierwsza Brygada". Dzień rozpoczynano i kończono „Rotą". Dywizja miała biało-czerwony sztandar z napisami: „Honor i Ojczyzna" oraz „Za wolność Naszą i Waszą". Na czapkach żołnierze mieli piastowskiego orła.

Życie religijne organizował ks. mjr Franciszek Wilhelm Kubsz, który od pierwszego zjazdu Związku Patriotów Polskich (9-10 czerwca 1943 r.) stał się jedną z najważniejszych postaci wśród żołnierzy. Podlegał tylko dowódcy, Zygmuntowi Berlingowi, mając zupełną samodzielność w kształtowaniu praktyk religijnych i formowaniu żołnierskiego patriotyzmu. Wprawdzie jego stosunki z Włodzimierzem Sokorskim, zastępcą dowódcy ds. oświatowych, nie układały się najlepiej, ale nie przeszkadzało mu to w posłudze duszpasterskiej. To on przygotował do dywizyjnej gazety dodatek „Bóg i Ojczyzna". Dobrze zapisał się w pamięci żołnierzy przed bitwą pod Lenino, dodając im otuchy i wiary w słuszność sprawy, o którą walczą.

Wiele krytycznych, w sumie mało uzasadnionych uwag prowokuje dzisiaj treść przysięgi i zasada podległości 1. DP, a następnie 1. Korpusu i sił zbrojnych tworzonych w ZSRR, dowództwu Armii Czerwonej. Rota ślubowania traktująca o wierności ziemi ojczystej i narodowi polskiemu zawierała zwrot o sojuszniczej wierności ZSRR i jego siłom zbrojnym. Przeciwko temu zwrotowi protestowała część żołnierzy, w związku z czym usunięto go w 1944 r., lecz przywrócono po wojnie.

5

6

eprasa.pl 4ddd52fe30

Czy rota przysięgi była serwilistyczna, jak widzą to niektórzy krytycy, a operacyjne podporządkowanie dowództwu Armii Czerwonej stanowiło naruszenie obowiązujących w tej mierze norm? Warto przypomnieć, że Legiony Józefa Piłsudskiego złożyły przysięgę sojuszniczej wierności imperium Habsburgów i jego siłom zbrojnym. Treść przysięgi zobowiązywała moralnie Polaków, by dotrzymali słowa i stanęli w potrzebie razem z żołnierzami ACz, do czego zachęcali oficerowie oświatowi, a nie polityczni.

Co do podległości operacyjnej dowództwu radzieckiemu – sprawa jest zupełnie klarowna. Porozumienia wojskowe władz polskich na uchodźstwie od 1939 r. do 1941 r. zawierały klauzule o operacyjnym podporządkowaniu dowódcom wojsk alianckich, w tym brytyjskim, francuskim, amerykańskim i radzieckim. Słynne polskie dywizjony lotnicze w Wielkiej Brytanii i marynarka wojenna zostały włączone w skład jednostek brytyjskich, nosiły ich mundury opatrzone naszywkami „Poland". Pod kątem dowodzenia operacyjna dyspozycyjność 1. DP oraz tworzonych później formacji, podporządkowanie ich dowództwu ACz nie mogą być w żaden sposób kwestionowane.

1. DP im. Tadeusza Kościuszki wykonała również zadanie polityczne, dzięki czemu umocniła przekonanie Stalina, że na Polaków można liczyć jako na sojuszników. Polskie formacje wojskowe, których zalążkiem była 1. DP, realizowały w ówczesnych warunkach treść umów polsko-radzieckich z 1941 r. Wypełniały ich postanowienia, od czego uchylił się rząd RP na uchodźstwie. Armia gen. Andersa swój żołnierski obowiązek, także za cenę wielkich strat na Monte Cassino i pod Arnhem, spełniła chlubnie. Jej końcowa droga wiodła jednak na emigrację. Szlak wojska polskiego na Wschodzie prowadził – przez Warszawę i Berlin – na ojczystą ziemię, w takim jej kształcie, jaki ustaliła Wielka Trójka na konferencjach w Teheranie, Jałcie i Poczdamie.

To dzięki wysiłkom żołnierzy 1. DP, 1. Korpusu, 1. Armii możliwy stał się powrót do kraju Polaków z ZSRR w kilku falach repatriacyjnych, trwających niemal do końca lat 50.

Zawieszając biało-czerwony sztandar na Kolumnie Zwycięstwa w parku Grosser Tiergarten i na Bramie Brandenburskiej, żołnierze kościuszkowcy zrobili to w imieniu narodu polskiego i tych uczestników walk przeciwko faszyzmowi na różnych frontach, którzy nie dostąpili zaszczytu szturmu na Berlin.

Polska racja stanu nakazywała walkę polskich żołnierzy w szeregach koalicji antyhitlerowskiej bez względu na orientację polityczną ośrodków władzy: rządu RP na uchodźstwie i w kraju. Polskie formacje na froncie zachodnim i wschodnim walczyły razem z aliantami i wniosły niekwestionowany wkład we wspólne zwycięstwo. Wypełniły chlubnie swój żołnierski obowiązek, stanowiąc czwarte pod względem liczebności i potencjału bojowego sojusznicze siły zbrojne. Ich cel militarny był jeden – pokonanie wroga. Jednak konflikt rządu RP na uchodźstwie, któremu alianci zachodni cofnęli uznanie, z rządem lewicy, wspieranym przez ZSRR, oznaczał osłabienie realnego wymiaru wysiłku żołnierza polskiego na Zachodzie.

Bez względu na próby rewizji przebiegu i rezultatów II wojny światowej, podejmowane niekiedy w polskiej historiografii, front wschodni był jej kluczowym obszarem. I tu właśnie wykonywało swoje żołnierskie powinności wojsko, które marsz na Zachód rozpoczęło od bitwy pod Lenino.

Nie da się w żaden rozumny sposób wykreślić z najnowszej historii narodu i państwa czynu zbrojnego polskich sił zbrojnych na froncie wschodnim. Kręgi polityczne im niechętne nie mają prawa wybiórczo oceniać przeszłości, lekkomyślnie usuwać chlubnych kart ze szlaku bojowego żołnierza jedynie dlatego, że nadszedł on – według nich – z niewłaściwego kierunku i z nieodpowiednim sojusznikiem. Czyny bojowe formacji walczących na froncie wschodnim zasłużenie wpisują się w tradycje oręża polskiego. Ich przypomnienie umożliwi kolejnym pokoleniom rzetelną i sprawiedliwą, wolną od koniunkturalnych naleciałości ocenę patriotycznej postawy tych, którym dane było zrzucić obozowy łach, przywdziać polski mundur i z bronią w ręku wrócić do kraju.

Autor jest rektorem Akademii Humanistycznej im. A. Gieysztora w Pułtusku

7. Zaświadczenie o udziale chor. Tadeusza Kucharza w wyzwalaniu stolicy.
8. Styczeń–luty 1945 r., walki o Wał Pomorski.

Niech żyje Wolna Demokratyczna Polska!

Śmierć niemieckim najeźdźcom!

Uczestnikowi walk o wyzwolenie z niemieckiego jarzma Stolicy Polski WARSZAWY

Kucharz Tadeusz, chorazy
(nazw., im., stopień)

Wyciąg z rozkazu marszałka STALINA:
»Za wzorowe działania bojowe wyrażam podziękowanie wojskom Pierwszej Armii Polskiej, które brały udział w walkach o wyzwolenie Warszawy«.

d-ca pułku
nazwisko, stopień
kapitan

18 stycznia 1945 r.

7

8

FOT. LASKI DIFFUSION/EAST NEWS, WIKIMEDIA COMMONS, WIKIPEDIA, NAC
REP. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 4ddd52fe30

HISTORII KOŚCIUSZKOWCÓW NIE DA SIĘ ZBRUKAĆ

Płk Eugeniusz Skrzypek,
uczestnik bitwy pod Lenino, walk o wyzwolenie Warszawy i przełamanie Wału Pomorskiego, forsowania Odry i szturmu Berlina.

Pokrętnymi drogami chodzi historia. Obóz, w którym formowała się dywizja kościuszkowska, był na wydzielonych terenach Armii Czerwonej, tej armii, która w 1939 r. jako armia wroga zajęła część ówczesnej Polski. Żołnierzami tej dywizji stawali się ludzie, którzy nigdy nie mieli wrócić do ojczyzny, którzy wyrwani z ojcowizn mieli na zawsze, rozproszeni po obcym kraju, tam pozostać.

Byłem jednym z nich. Broń ci żołnierze tułacze otrzymali od armii, która w 1939 r. rozbroiła polskie oddziały, a polscy oficerowie z rozkazu władz zaborczego państwa zostali zamordowani. Teraz najważniejszą sprawą stała się walka z Niemcami, które łamiąc wszelkie porozumienia, postanowiły zbrojnie zająć całą Europę.

Dywizja została skierowana na front po krótkim szkoleniu. Do walki wkroczyła na Smoleńszczyźnie, pod Lenino, 12 października 1943 r. Wdarła się ponad 2 km w niemieckie pozycje. Radzieckie dywizje z prawa i z lewa pozostały w okopach. Oskrzydlone polskie pułki poniosły duże straty. Front na tym odcinku przełamany został ostatecznie w czerwcu 1944 r.

Nie ma jednolitej oceny tej bitwy i chyba długo jeszcze nie będzie. Strategicznego znaczenia nie miała, chociaż i takie bitwy składały się na ostateczne zwycięstwo. Jej znaczenie polega na tym, że tam, pod Lenino, na Wschodzie, rodziła się polska armia, która z wieloma formacjami Polskich Sił Zbrojnych walczącymi z Niemcami na Zachodzie szła, by wygnać okupanta z kraju, by wrócić do wyzwolonej ojczyzny.

Kościuszkowcy, żołnierze 1. Armii Wojska Polskiego, byli jedynymi, którzy wkroczyli do zniewolonego kraju pod własnymi bojowymi sztandarami. Byli jedynymi, którzy o Polskę walczyli z Niemcami na polskiej ziemi. W tym czasie żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie byli od Polski daleko. Nasz kraj wyzwolili spod okupacji niemieckiej polscy żołnierze ze Wschodu wraz z żołnierzami Armii Czerwonej; przyłączyli ziemie zachodnie do macierzy, brali udział w zwycięskim szturmie na Berlin.

Kiedy zwycięzcy debatowali o kształcie powojennej Europy, Polski przy stole rozmów nie było. Krwawe walki o Monte Cassino, Falaise, Arnhem i Bolonię korzyści Polsce nie przyniosły. Polskę odcięto od Zachodu, oddano ją pod wpływy Związku Radzieckiego. Odzyskała niepodległość i została uznana przez wszystkie państwa świata, ale pełnej suwerenności nie odzyskała.

Upowszechnia się tezę, że ze Wschodu przyszło nowe zniewolenie, nowa okupacja. Uczciwość nakazuje mieć sprawiedliwą ocenę przeszłości. Wyobraźmy sobie, że po wyprowadzeniu armii Andersa na Wschodzie nie ma polskich jednostek zbrojnych, że w lipcu 1944 r. Bug przekracza tylko Armia Czerwona, że tylko ta armia wypiera niemieckiego okupanta z Polski i tylko ona w Polsce pozostaje, bo Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie na tymże Zachodzie utknęły.

Jaki wówczas na polskiej ziemi powstaje ustrój, jaka władza, jaki porządek polityczny i społeczny, jaka ojczyzna? Wkrótce na naszych ziemiach znalazłyby się tysiące, a potem miliony Rosjan. Szkoda, że wyzwolenie Polski przyszło ze Wschodu, a nie z Zachodu, bo los naszego kraju, naszego narodu potoczyłby się inaczej. Żałować można, ale na historię obrażać się nie warto.

Mimo że Związek Radziecki narzucił Polsce niemal bolszewicki reżim, to obecność Wojska Polskiego, któremu tam na Wschodzie początek dała 1. Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, zapewniała Polsce niepodległość, umożliwiała powstanie przesłanek dla pokojowej zmiany ustroju. Ta Polska stała się inspiracją do rozwalenia muru berlińskiego i rozpadu Związku Radzieckiego.

Spotykam rodaków, którzy wstydzą się drogi, jaką przeszła dywizja kościuszkowska, wstydzą się zwycięstw 1. i 2. Armii Wojska Polskiego. Nawet o udziale Polaków w zdobyciu Berlina mówią niechętnie. Są to ludzie biedni, kalecy. Historii tej dywizji zbrukać się nie da. Złoto można ubrudzić, usmarować, nawet wdeptać w błoto, ale ono przez wieki pozostanie złotem. W historii Wojska Polskiego, w historii naszego narodu taką grudką złota jest historia 1. Warszawskiej Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki.

REP. Z KSIĄŻKI „1 DYWIZJA KOŚCIUSZKOWCÓW"/ZBIORY RODZINNE

eprasa.pl 4ddd52fe30

Z SYBIRU DO SIELC

Uśmiechała mi się droga do Polski, do tej Polski wytęsknionej, wyśnionej po nocach, i wreszcie powrót do niej realny

Krzysztof Wasilewski

We współczesnej debacie historycznej kościuszkowcy i bitwa pod Lenino nie istnieją – chyba że jako negatywny przykład uzależnienia Polski od ZSRR. Tymczasem to dzięki nim – po raz pierwszy od września 1939 r. – w okupowanym kraju pojawiła się nadzieja na zwycięstwo nad Niemcami.

„Lenino było elementem układanki w wielkiej politycznej rozgrywce Józefa Stalina przeciw Polsce, prowadzonej w roku 1943. Wpisywało się w ciąg agresywnych gestów politycznych ZSRR, zmierzających do pełnej likwidacji struktur państwa polskiego i zastąpienia go tworem nowym – autorskim dziełem Stalina" – tyle o bitwie pod Lenino pisze IPN piórem swojego pracownika dr. Macieja Korkucia. Po tych słowach można by pomyśleć, że mieliśmy do czynienia z wymierzoną w polskich żołnierzy zbrodnią, która skalą i metodami przypominała tę w Katyniu. Wbrew jednak prawicowej propagandzie zohydzającej Lenino i samych kościuszkowców zarówno bitwa, jak i żołnierze z orłem na hełmie odegrali niezwykle ważną rolę w walce o przywrócenie Polski na mapę Europy.

Pierwsze przymiarki do budowy nowej polskiej armii w ZSRR rozpoczęto wkrótce po wycofaniu wojsk gen. Andersa. Jak przypominają historycy Henryk Stańczyk i Stefan Zwoliński w książce „Wojsko Berlinga i Żymierskiego 1943-1945", jeszcze w marcu 1943 r. Stalin obiecał Berlingowi, że formowane jednostki wojskowe będą uważane za siły zbrojne przyszłego państwa polskiego. Innymi słowy, oznaczało to „porzucenie przez Stalina na dobre zamiaru odbudowy Polski jako republiki ZSRR na wzór państw bałtyckich. Owa przyszła Polska miała być ściśle związana ze Związkiem Radzieckim sojuszem wojskowym i uzależniona od niego politycznie, przy czym charakter przyszłego rządu i jego baza społeczna oraz charakter ustroju państwowego nie były jeszcze dokładnie sprecyzowane, bo zależały od dalszego rozwoju sytuacji, głównie na frontach wojennych, ale także od sytuacji wewnętrznej w Polsce".

W szeregach powstającego wojska zdawano sobie sprawę, że jest to twór komunistów współpracujących z ZSRR. Z tego powodu wielu rekrutów miało zrozumiałe obiekcje. Jeden z żołnierzy, Roman Marchwicki, wspominał: „Takie nazwiska jak Aleksander Zawadzki, Alfred Lampe, Roman Zambrowski, Włodzimierz Sokorski i inne, które znalazły się na łamach centralnych gazet z okazji pojawienia się nowej polskiej organizacji politycznej, kompletnie nic mi nie mówiły. Wiedziałem tylko, że byli to polscy komuniści, którzy być może kilka lat temu przyczynili się do aresztowań i zsyłek, a w każdym razie akceptowali poczynania władz radzieckich. Miałem więc do nich, jak i do celów ówczesnego ZPP, wiele wątpliwości. Co prawda, głosili potrzebę walki o demokratyczną i niepodległą ojczyznę, w której miała panować sprawiedliwość społeczna, ale przerażała sama myśl, że może to być kolejna republika radziecka".

Mimo początkowych oporów polscy rekruci szybko zapełniali szeregi powstającej armii. Świadomość, że każdy kolejny rok wojny przybliża ojczyznę i cały naród do biologicznej zagłady, przeważała nad ideologicznymi zastrzeżeniami.

Wacław Zakrzewski tak zapamiętał dzień, w którym został przyjęty do tworzącego się wojska: „Radość moja była ogromna. Uśmiechała mi się droga do Polski, do tej Polski wytęsknionej, wyśnionej po nocach, i wreszcie powrót do niej realny. (…) Opanowała mnie tylko radość, którą psuło to, że jeszcze może się coś stać, że jeszcze mogą cofnąć decyzję, że jeszcze mogą odwołać, że jeszcze mogę zostać, aby zachwycać się tajgą, a ja przecież tych zachwytów miałem już dosyć. Naprawdę dość".

Formowanie 1. Dywizji Piechoty przebiegało zaskakująco sprawnie. Zorganizowano ją – z drobnymi modyfikacjami – według schematu radzieckiej dywizji gwardii, która liczyła 11 266 żołnierzy. Taki stan polska jednost-

9

9. 18 marca 1945 r., Kołobrzeg, zaślubiny Polski z morzem.
10. Biało-czerwona nad Berlinem.
11. Poświadczenie udziału kpr. Mieczysława Męczyńskiego w bitwie o Berlin.

eprasa.pl 4ddd52fe30

ka osiągnęła w czerwcu 1943 r., a miesiąc później w jej szeregach było już 16,7 tys. ludzi. Stańczyk i Zwoliński piszą, że „taki napływ ochotników umożliwił ukompletowanie etatowych oddziałów i pododdziałów dywizji oraz sformowanie kolejnych jednostek poza etatem: 1. Pułku Czołgów, 1. Zapasowego Pułku Piechoty, trzech dywizjonów artylerii, 1. Samodzielnego Batalionu Szkolnego z Dywizyjną Szkołą Podchorążych, 1. Samodzielnego Batalionu Kobiecego, 1. Samodzielnej Eskadry Lotnictwa Myśliwskiego, 1. Samodzielnej Kompanii Rusznic Przeciwpancernych, kompanii karnej oraz kursów oficerskich".

Formowane jednostki od początku podkreślały swój polski charakter. Obowiązywał w nich polski hymn, umundurowanie i odznaki wzorowano na okresie II Rzeczypospolitej. Komendy wydawano w języku polskim, na patronów wybierano znanych polskich bohaterów, takich jak Tadeusz Kościuszko, Romuald Traugutt czy Emilia Plater. Nad wierzącymi czuwał z duchową posługą kapelan. Wszystkich obowiązywała też uroczysta przysięga dochowania wierności „polskiej ziemi, narodowi polskiemu i sztandarowi dywizji" oraz „wierności sojuszniczej" ZSRR i braterstwa broni z Armią Czerwoną.

Świeżo upieczony kościuszkowiec Marchwicki po przybyciu do obozu notował: „Salutowanie przedwojenne: nie całą dłonią, lecz dwoma palcami, nawet legionowe piosenki, które rozlegały się po lesie, powszechne zwracanie się przez »pan«. (…) Zauważyłem, że przed drewnianym budynkiem, o bardzo lekkiej konstrukcji, na wysokim maszcie powiewała biało-czerwona flaga, a obok stał uzbrojony żołnierz, strzegący wejścia do obiektu".

Wśród kościuszkowców znalazła się także Stanisława Drzewiecka (z domu Kubiak), późniejsza współscenarzystka filmu „Rzeczpospolita babska". Jej zapiski pokazują uczucia i wątpliwości, które zapewne towarzyszyły sporej części nowych wojskowych: „9 czerwca 1943 były dwa wykłady: o ZPP i o pomocy Związku [Radzieckiego]. Dziewczęta bardzo narzekają, że im smutno za domem. A gdzie ten dom? W tajdze, na stepie? Pewnie, że te, które rozstały się z rodzicami, tęsknią. Mnie to nie dotyczy, nie mam nikogo. Przyszłam tu z własnej woli, by nie czekać na głodowe *pajki*, by mówić po polsku. A do »domu« się nie spieszę. Nie mam domu. Dusi tylko tęsknota za krajem. Zastępcą dowódcy jest H. Z. [Halina Zawadzka]. Mówiła na wykładzie, że z wojskiem szybciej będziemy w kraju. Że Armia Czerwona zwycięży. Że pojedziemy do Polski. Kiedy? Coś jednak trzeba by zrobić, by przyspieszyć ten czas. Ale co? Stać na warcie, maszerować. To chyba nie wystarczy. Więc co?".

Jeśli armia Andersa składała się z „tysięcy wynędzniałych łagierników", to co powiedzieć o żołnierzach 1. DP? Jeden z nich, Jan Prorok, wspominał: „Wczesnym rankiem 20 maja 1943 r. wyruszyła (…) spora grupa nędzarzy i obdartusów z maleńkimi zawiniątkami pod pachą. Byli to wybrańcy losu, szczęśliwi i nieszczęśliwi zarazem, ci, którzy poprzedniego dnia wieczorem otrzymali z rąk majstra karty powołania do wojska, do tworzącej się po raz wtóry na terenie ZSRR polskiej jednostki wojskowej".

W powstających oddziałach odbijał się cały koloryt kulturowy przedwojennej Polski. Zarazem jednak panujące w nich stosunki zapowiadały nadciągające zmiany, wynikające z przesuniętych granic i hekatomby polskiej inteligencji. „Już z pierwszej wymiany zdań wywnioskowałem, że żołnierze wywodzili się z Kresów, a oficer, który posługiwał się prymitywną polszczyzną, był tutejszy i co najwyżej miał pochodzenie polskie. Z tej różnobarwnej i byle jak ubranej zbieraniny ludzkiej, która wysypała się z pociągu, uformowano kolumnę marszową, po czym na rozkaz przewodnika w mundurze ruszyliśmy przed siebie", notował Roman Marchwicki.

Problemy z podstawowym zaopatrzeniem pojawiały się przez cały okres działania 1. DP. Całość jej wyposażenia zależała głównie od radzieckich dostaw, które najpierw trafiały do Armii Czerwonej, a dopiero na końcu do polskich jednostek. Brakowało mundurów i pozostałej odzieży, w tym tak podstawowej jak bielizna czy skarpety. Były też problemy z wyżywieniem, brakowało mięsa i warzyw. Co więcej, żołnierze mieszkali w ziemiankach – kiepsko ogrzewanych i pozbawionych zaplecza sanitarnego. Nie ma się co dziwić, że w takich warunkach w polskich szeregach szerzyły się choroby.

Roman Marchwicki dobrze zapamiętał wygląd kolegów w nowych „mundurach": „Tymczasem radziecki opiekun z podróży gdzieś się ulotnił, a na jego miejsce pojawili się nasi wojacy, dość dziwnie ubrani: w bluzach, tak zwanych

10

Niech żyje Wolna Demokratyczna Polska!

Śmierć niemieckim najeźdźcom!

Uczestnikowi walk o okrążenie
BERLINA

kpr. Meczynski Mieczysław
nazwisko, imię, stopień

Wyciąg z Rozkazu Marszałka Stalina z dnia 25 Kwietnia 1945 r.
«Za wzorowe wykonanie zadań bojowych wyrażam podziękowanie wojskom Pierwszej Armii Polskiej, które brały udział w walkach o okrążenie Berlina».

25 kwietnia 1945 r.

Dowódca jednostki
/Szerszen/ Kpt.

11

FOT. NAC, WIKIPEDIA, REP. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 4ddd52fe30

gimnaściorkach, w owijaczach, w furażerkach z orłem bez korony i z biało-czerwonymi opaskami na rękawach. Oficer, który przewodził tej grupie żołnierzy, wyglądał korzystniej. Miał na sobie mundur drelichowy, zapinany pod szyją, eleganckie chromowe buty, broń przypiętą do skórzanego pasa z koalicyjką, a także torbę skórzaną przewieszoną przez ramię".

Jeszcze trudniejsza była sytuacja kobiet. W notatkach Stanisławy Drzewieckiej znalazł się taki oto fragment: „Wojna wojną, ale jeśli zdecydowano się na damskie wojsko, to i na majtki też. W efekcie poszłam dziś na ćwiczenia z dwoma parami mokrych wypranych trykotów w torbie. Notatnik niosłam w ręku. Suszyłam na krzakach, gdy dziewczęta ćwiczyły. Ale mnie to jeszcze dobrze; mam trzy pary, a one jedną na tydzień – do czasu kąpieli w łaźni. Przepierają rano w rzece, wykręcają i wkładają wilgotne pod spodnie. Nasze starania – a pyskowałyśmy na odprawie, ile się dało, by zrobić baonową suszarnię – na razie spełzły na niczym. Swoją drogą, strasznie to śmieszne: baonowa suszarnia majtek z wartownikiem".

Także transport odbywał się w koszmarnych warunkach. Dla Jana Proroka podróż do jednostki nie różniła się zbytnio od zsyłki w głąb ZSRR kilka lat wcześniej: „Skład pociągu specjalnego, którym odbywaliśmy podróż na południe, niewiele się różnił od eszelonu, którym nas tu przywieziono przed trzema laty. W zwyczajnych »krowich« wagonach towarowych brakowało jedynie kłódek, pryczy, żeliwnych piecyków i okratowanych okien, za to dodatkowym wyposażeniem wagonu była słoma; wilgotna, sczerniała, cuchnąca słoma, przypominająca wyglądem wymiętoszoną mierzwę lub sieczkę. Suchy prowiant na drogę, wydany na stacji w Kotłasie, stanowiły: chleb, cukier, suchary, sproszkowany koncentrat zupy lub kaszy jęczmiennej i... puszka świńskiej tuszonki. (…) Na stacjach kolejowych, na których zatrzymywał się nasz eszelon, wychodziliśmy na perony po tzw. *kipiatok*, czyli po gorącą wodę, z kranu umieszczonego zwykle w ścianie budynku stacyjnego od strony peronów".

Jak jednak przyznawali sami żołnierze, możliwość noszenia polskiego munduru i walki o ojczyznę niwelowała wiele niedostatków. Marchwicki, który w międzyczasie został dowódcą drużyny, szczególnie zapamiętał życie obozowe przez pryzmat żołnierskiej kuchni i pieśni: „Zawiesista grochówka ze skwarkami wielkości dużego paznokcia i kawałkami chudego wieprzowego mięsa z amerykańskich konserw. (…) Czas mijał nieubłaganie, życie obozowe i polowe toczyło się normalnie, to jest zgodnie z planem. Wykłady, wymarsze, biegi i alarmy stały się naszą szarą codziennością. W drodze na poligon i z powrotem zawsze musieliśmy śpiewać. Śpiewaliśmy różnie i różne różności, ale najczęściej, bo... najmocniej wpadało do serc zmartwychwstańców, »Pierwszą Dywizję«".

Czas naglił, więc szkolenie ograniczono do niezbędnego minimum. Już 15 lipca 1943 r., a więc niespełna trzy miesiące od pierwszych rozmów na temat utworzenia polskiej armii, odbyła się przysięga całej dywizji. Uroczystości przewodził kapelan, ks. Franciszek Wilhelm Kubsz. Wśród składających wówczas przysięgę był Wacław Zakrzewski, który tak zapamiętał ten dzień: „Najpierw generał Berling złożył, wobec całej dywizji uformowanej w czworobok, na ręce (…) księdza (…) przysięgę, a potem nastąpiło wręczenie sztandaru ufundowanego przez społeczeństwo polskie w ZSRR dla 1. Polskiej Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Po uroczystościach wręczenia sztandaru cała dywizja złożyła przysięgę na nowo otrzymany sztandar. Przysięga odbyła się bardzo uroczyście. (…) Po przysiędze odbyła się defilada".

Podobnie przysięgę zapamiętała Stanisława Drzewiecka: „15 lipca 1943, godz. 18.00. Chyba nie będę w stanie opisać, co dziś czułam. Było tak uroczyście. Przemawiała bardzo pięknie i wzruszająco Wanda Wasilewska. Pierwszy raz od chwili przyjazdu tutaj płakałam. Wojska było dużo. Rota przysięgi jest piękna i nikt jakoś nie powstrzymał się od wymówienia tego tekstu o dochowaniu wierności sojuszniczej. A tyle było pracy, a właściwie kapania na mózg przy tłumaczeniu, dlaczego ten zwrot jest w przysiędze. Od chwili przyrzeczenia harcerskiego w Spale nigdy jeszcze nie przeżyłam takiej uroczystości. Stałam się cząstką tej rzeszy żołnierskiej i wiem, że przysięgi dotrzymam".

Chrzest bojowy 1. DP odbył się zaledwie trzy miesiące od zaprzysiężenia. Jego termin i miejsce nie były przypadkowe, lecz wynikały z chłodnej kalkulacji Stalina. Przed planowaną konferencją w Teheranie chciał on przedstawić zachodnim sojusznikom alternatywę dla polskiego wojska podporządkowanego rządowi emigracyjnemu. Zdaniem Stańczyka i Zwolińskiego „za najlepszą formę prezentacji tej siły uznał obecność polskiej 1. DP na froncie wschodnim, walczącej ramię w ramię z Armią Czerwoną. (…) Nie mogła to być zatem zwykła potyczka, ale krwawe, przynoszące rozgłos starcie".

To prawda, że przy podejmowaniu decyzji o udziale polskiego wojska w bitwie pod Lenino racje polityczne przeważyły nad militarnymi. Jednak podobne zarzuty można skierować w stronę gen. Andersa i pozostałych dowódców, którzy kilka miesięcy później wysłali polskie wojska do szturmu na Monte Cassino. Przypomnijmy, że atak na klasztor przypłaciło życiem prawie tysiąc polskich żołnierzy, a ponad 3 tys. zostało rannych – niemal 10% stanu liczbowego 2. Korpusu. W całej kampanii włoskiej straty armii Andersa przekroczyły 2,3 tys. ludzi.

Po bitwie pod Lenino Niemcy starali się wykorzystać propagandowo swój militarny sukces, obwożąc wziętych do niewoli kościuszkowców po okupowanej Polsce. W ten sposób chcieli udowodnić, że wszelki opór jest skazany na niepowodzenie. Cała akcja przyniosła jednak rezultat odwrotny do oczekiwanego. „Polacy dowiedzieli się tą drogą – czytamy w „Wojsku Berlinga i Żymierskiego" – że na froncie wschodnim walczą polscy żołnierze i wkrótce dotrą do kraju. To dodawało sił i zachęcało do dalszego oporu, a kościuszkowców mobilizowało do dalszego szkolenia, gdyż wyjście na front i walka z wrogiem przybliżały do kraju".

Dziś kościuszkowcy padają ofiarą prawicowej polityki historycznej, zdominowanej przez „żołnierzy wyklętych". Tyle że jeśli ktoś zasługuje na to miano, to nie „Łupaszka" czy „Ogień", lecz właśnie żołnierze 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Warto o tym przypominać, nie tylko podczas kolejnej rocznicy bitwy pod Lenino.

Krzysztof Wasilewski

eprasa.pl 4ddd52fe30

KALENDARIUM KOŚCIUSZKOWCÓW

20 stycznia 1943 r.

W „Nowych Widnokręgach" ukazujących się w Moskwie opublikowano list Tadeusza W[iślickiego], w którym pisał on: „Trzeba, żeby znalazł się ktoś, kto sformuje oddziały tej Armii Polskiej, która by najprostszą drogą, przez Wielkie Łuki i Ukrainę, wniosła do kraju sztandar polski z hasłem: »Za Waszą wolność i naszą«. Czas najwyższy, aby tę jednostkę stworzyć".

8 kwietnia 1943 r.

Ówczesny ppłk Zygmunt Berling skierował list do NKWD, proponując organizację (na początek) polskiej dywizji i pułku zapasowego.

28 kwietnia 1943 r.

Wanda Wasilewska w moskiewskim radiu poinformowała Polaków w ZSRR, że Związek Patriotów Polskich (formalnie jeszcze nieistniejący) od dłuższego czasu stara się o utworzenie na terytorium ZSRR polskich oddziałów, które będą walczyć obok Armii Czerwonej.

6 maja 1943 r.

Uchwała Państwowego Komitetu Obrony ZSRR o formowaniu na terytorium ZSRR Polskiej Dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Na jej dowódcę został wyznaczony Zygmunt Berling, awansowany na pułkownika. Miejscem organizacji jednostki stał się obóz w Sielcach nad Oką w obwodzie riazańskim.

15 lipca 1943 r.

W rocznicę bitwy pod Grunwaldem żołnierze 1. DP im. T. Kościuszki złożyli przysięgę. Obok 16,5 tys. kościuszkowców stanęli do niej żołnierze 1. Pułku Czołgów, żołnierki, które później weszły w skład 1. Samodzielnego Batalionu Kobiecego im. Emilii Plater. Ofiarowany dywizji sztandar wyhaftowały moskiewskie robotnice.

10 sierpnia 1943 r.

Na mocy decyzji Państwowego Komitetu Obrony ZSRR utworzono ogólnowojskowy 1. Korpus Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR, w skład którego weszły: 1. DP im. Tadeusza Kościuszki, 2. DP im. gen. Jana Henryka Dąbrowskiego, 1. Brygada Artylerii Armat im. gen. Józefa Bema, 1. Brygada Pancerna im. Bohaterów Westerplatte, Pułk Lotniczy „Warszawa".

21-26 sierpnia 1943 r.

Komisja Armii Czerwonej wydała opinię, że 1. DP może wyruszyć na front mimo wielu niedociągnięć.

1 września 1943 r.

Wymarsz na front.

12-13 października 1943 r.

Bitwa pod Lenino.

16 marca 1944 r.

Na polecenie Stalina wydano dekret o rozwinięciu 1. Korpusu w Armię Polską w ZSRR i podporządkowaniu jej marsz. Konstantemu Rokossowskiemu, dowódcy 1. Frontu Białoruskiego.

18 lipca-2 sierpnia 1944 r.

Żołnierze 1. Armii Polskiej walczyli w operacji brzesko-lubelskiej.

21 lipca 1944 r.

Krajowa Rada Narodowa wydała dekret o połączeniu partyzanckiej Armii Ludowej z Armią Polską sformowaną w ZSRR w jednolite Wojsko Polskie. Wojsko to określano później jako 1. Armię WP, w odróżnieniu od powstałej 8 sierpnia 1944 r. 2. Armii dowodzonej przez gen. Karola Świerczewskiego.

22-23 lipca 1944 r.

Oddziały 1. Armii Polskiej przekroczyły Bug i skierowały się na Chełm i Lublin.

23 lipca 1944 r.

Naczelnym dowódcą został mianowany gen. Michał Rola-Żymierski.

28 lipca-12 września 1944 r.

1. Armia WP toczyła walki pod Dęblinem, Puławami i na przyczółku warecko-magnuszewskim.

10-15 września 1944 r.

Udział wojsk 1. Armii w walkach o warszawską Pragę.

16-23 września 1944 r.

Desant kościuszkowców na pomoc walczącej Warszawie.

10-29 października 1944 r.

Walki o Jabłonnę.

Styczeń-luty 1945 r.

1. Armia WP uczestniczyła w operacji wiślano-odrzańskiej.

19 stycznia 1945 r.

Defilada żołnierzy 1. Armii WP w wyzwolonej Warszawie.

30 stycznia-11 lutego 1945 r.

Żołnierze 1. Armii WP walczyli w bitwie o Wał Pomorski.

1 marca-7 kwietnia 1945 r.

Udział żołnierzy 1. Armii WP w operacji pomorskiej.

4-8 marca 1945 r.

Bitwa o Kołobrzeg.

16 kwietnia-9 maja 1945 r.

W szturmie na Berlin obok wojsk radzieckich uczestniczyły liczące 12 tys. żołnierzy jednostki wchodzące w skład 1. Armii WP: 1. Dywizja Piechoty, 2. Pomorska Brygada Artylerii Haubic, 6. Samodzielny Warszawski Zmotoryzowany Batalion Pontonowo-Mostowy i 1. Samodzielna Brygada Moździerzy z odwodu Naczelnego Dowództwa WP.

2 maja 1945 r.

Na berlińskiej Kolumnie Zwycięstwa zawisły polskie flagi.

12. Wierni kościuszkowskiej tradycji.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 4ddd52fe30

ZNIEWAŻANE PLATERÓWKI

Niewybredne ataki na żołnierki batalionu kobiecego mają dyskredytować Wojsko Polskie sformowane w ZSRR

Bohdan Piętka

75. rocznica utworzenia Wojska Polskiego, które w latach 1943-1945 walczyło na froncie wschodnim o wyzwolenie Polski spod okupacji niemieckiej, jest okazją do przypomnienia historii 1. Samodzielnego Batalionu Kobiecego im. Emilii Plater. Przede wszystkim dlatego, że po 1989 r. ten pododdział stał się obiektem niewybrednych ataków, których celem jest dyskredytacja Wojska Polskiego sformowanego w ZSRR.

1. SBK został utworzony 19 sierpnia 1943 r. w Sielcach nad Oką i wszedł w skład powołanego 10 sierpnia 1943 r. 1. Korpusu Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR. 30 września 1943 r. batalion kobiecy liczył 740 oficerów, podoficerów i szeregowych. Składał się z dwóch kompanii fizylierek, dwóch kompanii strzeleckich, kompanii rusznic przeciwpancernych oraz kompanii ciężkich karabinów maszynowych. Ponadto w jego składzie znajdowały się plutony moździerzy, zwiadu, łączności, sanitarny, saperów i gospodarczy oraz szkoła podoficerska.

Wraz z dywizją kościuszkowską wyruszyła na front 1. kompania fizylierek 1. SBK. Podczas bitwy pod Lenino kompania ta pełniła służbę wartowniczą przy sztabie dywizji, natomiast jedną jej drużynę włączono do plutonu sanitarnego 2. pułku piechoty, którego zadaniem było wynoszenie rannych z pola walki.

Bohaterską śmiercią zginęła wówczas szer. Aniela Krzywoń (1925-1943) – przydzielona do ochrony ciężarówki z dokumentami sztabowymi. Kiedy samochód trafiony niemiecką bombą stanął w płomieniach, Aniela Krzywoń, nie zważając na płomienie i ostrzał nieprzyjaciela, uratowała skrzynię z dokumentami oraz dwóch rannych żołnierzy. Sama jednak zginęła w płomieniach. Pośmiertnie odznaczono ją Krzyżem Orderu Wojennego Virtuti Militari V klasy oraz Orderem Lenina. Przyznano jej też tytuł Bohatera Związku Radzieckiego wraz ze Złotą Gwiazdą. Była jedyną kobietą uhonorowaną tym tytułem, która nie miała obywatelstwa ZSRR.

W bitwie pod Lenino zostały ciężko ranne i zmarły w szpitalach polowych także Stanisława Kołodziej, Lidia Karczewska, Maria Mikuć, Helena Szyszko, Stefania Wejman i Wanda Zakirowa.

W styczniu 1944 r. batalion kobiecy przerzucono do wsi Łuczynka na ziemi smoleńskiej, później do obwodu żytomierskiego i Kiwerc. W lipcu 1944 r. przekroczył Bug, pełniąc służbę wartowniczą w jednostkach tyłowych. Od 12 października batalion zajmował się utrzymaniem porządku publicznego i zabezpieczeniem mienia na wyzwolonej przez 1. Armię WP warszawskiej Pradze, a po wyzwoleniu stolicy objął posterunki w lewobrzeżnej Warszawie. To żołnierki batalionu kobiecego zaciągnęły wartę honorową przy ruinach Grobu Nieznanego Żołnierza 17 stycznia 1945 r.

Jednakże część platerówek po pięciomiesięcznym kursie oficerskim w Riazaniu trafiła do jednostek frontowych Wojska Polskiego na niższe stanowiska dowódcze. Brały udział w ciężkich walkach m.in. na przyczółku warecko-magnuszewskim, podczas ofensywy zimowej, na Wale Pomorskim i o Kołobrzeg.

Najwięcej platerówek zasiliło 3. Dywizję Piechoty im. Romualda Traugutta. Były to: ppor. Janina Błaszczak – dowódca kompanii moździerzy, chor. Aleksandra Gołębiewska i chor. Paulina Podgórska – dowodzące plutonami strzeleckimi, chor. Maria Górniak, chor. Irena Kruszewska, chor. Helena Junkiewicz i chor. Irena Waszczuk – dowodzące plutonami cekaemów, chor. Larysa Krupicz i chor. Zofia Włoch – dowodzące plutonami moździerzy oraz chor. Aniela Pielech – dowódca plutonu rusznic przeciwpancernych. Do 2. DP trafiły chor. Anna Dawidowska na dowódcę plutonu moździerzy, chor. Władysława Drzazga na dowódcę plutonu fizylierów,

13. Maj 1945 r., zwycięskie platerówki.
14. Defilada 1. Samodzielnego Batalionu Kobiecego.
15. Platerówki w drodze na front.

eprasa.pl 4ddd52fe30

chor. Maria Linkiewicz na dowódcę plutonu strzeleckiego, chor. Stefania Mastalerz na oficera łącznikowego i chor. Janina Zarzycka na zastępcę dowódcy kompanii fizylierek. Natomiast do 4. DP trafiły chor. Emilia Gierczak na dowódcę plutonu fizylierów oraz chor. Czesława Wulf i chor. Janina Szuba-Jabłońska na stanowiska dowódców plutonów moździerzy.

Chor. Helena Junkiewicz (1923-1944) zginęła 19 września 1944 r. podczas próby forsowania Wisły, idąc na pomoc powstaniu warszawskiemu w szeregach 3. DP. Jej droga na pole chwały wiodła przez obóz pracy w Kraju Krasnojarskim na Syberii. Ppor. Emilia Gierczak (1925-1945) zginęła bohatersko w walkach o Kołobrzeg 17 marca 1945 r. Pochodziła z Wołynia. Po pierwszej deportacji Polaków z Kresów Wschodnich w lutym 1940 r. trafiła z rodziną pod koło polarne – do kołchozu w obwodzie archangielskim.

7 kwietnia 1945 r. stan osobowy batalionu kobiecego wynosił 533 osoby, ale w przeddzień zakończenia wojny w szeregach Wojska Polskiego na froncie wschodnim służyło ok. 9,3 tys. kobiet. 1. SBK rozformowano 25 maja 1945 r. Część zdemobilizowanych żołnierek osiedliła się na Ziemiach Odzyskanych, tworząc osiedle Platerowo koło Lubania.

Kpt. Stanisława Drzewiecka (1920-2000) – najpierw zastępca dowódcy 1. kompanii fizylierek w batalionie kobiecym, a następnie oficer polityczny w 3. Brygadzie Artylerii Haubic, ranna na polu walki – scharakteryzowała platerówki jako „dziewczęta i kobiety w wieku od 15 do 35 lat, które w większości pochodziły z terenów wschodnich przedwojennej Polski. Stamtąd też w latach 1940-1941 zostały deportowane lub ewakuowane w głąb Związku Radzieckiego. Od chwili, gdy znalazły się na obczyźnie, do czasu podjęcia służby wojskowej pracowały w kołchozach, sowchozach, w fabrykach, przy wyrębie syberyjskich lasów, w kopalniach. Dorastały w trudnych warunkach na zapleczu wojennym, wiele pogrzebało w stepie i w tajdze rodziców, rodzeństwo. Głodowały i marzły. I marzyły o powrocie do Polski (…)".

Takie były marzenia wszystkich żołnierzy, którzy w 1943 r. trafili do Wojska Polskiego formowanego w Sielcach nad Oką. Byli to przeważnie Polacy z Kresów Wschodnich, o gorących polskich sercach, ofiary deportacji stalinowskich z lat 1940-1941. Ich pragnieniem były walka o wyzwolenie kraju spod okupacji niemieckiej i powrót do Polski, jakakolwiek ona będzie. O tym zapominają ci, którzy dzisiaj ich znieważają.

Szkoda, że w prawicowej prasie można dzisiaj o platerówkach przeczytać tylko takie artykuły jak „Seks w armii Berlinga" pióra Tadeusza A. Kisielewskiego (autora książki pod wymownym tytułem „Janczarzy Berlinga. 1. Armia Wojska Polskiego 1943-1945") czy „Stalinówki i Platerówki od drugiej strony. Przechodnie polowe żony" Tadeusza M. Płużańskiego. Teksty te bazują na znanych rewelacjach Henryka Piecucha i Andrzeja Zasiecznego, którzy nie cofają się ani przed jednostronną interpretacją, ani przed generalizowaniem przywoływanych przez siebie źródeł. ■

Książki, które warto przeczytać

1. Dywizja Kościuszkowców, red. naukowa Bogusław Bębenek, Adam Koseski, Akademia Humanistyczna im. A. Gieysztora, Stowarzyszenie Ogólnopolska Rodzina Kościuszkowców

Berlingowcy. Żołnierze tragiczni, red. Dominik Czapigo, Wydawnictwo RM, Ośrodek Karta

Czesław Grzelak, Henryk Stańczyk, Stefan Zwoliński, ***Armia Berlinga i Żymierskiego. Wojsko Polskie na froncie wschodnim 1943-1945***, Wydawnictwo Neriton

Franciszek Sielicki, ***Co śpiewali kościuszkowcy i czym radowali dusze. Z folkloru Pierwszej Dywizji WP***, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego

Kazimierz Sobczak, ***Lenino 1943***, Wydawnictwo MON

Wojsko Polskie na froncie wschodnim. Wybrane problemy, red. naukowa Stefan Zwoliński, Wydawnictwo MON, Wojskowe Biuro Badań Historycznych

Wojsko Polskie na Wschodzie w latach II wojny światowej. Refleksje historyczne wywołane 70. rocznicą bitwy pod Lenino, red. Beata Szubtarska, Instytut Stosunków Międzynarodowych UJK Filia w Piotrkowie Trybunalskim

14

15

FOT. ARCHIUWM (3)

eprasa.pl 4ddd52fe30

KRWAWY CHRZEST

16

Bitwa pod Lenino była sygnałem, że ze Wschodu idzie Wojsko Polskie, by wyzwolić ojczyznę spod niemieckiej okupacji

Krzysztof Podgórski

Spoza gór i rzek
Wyszliśmy na brzeg.
Czy stąd niedaleko już
Do grających wierzb, malowanych zbóż?
Wczoraj łach, mundur dziś!
Ściśnij pas, pora iść!
Ruszaj, Pierwszy Korpus nasz,
Spoza gór i rzek – na Zachód marsz!

Słowa „Marszu Pierwszego Korpusu", napisane przez Adama Ważyka do melodii ppor. Aleksandra Barchacza, jakże znamiennie oddają niełatwe losy Polaków, którzy 75 lat temu utworzyli „dywizję żołnierzy tułaczy". W Sielcach nad Oką późną wiosną 1943 r. rozpoczęło się formowanie 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Po czterech miesiącach, 1 września, dywizję skierowano na front. Chrzest bojowy przeszła, staczając w okolicach Orszy, w bagnistej dolinie rzeczki Mierei, 12-13 października 1943 r. bitwę pod Lenino. Na jej pamiątkę w PRL datę 12 października świętowano jako Dzień Wojska Polskiego. Dziś, w dobie pisania historii na nowo przez prawicowych historyków i publicystów, bitwę pod Lenino świadomie się zakłamuje, oczernia bohaterskie postawy podwładnych gen. Zygmunta Berlinga, a samych żołnierzy jako „niesłusznych" skazuje na zapomnienie. Warto więc przypomnieć, jak było naprawdę.

1. Dywizja im. Tadeusza Kościuszki weszła w skład 33. Armii gen. Wasilija Gordowa. Wraz z dwiema radzieckimi dywizjami strzelców (42. i 290.) Polacy mieli sforsować Miereję i przełamać niemiecką obronę wokół wsi Połzuchy. Atakować mieli centralnie. Na skrzydłach miały nacierać słabe, liczące po ok. 4000 bagnetów, dywizje radzieckie, których celem było zająć wsie Lenino i Sukino. Wsparcie artyleryjskie polskiej dywizji zapewniały 67. Brygada Artylerii Haubic oraz pułki artylerii lekkiej radzieckich 144. i 164. Dywizji Piechoty oraz 538. Pułk Moździerzy.

W tak powstały wyłom miały wejść i rozwinąć natarcie główne siły armii, docierając do linii Dniepru. Niestety, po drugiej stronie linii frontu wojska hitlerowskie były równie silne, do tego uprzedzone o planowanym ataku.

12 października o godz. 5.55 polska artyleria otworzyła ogień i 1. batalion 1. pułku dokonał tzw. rozpoznania walką. Straty batalionu sięgały 50%. Przeciwnik na okolicznych wzgórzach rozbudował silną pozycję obronną, opierając się na fortyfikacjach polowych. Polscy żołnierze zalegli na przedpolu i okopując się, prowadzili nierówną walkę z Niemcami. Ok. godz. 9.20 rozpoczęło się właściwe przygotowanie artyleryjskie. Nawała ogniowa, z użyciem m.in. wyrzutni rakietowych, tzw. katiusz, trwała jednak tylko 40 minut zamiast przewidywanej półtorej godziny. Zakładano, że po poderwaniu żołnierzy do ataku, „wał ogniowy" artylerii przesunie się o 300 m i będzie dezorganizować potencjalne rezerwy hitlerowców. Braki w wyszkoleniu i źle zorganizowana łączność spowodowały, że Polacy ruszyli do natarcia z półgodzinną przerwą. Gen. Berling wspominał: „Znajdowałem się wówczas na punkcie obserwacyjnym na podstawie wyjściowej między 1. a 2. pułkiem piechoty i z mocno bijącym sercem i ściśniętym gardłem czekałem na sygnał do rozpoczęcia natarcia. Kiedy rakiety poszły w górę i oba pułki pierwszego rzutu podniosły się i ruszyły, (...) nie mogłem się opanować i poszedłem z pierwszymi falami natarcia do Mierei, by choć im pokazać, że jestem z nimi. Żołnierze szli wyprostowani do ataku, jak na defiladę. (...) Wrażenie było tak ogromne, że obserwatorzy radzieckiej artylerii, która wspierała natarcie kościuszkowców, powyskakiwali w tym ogniu przed okopy, na przedpiersia, rzucając do góry czapki i krzycząc w jakiejś szaleńczej euforii: Niech żyją Polacy!".

Pójście Polaków do ataku w postawie wyprostowanej jest wprawdzie przejawem szaleńczej odwagi i robi wrażenie, ale zarazem dowodzi braku odpowiedniego wyszkolenia. Nieostrzelani żołnierze, pełni uzasadnionej nienawiści do wroga, nie padali na ziemię, gdy szedł ostrzał, nie kryli się za przeszkodami terenowymi, więc ginęli dziesiątkami. Dziś zarzuca się kościuszkowcom tę niepotrzebną postawę. Warto więc przypomnieć, że podobnie zachowywali się żołnierze gen. Tadeusza Kutrzeby podczas bitwy nad Bzurą. Idące do kontrataku polskie oddziały Armii „Poznań", pełne poczucia wyższości nad Niemcami, przepojone chęcią odwetu po dniach odwrotu i bombardowań Luftwaffe, ponosiły ogromne straty. Przyczyna była ta sama co pod Lenino – brak doświadczenia w warunkach bojowych, nieostrzelanie i zbędna brawura.

Mikołaj Zubik, fizylier 2. batalionu 1. pułku, wspominał: „Sforsowaliśmy Miereję, dopadliśmy niemieckich okopów, wielu z nas zginęło w tym szturmie. Prawe skrzydło wroga osłabło, ale z lewego bili niemiłosier-

16. Piastowski orzeł kościuszkowców.
17. Odznaka Grunwaldzka plut. Bolesława Sąsiadka.
18. Zwyciężyliśmy! Czas wracać do domu.

eprasa.pl 4ddd52fe30

nie. Nasi wypatrywali gniazd nieprzyjaciela i likwidowali je. Na polu boju krzyki rannych z prośbami o pomoc. Czołgając się, spytałem kolegów, czy wszyscy żywi. Okazało się, że por. Siminowicz zabity, innego towarzysza broni pocisk przeszył, wyrywając mu kawał szczęki.

Z prawej strony obok mnie podniósł się Józek Sypko, skierował się w moją stronę, mówiąc: »Żebyśmy tu mieli chociaż jeden czołg«, gdy pociski lecące jak świetliki trafiły go. Zdążyłem tylko krzyknąć: »Padnij, biją do ciebie!!!«. Józek upadł dwa metry ode mnie".

Mimo zaciekłej obrony przeciwnika w ataku na bagnety Polacy zdobyli pierwszą linię niemieckiej obrony. Niestety, sąsiedzi, dywizje radzieckie na obu skrzydłach, zostały przez Niemców powstrzymane. Do akcji wszedł 2. Pułk Piechoty, zdobywając w krwawej walce wsie Trygubowa i Połzuchy. Niemcy z Polakami toczyli morderczy bój, a miejscowości wielokrotnie przechodziły z rąk do rąk, by ostatecznie o godz. 14 znaleźć się w polskich rękach.

Dramatyczne sceny rozegrały się wokół bagnistej Mierei. Przeprawa 1. Pułku Czołgów mającego wesprzeć piechotę rwała się pod bombami niemieckich bombowców nurkujących i samolotów z pułków szturmowych. Niebo nad bitwą należało do Luftwaffe. Junkersy i focke-wulfy bez przeciwdziałania ze strony radzieckich myśliwców bombardowały polskie pozycje, w tym przeprawę. Wiele czołgów ugrzęzło w bagnach na podejściach do rzeki, tylko nielicznym czołgom T-34 udało się dotrzeć na front i włączyć do walki. Działa i moździerze przez rzekę dosłownie przenoszono na rękach. Poświęcenie polskich saperów i żołnierzy było wręcz niewiarygodne.

Po godz. 14 do kontrataku ruszyła niemiecka 337. Dywizja Piechoty wspierana przez grupy bojowe mające także w składzie czołgi, należące do odwodów XXXIX Korpusu Pancernego. Polacy byli atakowani zarówno od czoła, jak i z odsłoniętych skrzydeł. Wojska radzieckie zaległy na pozycjach wyjściowych, więc kościuszkowcy naciskani z trzech stron rozpoczęli odwrót. Dowódca 1. pułku płk Franciszek Derks załamał się i stracił zdolność dowodzenia, komendę przejął płk Bolesław Kieniewicz. Niemieckie wojska wspierane przez czołgi zatrzymał huraganowy ogień artylerii dywizji dowodzonej przez płk. Wojciecha Bewziuka i radzieckiej 67. Brygady Haubic. Do walki wszedł też odwód dywizji – 3. Pułk Piechoty, który wsparty 16 czołgami T-34 próbował nacierać na Niemców i odzyskać utracone pozycje. Daremnie.

Kolejnego dnia, 13 października, 1. Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki wsparta 1. i 2. kompanią czołgów T-34 znów ruszyła do natarcia. Jednak rezerwy XXXIX Korpusu Pancernego i samoloty Luftwaffe powstrzymały Polaków. Mimo zaciętej walki dywizja traciła zdobyte wielką daniną krwi wsie Połzuchy i Trygubowa. Choć zniszczono Niemcom dwa czołgi, 42 działa i moździerze oraz prawie 80 karabinów maszynowych, natarcie okazało się niemożliwe i dywizja przeszła do obrony. W nocy z 13 na 14 października, po ostrej, dramatycznej dyskusji gen. Berlinga z dowódcą radzieckiej 33. Armii 1. DP wycofano z linii walk i jej pozycję przejęła 164. Dywizja Strzelców. Na tym odcinku frontu wojska niemieckie utrzymały linie obronne aż do czerwca 1944 r., czyli do pamiętnej ofensywy „Bagration", która była największą klęską Wehrmachtu podczas II wojny światowej. Operację „Bagration" zaplanował marsz. Konstanty Rokossowski, on też dowodził większością sił radzieckich.

W bitwie pod Lenino straty dywizji sięgały 25% stanu osobowego. Poległo 510 żołnierzy, a rany odniosło 1776. Zaginęło bez wieści 652 żołnierzy, do niewoli trafiło 116. Niemcy stracili w bitwie ok. 1500 zabitych i 326 jeńców. Oceniając postawę kościuszkowców, trzeba przypomnieć, że 1. DP była jedyną, która wdarła się w taktyczną strefę obrony przeciwnika na 2,5-3 km. Dywizja, wycofana z frontu, została skierowana na dodatkowe przeszkolenie. W świat poszedł jednak sygnał, że Wojsko Polskie u boku Armii Czerwonej walczy z Wehrmachtem i idzie ze Wschodu, by wyzwolić ojczyznę spod niemieckiej okupacji. ■

FRAGMENT Z OBRAZU „GRUNWALD" JANA MATEJKI

W ROKU 1410 dnia 15 lipca, połączone wojska polskie, litewskie, smoleńskie, kijowskie, czeskie i mołdawskie, silne swoją jednością stoczyły na polach Grunwaldu zwycięski bój z śmiertelnym wrogiem Słowiańszczyzny – krzyżakami.
W ROKU 1945 kiedy bohaterska walka Narodu polskiego kierowana Radą Narodową, żołnierz polski walcząc ramię przy ramieniu z sojusznikiem radzieckim, stanął z nim jako zwycięzca na gruzach Berlina.
Na wszystkich polach walki i na ziemi ojczystej Polacy znosili się przez blisko 6 lat po bohaterstwu ze wspólnym odwiecznym wrogiem. Po latach ciężkiej walki z niemczyzną, narody miłujące wolność, z wielkim Związkiem Radzieckim na czele, rozgromiły Niemcy, ratując świat przed barbarzyństwem faszystowskim. Drugi Grunwald przyniósł ojczyźnie wolność, demokrację i powrót Ziem Zachodnich do Macierzy.
Odznaka Grunwaldzka jest symbolem zwycięstwa nad Niemcami.

ROZKAZEM Z DNIA 22 LIPCA 1945 ROKU
NACZELNY DOWÓDCA WOJSKA POLSKIEGO
nadał:
uczestnikom walki zbrojnej z niemcami
w latach 1939 - 1945
plut. Sąsiadek Bolesław
s. Józefa
ODZNAKĘ GRUNWALDZKĄ
Wojsko Polskie R. K. U. NT
Z-ca Komendanta R. K. U
i Kier. 1 Ref. Pob. i Mo
(podpis wręczającego)
(stopień)
T. Leszczyński ppor.
№ 137933
Pawłów dn. 26. III. 47 r.

17

18

REP. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (3)

eprasa.pl 4ddd52fe30

PROGRAM OBCHODÓW 75. ROCZNICY UTWORZENIA I CHRZTU BOJOWEGO POD LENINO 1. DYWIZJI PANCERNEJ IM. TADEUSZA KOŚCIUSZKI

Stowarzyszenie Ogólnopolska Rodzina Kościuszkowców zaprasza na uroczystości z okazji 100-lecia odzyskania niepodległości, 100-lecia pobytu jednostek Wojska Polskiego w Legionowie oraz 75. rocznicy utworzenia i chrztu bojowego pod Lenino 1. Dywizji Pancernej im. Tadeusza Kościuszki.

1-20 października 2018 r.
– przeprowadzenie lekcji i spotkań z młodzieżą Szkoły Podstawowej nr 8 im. 1. Warszawskiej Dywizji Piechoty w Legionowie na temat patrona szkoły i rocznicy bitwy pod Lenino.

10-13 października 2018 r.
– wyjazd delegacji Stowarzyszenia Ogólnopolska Rodzina Kościuszkowców do Katynia, Smoleńska i Lenino w celu uczczenia pamięci o zamordowanych oficerach i funkcjonariuszach w Katyniu, uczczenia i oddania hołdu ofiarom tragedii w Smoleńsku, udziału w uroczystościach 75. rocznicy bitwy pod Lenino. Zgłoszenia chętnych do wyjazdu przyjmuje Waldemar Laskowski, tel.: 601 280 416.

11 października 2018 r.
godz. 11.00 – uroczystość złożenia kwiatów pod pomnikiem Kościuszkowca, ul. Okrzei w Warszawie;
godz. 13.00 – złożenie kwiatów w Parku Kościuszkowca w Legionowie;
godz. 13.30 – uroczyste sadzenie drzewek pamięci z okazji 100-lecia odzyskania niepodległości i 75-lecia bitwy pod Lenino;
godz. 14.30 – spotkanie ze społeczeństwem i grochówka żołnierska;
godz. 18.00 – msza św. w intencji żołnierzy kościuszkowców.

12 października 2018 r.
– udział w uroczystościach święta 1. Brygady Pancernej im. Tadeusza Kościuszki w Wesołej:
godz. 10.00 – uroczysty apel;
godz. 11.30 – żołnierski poczęstunek;
godz. 12.00 – piknik rodzinny.

19 października 2018 r.
– uroczyste Walne Zgromadzenie członków SORK podsumowujące rok obchodów 75-lecia utworzenia i chrztu bojowego 1. DP im. T. Kościuszki;
godz. 17.00 – członkowie SORK,
godz.18.00 – zaproszeni goście. Restauracja Carska, ul. Zegrzyńska 1b, Legionowo.

Wydanie wkładki wsparli finansowo: **Unia Pracy** **i Firma Tadeusz Rzepecki**

WARTO CZYTAĆ NASZE KSIĄŻKI

Tylko prawdziwa historia i szokujące fakty

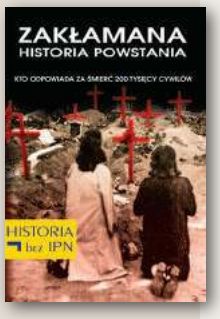

41 zł

42 zł

Pakiet 100 zł

42 zł

43 zł

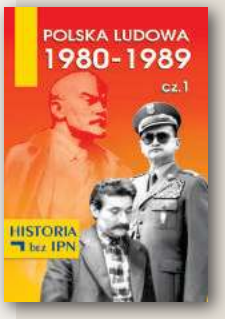

44 zł

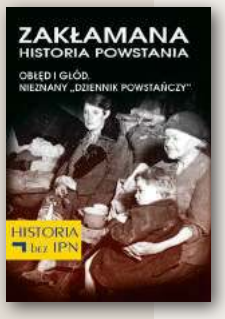

40 zł

Pakiety i poszczególne książki można kupić, wpłacając odpowiednią kwotę na konto wydawcy PRZEGLĄDU (bezpłatna wysyłka pocztą)
nr 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7, oraz podając dokładny adres,
pod który ma trafić przesyłka polecona,
lub przez sklep internetowy:
www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

tel.: 22 635 84 10 wew. 111,
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Wysyłka GRATIS

45 zł

Pakiet 145 zł

eprasa.pl 4ddd52fe30

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

KLER, TAŚMY CZY USTAWY ANTYSZCZEPIONKOWE

Pisać o „Klerze" Smarzowskiego źle czy dobrze, ale pisać – to źle czy dobrze? Pisać, kiedy film się widziało, czy może jednak w ciemno? Pisać, nie widząc, czy nie pisać, oglądnąwszy w legendarnym już pozapopcornowym milczeniu (owieczek)? Przed laty w słynnej wśród kilkudziesięciu osób książeczce „Jak rozmawiać o książkach, których się nie czytało?" autor, Pierre Bayard, skłaniał się do tezy, że lepiej udają się rozmowy o książkach, których dyskutanci nie przeczytali, gdyż ich wysiłek intelektualny włożony w ukrycie tego faktu owocuje feerią intelektualnych błysków i bogactwem erystycznych chwytów nie do wydobycia z rozmowy, kiedy wszyscy wiedzą, o czym mówią.

Uczciwie zatem przyznam, że jeszcze do kina się nie udałem, bez żadnego szczególnego uzasadnienia. Ale równocześnie jestem osaczony (jak Smarzowski Kościołem) koniecznością zabrania głosu przez wszystkich. I tych, którzy obejrzeli, i tych, którzy jeszcze nie, i – co najciekawsze – tych, co nigdy, za nic i żeby ich posiekać, to nie obejrzą. A jest poza tym grupa patologicznych masochistów kulturowych (przeciwko czystym masochistom nie mam nic), którzy oglądają, „żeby inni nie musieli". Przy takim powszechnym ruszeniu krytycznofilmowego potencjału rodaków niewiele zostaje pola do zagospodarowania. Czy to film przeciwko wierze, czy raczej dla jej pożytku, ozdrowienia i naprawy uczyniony? Czy przeciwko zwykłym księżom, czy raczej w ich interesie? Czy pokazując wyimek, można opisać całość? Czy Bóg/bóg istnieje? Czy Kościołowi Bóg jest do czegokolwiek potrzebny? Czy to nowa odsłona polskiej szkoły moralnego niepokoju zatroskana o zagrożoną spójność katechezy z postawą osobistą?

Dla wielu zaskoczeniem jest to, że film pokazuje zjawiska, postawy, zachowania, obyczaje, reguły (albo ich mniej lub bardziej radykalne naruszenie czy unicestwienie) doskonale znane i opisane w dziesiątkach tekstów, reportażach, przekazach bezpośrednich. I co takiego się wydarzyło, że dopiero podczas oglądania fabularnego filmu (na szczęście mocno zaatakowanego przez kościelno-prawacką społeczność) zapada to mocne, dogłębne milczenie, pozwalające usłyszeć, jak popcorn wysypuje się z upuszczonych papierowych toreb, jak niedopita cola płynie w dół sali kinowej?

W tle blaknie historyjka o podsłuchanym bogatym bankowcu, który akurat w przerwie pełni ważną funkcję premiera, a którego potajemnie nagrane wynurzenia są okraszone bogatą gamą wulgaryzmów, zupełnie jak z „Kleru". Zapada cisza nad 30-tysięcznym protestem służb mundurowych. Sejm zaczyna obradować nad szaleństwem antyszczepionkowym przekuwanym w ustawy. Krzywdy świata znikają. Znowu dominuje kler.

Nie chcę wywołać wrażenia, że bagatelizuję problem (problemy). Można powiedzieć, że dzięki zapewnionej nietykalności społeczności funkcjonariuszy kościelnych właśnie tam jak w soczewce skupiają się i są do uchwycenia całe pakiety problemów współczesnej Polski. I dobrze bardzo. W tych dniach zapadł także ostateczny (jak się dotąd wydaje) wyrok zasądzający spore odszkodowanie (1 mln zł i dożywotnia renta) dla ofiary przemocy seksualnej ze strony księdza. I właściwie w tym wydarzeniu widzę coś bardzo istotnego i ważnego. Wielokrotnie i w różnych okolicznościach starałem się artykułować, że dużo poważniejszym problemem niż patologie kościelnego *status quo* jest bierność, uległość, bezradność i bezczynność państwa i jego instytucji. Nie jest wszak zaskoczeniem, że w instytucji mającej w swoich szeregach kilkadziesiąt tysięcy osób, żyjących w warunkach i na zasadach wołających o odreagowanie, zdarzają się i muszą zdarzać patologie. Problem stanowi systemowa „niewidoczność" nadużyć i przestępstw, które nie uszłyby na sucho „zwykłym" obywatelom. Ludziom Kościoła uchodziły przez lata.

Instytucja rozepchała się na korytarzach władzy tak, że na dobrą sprawę zasiada w jej gabinetach albo odgrywa rolę doradczo-nadzorczą. I że taka instytucja w ten sposób działa, skoro nikt jej nie przeszkadza, a właściwie to premiuje – nie dziwi. Już dawno był czas na to, żeby państwo postawiło jasno na państwowość konstytucyjną, a porzuciło miękkie zasakramentowienie instytucji, obyczajów, świąt. Czas na traktowanie biznesów Kościoła i poszczególnych księży tak samo jak wszystkich innych biznesów, czas na kontrole i ograniczanie wpływów na edukację (a raczej indoktrynację), czas na odpoczynek od powszechnego kapelanizmu, czas na zatrzymanie nieprzerwanego napływu środków państwa na konta lub w skarpety Kościoła. I w tym sensie „Kler", jako coś więcej niż film, wykonuje robotę dotąd trudną lub niemożliwą do wykonania. Ale za tym musi pójść zmiana instytucjonalna, systemowa.

Koniec konkordatu na początek. Koniec religii w szkołach. Transparentność finansowa. Równość fiskalna. I to wystarczy. Bo sekscesy są emanacją czystej, nieposkromionej władzy. Kościół w Polsce, jak wcześniej w USA czy w Irlandii, jest nagi. Zostało to wreszcie powiedziane i usłyszane. Teraz już ze spokojem będzie mógł być ubogi i pokornie zająć się Ewangelią. Z dala od państwa i Państwa.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4ddd52fe30

RZĄD ŁAMIE PRAWA CZŁOWIEKA

Ostra krytyka komitetu ONZ za postępowanie z osobami niepełnosprawnymi

Rozmawia Michał Sobczyk

Rzecznik praw obywatelskich zwraca uwagę, że wycofanie się państwa z troski o osoby niepełnosprawne to łamanie praw człowieka.

– W 2012 r. Polska ratyfikowała onenzetowską konwencję gwarantującą takim osobom podstawowe prawa we wszystkich obszarach życia. Tymczasem nie tylko przez cały okres transformacji, ale także po ratyfikacji konwencji nie stworzono w Polsce całościowego systemu wsparcia dla osób z niepełnosprawnościami, mimo że m.in. rzecznik praw obywatelskich od lat zgłasza poszczególnym organom władzy konkretne rekomendacje koniecznych działań, np. w zakresie mieszkań wspomaganych, pomocy asystenta osobistego, zmian w systemie edukacji, dostępu do wymiaru sprawiedliwości i opieki zdrowotnej. Kolejne polskie rządy nie chcą przyjąć do wiadomości, że ich zaniechania oznaczają łamanie podstawowych praw człowieka.

Na początku września odbyło się posiedzenie Komitetu ONZ ds. Osób z Niepełnosprawnościami poświęcone przestrzeganiu konwencji przez poszczególne kraje.

– Wystąpił na tym forum ewidentny konflikt wartości – polskiego rządu oraz osób z niepełnosprawnościami, które również były tam reprezentowane. Rząd widzi potrzeby osób z niepełnosprawnościami wyłącznie przez pryzmat zasiłków i pomocy społecznej, ewentualnie jeszcze rehabilitacji. To spojrzenie zupełnie nie uwzględnia tego, że państwo – także w swoim interesie – powinno podjąć działania, dzięki którym takie osoby będą mogły żyć możliwie samodzielnie i realizować swoje prawa w takim samym stopniu jak inni obywatele i obywatelki. W innym przypadku nie będą respektowane takie fundamentalne prawa człowieka jak prawo do niezależnego życia oraz prawo do równości. Z zachowania członków i członkiń delegacji rządowej wynika wręcz, że rząd nie traktuje tych osób jako odrębnych podmiotów praw i obowiązków. Cały czas mówi bowiem o pomocy rodzinom, w których są osoby z niepełnosprawnościami.

Wymowny był komentarz przewodniczącej komitetu, prof. Theresii Degener, która reprezentacji polskiego rządu powiedziała wprost: „Koniec z tym paternalizmem". Ta niespotykana sytuacja pokazuje, jak razi postawa Polski, jak bardzo jest sprzeczna ze standardami i z duchem konwencji. Niestety, mam wrażenie, że delegacja rządowa nie do końca rozumiała, o co chodzi, i nie wiedziała, które wypowiedzi jej przedstawicieli są nie na miejscu czy wręcz są dyskryminujące wobec osób z niepełnosprawnościami.

Czy rząd przynajmniej częściowo przyznał się do odpowiedzialności za nierealizowanie celów konwencji?

DR SYLWIA SPUREK

– prawniczka, radczyni prawna, legislatorka, zastępczyni rzecznika praw obywatelskich ds. równego traktowania

– Miałam wrażenie, że delegacja rządowa była z siebie bardzo zadowolona, również podczas udzielania odpowiedzi na konkretne pytania członków komitetu, chociaż poszczególne wystąpienia były mało konstruktywne. Delegacja rządowa cytowała obowiązujące w Polsce generalne przepisy prawne dotyczące wszystkich obywateli, które nie uwzględniają szczególnych potrzeb osób z niepełnosprawnościami. Nie odnosiła się też w żaden sposób do tego, jak te przepisy przekładają się na praktyczną realizację praw takich osób. Niepokojące było również stanowisko odnośnie do praw kobiet z niepełnosprawnościami, którym poświęcony jest jeden z artykułów konwencji. Odpowiadając na pytania o prawa tej grupy, przedstawiciele rządu podkreślali, że „w Polsce stosujemy takie same zasady wobec wszystkich". Tylko że kiedy traktujemy wszystkich jednakowo, to *de facto* dyskryminujemy i wykluczamy tych, którzy mają szczególne potrzeby, np. kobiety z niepełnosprawnościami będące ofiarami przemocy w rodzinie.

Rząd zupełnie tego nie rozumie.

– Osoby z organizacji pozarządowych, które były obecne na posiedzeniu, mówiły mi później, że słuchając wypowiedzi członków i członkiń ministerialnej delegacji, miały wrażenie, że w ogóle nie mówiono o Polsce, tylko o jakimś innym państwie, w którym prawa osób z niepełnosprawnościami są naprawdę realizowane.

Jakie działania władz są szczególnie istotne z punktu widzenia tej grupy?

– Palącym problemem jest zapewnienie osobom z niepełnosprawnościami prawa do niezależnego życia. W tym celu konieczne jest m.in.

eprasa.pl 4ddd52fe30

stworzenie systemu mieszkań wspomaganych, będących alternatywą dla umieszczania takich osób w domach pomocy społecznej, oraz zapewnienie asystentów osobistych, usługi wdrażanej teraz jedynie oddolnie, przez najaktywniejsze samorządy. Nadal nierozwiązanym problemem jest dostępność infrastrukturalna. Chodzi nie tylko o to, czy osoby z niepełnosprawnością ruchową mają realną możliwość skorzystania z danego budynku użyteczności publicznej, ale choćby o to, czy w sytuacji zagrożenia, np. podczas ewakuacji, mają szansę z niego się wydostać, czy istnieje specjalny system oznaczeń itd. Bardzo ważna jest kwestia dostępu osób z niepełnosprawnościami do wymiaru sprawiedliwości. Od rządu usłyszeliśmy, że „sędziowie się starają". Tylko że państwo nie powinno działać w ten sposób, że ktoś się stara, ale w oparciu o określone, konkretne przepisy, procedury i standardy oraz pilnowanie ich przestrzegania. Tego nie ma, w efekcie osoby z niepełnosprawnościami mają trudności z realizacją jednego z podstawowych praw człowieka, jakim jest prawo do sądu. Mam tu na myśli zarówno brak odpowiedniego przystosowania budynków, jak i np. dostęp do tłumaczy polskiego języka migowego. Osobną kwestią są prawa osób ubezwłasnowolnionych, które w ogóle nie mogą dochodzić roszczeń ani występować przed sądem, bo nie mają zdolności do czynności prawnych.

Rząd widzi potrzeby osób z niepełnosprawnościami wyłącznie przez pryzmat zasiłków i pomocy społecznej, ewentualnie jeszcze rehabilitacji.

Komitet usilnie dopytywał, dlaczego w polskich przepisach nadal funkcjonuje instytucja ubezwłasnowolnienia, niezgodna z duchem konwencji.

– Polega ona na pozbawieniu albo ograniczeniu przez sąd zdolności do czynności prawnych osoby, która z uwagi na niepełnosprawność intelektualną lub stan psychiczny nie może pokierować swoim postępowaniem. Ubezwłasnowolnienie oznacza śmierć cywilną objętej nim osoby, dlatego powinien je zastąpić system wspieranego podejmowania decyzji. Dzięki niemu osoba z niepełnosprawnością intelektualną mogłaby samodzielnie decydować o własnym leczeniu, pracować, głosować itd. Zresztą kwestii praw politycznych komitet również poświęcił dużo uwagi, pytając, dlaczego osoby ubezwłasnowolnione nie mogą głosować oraz dlaczego przy okazji nowelizacji kodeksu wyborczego próbowano zlikwidować możliwość głosowania korespondencyjnego, z czego zrezygnowano jedynie dzięki sprzeciwowi m.in. rzecznika praw obywatelskich.

Pod koniec września komitet przedstawił Polsce listę oczekiwanych działań.

– My w biurze rzecznika praw obywatelskich liczyliśmy, że jak najwięcej rekomendacji komitetu będzie miało charakter zero-jedynkowy – przykładowo, że komitet zarekomenduje Polsce ratyfikację tzw. protokołu dodatkowego do konwencji. Wtedy łatwiej będzie sprawdzić, czy dana rekomendacja została wdrożona, natomiast w przypadku zaleceń o charakterze ogólnym rząd zawsze może się ograniczyć do działań częściowych czy wręcz pozornych. Liczyliśmy ponadto, że stanowisko komitetu będzie międzynarodowym wsparciem postulatów, które zgłaszamy od dawna. I nasze oczekiwania w dużej mierze zostały zrealizowane. Rekomendacje dotyczą konkretnych zmian legislacyjnych – przyjęcia planu działania na rzecz wspierania niezależnego życia osób z niepełnosprawnościami, uchylenia przepisów umożliwiających ubezwłasnowolnienie takich osób, wprowadzenia regulacji prawnych dotyczących pomocy asystenta osobistego, stworzenia jednolitego, w pełni opartego na prawach człowieka systemu orzekania o niepełnosprawności. Ale są wśród nich także podstawowe kwestie, jak usunięcie z polskiego porządku prawnego takich określeń jak „upośledzenie umysłowe", „niezdolność do pracy", „niezdolność do pełnienia ról społecznych" lub „zależność lub brak zdolności do autonomii" i zastąpienie ich terminologią w pełni szanującą godność osób z niepełnosprawnościami. Komitet zwrócił też uwagę na potrzebę ochrony osób z niepełnosprawnościami przed dyskryminacją we wszystkich obszarach życia, nie tylko w sferze zawodowej. Dlatego zarekomendował nowelizację tzw. ustawy o równym traktowaniu.

Czy konwencja przewiduje możliwość nałożenia sankcji na kraje uparcie naruszające jej postanowienia?

– Jeśli chodzi o Polskę, to dopóki nie ratyfikujemy wspomnianego protokołu, ONZ może jedynie analizować nasze sprawozdania i na tej podstawie rekomendować dodatkowe działania. Protokół przyznaje osobom, których prawa zostały naruszone przez dane państwo, możliwość wniesienia skargi, natomiast komitetowi – możliwość nakładania sankcji finansowych. Niestety, podczas posiedzenia komitetu polski rząd potwierdził, że nie ratyfikuje protokołu. W rekomendacjach komitet zwrócił się do Polski o ponowne rozważenie tej kwestii.

Na szczeblu krajowym mandat do monitorowania prawidłowego wdrażania konwencji ma rzecznik praw obywatelskich.

– Analizujemy, w jaki sposób prawa w niej zapisane są realizowane w praktyce. Nasza rola strażnika praw osób z niepełnosprawnościami wynika również z antydyskryminacyjnych dyrektyw unijnych oraz naszego mandatu jako instytucji praw człowieka i tzw. krajowego mechanizmu prewencji tortur. Problem w tym, że na te dodatkowe zadania nie zostały nam przyznane żadne dodatkowe środki finansowe. Staramy się oczywiście wykonywać te zadania jak najlepiej, ale ta sytuacja jest kolejnym przykładem tego, jak polskie państwo traktuje działania na rzecz praw człowieka. O przyznaniu rzecznikowi praw obywatelskich odpowiedniego budżetu jest zresztą mowa w rekomendacjach wydanych przez komitet ONZ. Zobaczymy, jak Polska je wypełni. ■

Ubezwłasnowolnienie oznacza śmierć cywilną objętej nim osoby, dlatego powinien je zastąpić system wspieranego podejmowania decyzji.

FOT. KAROLINA HARZ

eprasa.pl 4ddd52fe30

Gdzie znikają złotówki na edukację, czyli o skutkach oświatowej biurokracji

Nauczyciel musi dziś poświęcać znacznie więcej czasu tworzeniu szkolnej dokumentacji niż swoim uczniom

Małgorzata Żuber-Zielicz

Polska wydaje na edukację – czyli swoją przyszłość! – w relacji do PKB na tle UE stosunkowo niewiele, nie mówiąc już o kwotowych rocznych wydatkach na jednego ucznia czy studenta. Deklaracje prezydenta Dudy o podniesieniu nakładów na cele militarne o 25% nie skłaniają do optymizmu w tej materii. Co więcej, nawet tak niskie nakłady są w bezprzykładny sposób marnotrawione. Często pod hasłami troski o lepszą edukację.

MAGICZNE SŁOWO: EWALUACJA

Najważniejszym zasobem polskich szkół jest czas nauczycieli i innych pracowników pedagogicznych. Na wykupienie tego czasu (czyli ich zatrudnienie) przeznaczana jest większość wydatkowanych na edukację środków publicznych, pochodzących z naszych podatków. Problem w tym, że ogromna część tego zasobu bynajmniej uczniom nie służy. Pożera go przede wszystkim masowa produkcja papierów różnego rodzaju oraz zdobywanie i wstawianie pieczątek i podpisów.

Do mniej więcej roku 1999, czyli reformy Handkego, porcja papierów produkowanych przez szkołę i nauczyciela była niewielka. Świadectwa, arkusze ocen i dzienniki – do tego w zasadzie sprowadzała się szkolna dokumentacja zarówno w II RP, w PRL, jak i w pierwszej, „złotej" dekadzie edukacyjnej wolności w III RP. Była jeszcze dokumentacja egzaminacyjna i na tym w zasadzie koniec. Gdy byłam dyrektorem warszawskiego Liceum i Gimnazjum im. Stefana Batorego (2002-2006), zaszokował mnie plan pracy szkoły z lat 70., który wpadł mi w ręce. Zaledwie cztery kartki formatu A4, na których mieściło się wszystko – przydziały godzin i zadań, główne kierunki działania itd. Oczywiście zaakceptowane i podpisane przez dzielnicowe „czynniki" oświatowe i partyjne. Ja miałam już cztery segregatory takich planów, a moja obecna następczyni co najmniej cztery półki. Ktoś mógłby zaprotestować, że ma to raczej w swoim komputerze. Nic bardziej błędnego – szkolna biurokracja wymaga, poza elektroniczną, także papierowej wersji prawie wszystkich dokumentów z podpisami, pieczątkami itp.

> Polskie szkoły stały się dziś królestwem papierów.

W podobnym tempie rosła dokumentacja wymagana od nauczycieli, szkolnych pedagogów i psychologów oraz innych pracowników pedagogicznych. Jednocześnie nadzór nad pracą szkoły i nauczyciela nabrał wyłącznie formalnego charakteru. Dziś już tylko czystym przypadkiem nauczyciel czy dyrektor szkoły spotyka w czasie kontroli osobę znającą się na uczeniu jego przedmiotu czy rozumiejącą problemy i specyfikę jego szkoły. W kuratoriach przestała istnieć funkcja nauczyciela metodyka od danego przedmiotu czy określonych zagadnień. Na kontrolę (lub inną jej formę, zwaną dla niepoznaki ewaluacją) przychodzi urzędnik lub urzędnicy i kontrolują wszystko. Wszystko, czyli papiery od strony formalnej, bo o meritum nie mają pojęcia. Parę lat temu trafiła do mediów „ewaluacja" warszawskiej Poniatówki – stuletniego liceum z pierwszej dziesiątki w stolicy i dwudziestki w Polsce, zarówno pod względem wyników matur, jak i sukcesów olimpijskich. Szkole wystawiono najniższą ocenę, kwalifikującą ją do wymiany dyrektora. W obronie swojego liceum wystąpili zgodnie uczniowie, rodzice, nauczyciele i absolwenci. Szybko ustalili (ach ten internet!), że osoba kontrolująca liceum – specjalistka od nauczania początkowego – niewiele wcześniej została w trybie dyscyplinarnym (!) usunięta z funkcji dyrektora dolnośląskiej podstawówki. Ocenę podniesiono, ale sprawa ta ilustruje dobitnie kompetencje merytoryczne wielu kontrolerów.

GENERATORY BIUROKRACJI

Narzuca się pytanie o genezę takiego rozrostu szkolnej dokumentacji od pewnego, łatwego do ustalenia momentu. Nie przypadkiem wspomniałam wcześniej o reformie, która nie do końca słusznie zwana bywa gimnazjalną. Wprowadzała ona bowiem – czy raczej miała wprowadzić

eprasa.pl 4ddd52fe30

– niezależnie od nowej struktury szkolnictwa jeszcze przynajmniej trzy istotne elementy: relację klient-usługodawca w stosunkach między uczniem/rodzicem a nauczycielem (w ramach modnego wówczas rynkowego podejścia do edukacji), nowy system awansu zawodowego oraz system egzaminów zewnętrznych. I właśnie one, a nie zmiana struktury, pociągnęły za sobą wypuszczenie biurokratycznego dżina z butelki. Chciano też, by pedagodzy oderwali się od doświadczeń z minionej epoki i zaczęli myśleć po nowemu – bo w niewłaściwym ponoć sposobie myślenia nauczycieli o szkole autorzy reformy (niesłusznie!) widzieli podstawowy powód tego, że szkoła działała wówczas tak, jak działała. Przy czym urzędnikom wydawało się, że 18-godzinne pensum pozostawia nauczycielom ogromną ilość wolnego czasu, którego owocne wykorzystanie trzeba na nich wymusić. No i to był powód czwarty, nie wiem, czy nie najważniejszy.

Zacznijmy od tego pierwszego czynnika. Autorzy reformy, o czym mówili wprost, chcieli zmienić świadomość pedagogów i zmusić ich do przemyślenia sposobu podejścia do wychowania, nauczania i oceniania oraz relacji z uczniami i rodzicami. No i wymyślili znakomity, jak im się wydawało, sposób – wprowadzili administracyjny (!) wymóg stworzenia i posiadania przez szkołę bądź nauczyciela masy różnych programów, systemów, planów, zasad itd. oraz najważniejszych ponoć dokumentów szkoły, zwanych szumnie statutami. Gdy nauczyciele będą je tworzyć, to i owo sobie przemyślą. Do najważniejszych, poza statutem, należały szkolne systemy oraz programy wychowawcze i profilaktyczne, szkolne i przedmiotowe systemy oceniania, szkolne programy nauczania itp., itd. Nawet reklamowano to jako przejaw autonomii szkoły i nauczyciela, bo każda szkoła i każdy pedagog mieli z założenia być tych dokumentów autorami.

Żaden plan, system, statut, program bądź inny dokument jeszcze nikogo nie nauczył ani nie wychował. Robi to nauczyciel. Tymczasem kuratoria coraz swobodniej, korzystając z otrzymanej władzy, zaczęły ingerować w „autonomiczne" dokumenty. Podstawowym celem ich twórców stało się więc nie meritum, tylko uzyskanie akceptacji dokumentów przez kontrolerów. Również w ramach swojego PR kolejni ministrowie radośnie wprowadzali zmiany – kazali dokumenty łączyć lub dzielić, zmieniać ich nazwy czy wprowadzać w nich kolejne poprawki. Co roku ministrowie, a potem i kuratorzy, z tych samych PR-owskich powodów ogłaszali swoje priorytety, które „musiały znaleźć odzwierciedlenie"… Ktoś to wszystko musiał tworzyć i zmieniać, a w szkole jedynym takim ktosiem są nauczyciele. Przeciętna polska szkoła o ponad 500 uczniach i setce nauczycieli ma do wszystkich prac biurowych zaledwie jedną sekretarkę. Nic dziwnego, że prace te spadają na nauczycieli, zwłaszcza wychowawców klas. Przy czym nauczyciele nie są specjalistami od tworzenia aktów prawnych, więc ich wytwory nie są doskonałe, mówiąc oględnie. Żmudne cyzelowanie tych dokumentów (jak również one same) niczemu nie służy. Efektywne dydaktycznie i wychowawczo relacje ucznia i nauczyciela to relacje człowieka z człowiekiem, a nie petenta z urzędnikiem czy klienta z usługodawcą.

Przeciętna szkoła o ponad 500 uczniach i setce nauczycieli ma do wszystkich prac biurowych jedną sekretarkę.

Reforma Handkego wprowadzała jeszcze dwa elementy, które generowały tworzenie kolejnych dokumentów i zbieranie na nich podpisów. Pierwszym był system egzaminów zewnętrznych. Rodziców należało poinformować o samych egzaminach oraz prowadzących do nich kolejnych etapach. Na każdym etapie zaś – zebrać od rodziców poświadczenia, że zostali poinformowani. Drugim takim czynnikiem był nowy system awansu zawodowego. Lekką ręką unieważniono poprzedni, wzorowany na medycznym, system stopni specjalizacji, uznając za niebyłe już zdobyte stopnie. Nowy wprowadzał rozbudowane plany rozwoju, a potem jeszcze bardziej rozbudowane sprawozdania z ich realizacji, w których nauczyciel dokumentował, głównie papierami i podpisami, różne elementy swojej pracy. To w tym momencie zwrot „nauczyciel dokumentuje" zrobił w polskiej edukacji zawrotną karierę. A potem już lawina ruszyła…

RADOSNA TWÓRCZOŚĆ MINISTER HALL

Minister Mirosław Sawicki uznał wystawienie każdej oceny rocznej czy semestralnej – nie tylko niedostatecznej – za coś w rodzaju decyzji administracyjnej z procedurami odwoławczymi. Żeby było ciekawiej, od życiowo ważnych ocen z egzaminów zewnętrznych odwołań wtedy nie wprowadzono. Spowodowało to dramatyczne przekierowanie uwagi uczniów, rodziców i nauczycieli z poznawania i uczenia się na wystawianie ocen.

Prawdziwą erupcję papierów polska szkoła przeżyła jednak dzięki ministrowaniu Katarzyny Hall i działalności jej współpracowniczki Joanny Berdzik. Obie panie wprowadziły dwa niesłychanie wydajne generatory szkolnej dokumentacji. Pierwszym jest tzw. ewaluacja. Całkowicie i programowo (zapisano to w oficjalnych dokumentach) ignorując efekty pracy szkół i nauczycieli, wymusza ona tworzenie dokumentacji, z której wynikałoby, że nauczyciele się starają, analizują swoją pracę, współpracują itp. Nawet ci, których uczniowie uzyskali najlepsze w Polsce wyniki matur, muszą udowodnić protokołami z posiedzeń tzw. zespołu przedmiotowego (często dwóch-trzech osób), że analizowali wyniki, ankietowali uczniów, doskonalili swoją pracę… Podobnie nauczyciele przygotowujący największą w Polsce liczbę laureatów olimpiady ze swojego przedmiotu muszą protokołami, ankietami itd. udowadniać, że to nie przypadek, że naprawdę się starali, doskonalili, analizowali. Po czym w obu przypadkach są jeszcze poddawani poniżającym krzyżowym przesłuchaniom (chodzi o wykrycie niezgodności w „zeznaniach" poszczególnych osób). To autentyczne sytuacje.

Drugim generatorem kolekcjonowania papierów i podpisów stworzonym i wdrożonym dzięki wysiłkom pań Hall i Berdzik jest system tworzenia indywidualnych programów edukacyjno-terapeutycznych (IPET) dla uczniów o szczególnych potrzebach edukacyjnych. Takich dzieci jest w polskich szkołach coraz więcej. Nauczyciele, szczególnie wychowawcy

RYS. ALEKSANDRA PAŃKO

eprasa.pl 4ddd52fe30

i szkolni pedagodzy, zamiast im pomagać, tworzą papiery, zwołują spotkania i zebrania dla każdego ucznia osobno, biegają za podpisami kolegów (pod dokumentem muszą się podpisać wszyscy nauczyciele danego ucznia). Nawet premier Donald Tusk, gdy nauczyciele słynnego gimnazjum na Twardej pokazali mu w Dzień Edukacji w 2012 r., na czym polega to gigantyczne marnotrawstwo ich czasu, wyraził publicznie zaskoczenie i dezaprobatę.

Trzecim generatorem, tym razem stworzonym pod patronatem minister Hall przez prof. Krzysztofa Konarzewskiego, jest konstrukcja bardzo szczegółowej, egzekwowanej biurokratycznie na podstawie wpisów w dokumentacji, podstawy programowej.

KAŻDEGO MOŻNA ZŁAPAĆ

To tylko te najważniejsze generatory szkolnych papierów. Jest ich dużo więcej. Nie sposób nie wspomnieć jednak o roli takich instytucji jak Najwyższa Izba Kontroli czy Główny Urząd Statystyczny. Zawsze gdy czytam nagłaśniany medialnie kolejny raport NIK o jakimś problemie, przypominam sobie, że nie spotkałam kontrolujących szkołę inspektorów, którzy mieliby o niej jakiekolwiek pojęcie. Ich jedynym obiektem zainteresowania był obieg papierów i obecność podpisów. Przy czym ich zdaniem właściwie każdej formie aktywności szkoły czy nauczyciela powinny te papiery, pieczątki i podpisy towarzyszyć. GUS z kolei, zamiast zebrać za pomocą sondażu na reprezentatywnej próbce np. cosemestralne informacje o wypoczynku dzieci i młodzieży oraz jego formach, ustawowo wymusza ich „zbieranie" na wszystkich szkołach w Polsce. Napisałam „zbieranie" w cudzysłowie, bo przecież wypoczynek należy do sfery prywatności. Uczeń nie ma obowiązku spowiadać się z niego szkole, a zapytany – mówić prawdy. Z równym zatem powodzeniem podawane przez GUS dane na ten temat mogłyby się wziąć z sufitu. Skądinąd nie wiem, kto i do czego, poza robiącymi doktoraty i habilitacje pracownikami tej instytucji, może potrzebować tak szczegółowych (a przy tym wyjątkowo niepewnych) danych.

Teoretycznie szkoła ma w taki czy inny sposób służyć uczniowi. Polskie szkoły zaś, i to nie z winy pracujących w nich dyrektorów i nauczycieli, stały się dziś królestwem papierów. To ich terminowe tworzenie kontroluje gigantycznie rozbudowana szkolna administracja. To kolejne zmiany przepisów i kształtu oraz nazewnictwa tych papierów, a nie uczniowie, są podstawowym tematem rad pedagogicznych i szkoleń nawet w najlepszych i najbardziej zaangażowanych polskich szkołach. To wypełnianie i podpisywanie niezliczonych druczków, deklaracji, zgód bądź oświadczeń zamiast rozmowy o uczniach stanowi podstawową treść zebrań z rodzicami.

W zawodach zajmujących się pomaganiem, a do takich należy zawód nauczyciela, kluczowe jest pozytywne nastawienie do pracy oraz skoncentrowanie na niej swojej uwagi. Nauczyciel, który i tak ma na jednego ucznia – pomijając nauczanie początkowe – nie więcej niż pięć minut tygodniowo, traci ten czas na tworzenie papierów. Uczniowi już nie pomoże. Myśląc z obłędem w oczach o strawnym dla zwierzchności i nadzoru kształcie kolejnego „kwitu", nie będzie myślał o uczniu i jego problemach, ciekawszej lekcji itd. Co więcej, papiery są dla nastawionych na pracę z ludźmi raczej niezbyt fascynujące. Rośnie więc groźba szybkiego wypalenia akurat najwartościowszych adeptów profesji pedagogicznej.

Polski nauczyciel musi dziś poświęcać zdecydowanie więcej czasu tworzeniu różnorodnej szkolnej dokumentacji niż swoim uczniom.

Prawo i Sprawiedliwość, wbrew obietnicom sprzed trzech lat (poza likwidacją tzw. halówek – wprowadzonych przez minister Hall obowiązkowych godzin dodatkowych zajęć z uczniami, poza pensum), biurokratyzacji oświaty nie zmniejszyło. Bo to wymuszane na szkole i nauczycielu wytwarzanie papierów ma swój sens. Każdego, gdy się chce, można wówczas złapać na braku jakiegoś dokumentu, na jego niewłaściwym kształcie albo czymś podobnym. Szczególnie że odpowiednie regulacje są zwykle niezbyt jasne i precyzyjne. Można też, jeśli się nie chce, nie złapać. Przedstawiciele oświatowej biurokracji, zwłaszcza kuratoriów, zyskują więc nieformalne narzędzie władzy, które pozwala wymuszać na szkołach i nauczycielach różne zachowania w obszarach nieobjętych regulacjami prawnymi albo nawet z istniejącymi uregulowaniami sprzeczne. Co w obecnych warunkach nabiera specyficznego znaczenia.

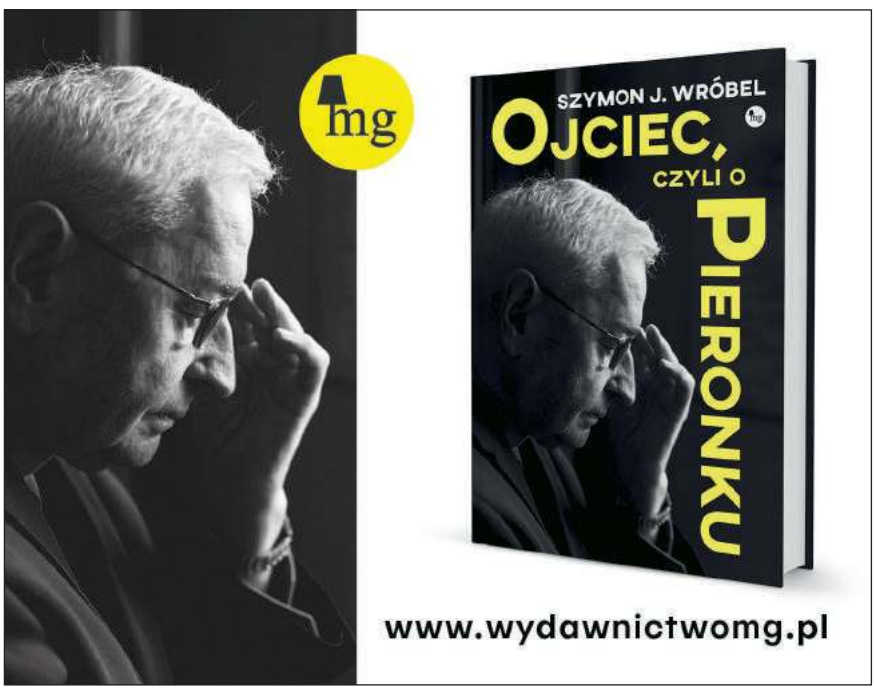

Małgorzata Żuber-Zielicz jest nauczycielką, instruktorką harcerską, przewodniczącą Komisji Edukacji Rady m.st. Warszawy. Kandyduje ponownie z Woli, z listy Koalicji Obywatelskiej. Publikowany tekst zawiera jej osobiste poglądy i refleksje

eprasa.pl 4ddd52fe30

„Kuźnica" popiera Majchrowskiego i Skąpskiego

Stanowisko Rady Stowarzyszenia „Kuźnica" w sprawie wyborów samorządowych

Stowarzyszenie „Kuźnica" od pierwszych bezpośrednich wyborów **prezydenta Krakowa** popierało kandydaturę **prof. Jacka Majchrowskiego**. Przez 16 lat kierowania przez niego sprawami naszego miasta Kraków konsekwentnie i szybko rozwijał się, wykorzystując swoje walory historyczne, kulturalne, intelektualne i turystyczne, jako druga obok Warszawy polska metropolia, znana i uznawana w Europie i świecie.

Program prof. Majchrowskiego na najbliższą kadencję słusznie przewiduje koncentrację wysiłków społeczności miejskiej i środków, którymi będzie dysponować władza lokalna, na przezwyciężaniu uciążliwości życia mieszkańców i gości, którzy coraz liczniej odwiedzają Kraków. Przewiduje kontynuację inwestycji komunikacyjnych, ułatwienie mieszkańcom dostępu do edukacji i kultury, budowę nowych szkół i żłobków.

Stowarzyszenie „Kuźnica" i skupieni w nim ludzie pracy twórczej, wyznający demokratyczne i lewicowe wartości, popierają kandydaturę prof. Jacka Majchrowskiego na prezydenta miasta Krakowa.

Podobne do wyżej wymienionych wyzwania stoją przed innymi miastami, w tym przed Nowym Sączem, gdzie na urząd prezydenta kandyduje Rafał Skąpski, wiceprezes „Kuźnicy".

Stowarzyszenie „Kuźnica" udziela poparcia **Rafałowi Skąpskiemu w wyborach na prezydenta Nowego Sącza.**

Stowarzyszenie popiera również członków „Kuźnicy" kandydujących w wyborach do małopolskiego sejmiku wojewódzkiego oraz do rady miasta Krakowa i rady miasta Sosnowca, a także wzywa wszystkich obywateli, którym nieobojętny jest los naszych małych ojczyzn, do czynnego udziału w wyborach samorządowych 21 października br.

Rada Stowarzyszenia „Kuźnica", Kraków, 26 września 2018 r.

Nie zawiódł w Sejmie, nie zawiedzie w sejmiku

Prof. Tadeusz Iwiński, poseł na Sejm RP SIEDMIU kadencji z Warmii i Mazur (poczynając od pierwszych demokratycznych wyborów w 1991 r. do 2015 r.). W wyborach z 2015 r. także uzyskał wystarczającą liczbę głosów, by zdobyć mandat po raz ósmy (jako jedna z dwóch osób w Polsce, a jedyna z lewicy), ale nie mógł go objąć, gdyż Zjednoczona Lewica nie przekroczyła progu 8%.

Kandyduje w okręgu obejmującym pięć powiatów: ełcki, gołdapski, kętrzyński, olecki i węgorzewski.

Przez wiele lat prof. Iwiński fundował całoroczne stypendia dla zdolnych maturzystów z regionu wywodzących się z rodzin o niskich dochodach, by mogli podjąć studia wyższe (otrzymało je ok. 100 osób). Wspierał (także finansowo) specjalne ośrodki szkolno-wychowawcze. W Sejmie próbował blokować patologiczną prywatyzację zakładów Warmia w Kętrzynie i Mrągowie. Jest jednym z ojców utworzenia Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. A także gorącym zwolennikiem małego ruchu granicznego z obwodem kaliningradzkim. Niestety, teraz zawieszonego.

Czytelnicy informują nas, że na listach wyborczych do samorządów znajdują nazwiska ludzi, którzy byli negatywnymi bohaterami naszych tekstów.

Na liście PSL do rady powiatu bialskiego jest **Mariusz Filipiuk**, starosta z Białej Podlaskiej. **Startuje z gmin Międzyrzec i Drelów**. Pisząc o tym, jak przejął władzę w lokalnym PSL, eliminując jego szefa Tadeusza Łazowskiego, użyliśmy słów o „gangsterskim stylu". Starosta protestował, bo w jego mniemaniu była to po prostu elegancka wymiana kadr. To my też elegancko przypominamy, że w starostwie były lipne konkursy na stanowiska. Że wybierano znajomków. I że źli ludzie źle gadają o pracy pana starosty w OHP i stadninie koni. O koalicji z PiS również.

UFO nad Łaśmiadami

O tym wójcie nie pisaliśmy. Czego szczerze żałujemy i nadrabiamy teraz. Bo **Tomasz Osewski, wójt gminy Ełk (z PO),** w poczuciu dobrze wykonywanych obowiązków szykuje się na drugą kadencję. Dobrego samopoczucia wójta nie podzielają jednak mieszkańcy gminy. A przynajmniej ci, których wkurzają wielkie budowy przy linii brzegowej pięknego jeziora Łaśmiady. Przed paru laty wielokrotnie pisaliśmy o „UFO na Mazurach" i ówczesnym wójcie Antonim Polkowskim. Za jego zgodą wybudowano na granicy Piasek i Sajz ogromny dom, który wchodzi wprost do jeziora. I tego wójta ludność pogoniła w wyborach. Niestety, po czterech latach mamy podobny przypadek. Na granicy wsi Piaski od Stradun w błyskawicznym tempie postawiono kolejne UFO. Oburzeni mieszkańcy gminy pisali do redakcji, a my do wójta Osewskiego. Pytaliśmy, kto buduje to zamczysko, bo obowiązkowej tablicy z informacją o inwestorze nigdy nie było. Kto wydał zgodę i na jakiej podstawie prawnej? Dowcipni urzędnicy wójta kluczyli i grali na zwłokę. Celował w tych wykrętach Krzysztof Bronakowski, sekretarz gminy. Wysyłaliśmy im zdjęcia i szczegółową lokalizację obiektu. Ale Magdaleny Fuk, zastępcy wójta, ani Piotra Strykowskiego nie przekonaliśmy. Betonowego muru urzędu gminy nie skruszyliśmy. Może skruszą go wyborcy? Albo prokuratura?

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4ddd52fe30

Rozmawia Roman Wojciechowski

SAMORZĄDY SAME NAJLEPIEJ WIEDZĄ, CO IM POTRZEBNE

Politycy, jeśli nie potraficie pomagać samorządom, to przynajmniej im nie przeszkadzajcie

WIESŁAW NASIŁOWSKI
– wójt gminy Pniewy

W jednej z gmin wójtem został człowiek znany głównie z tego, że prowadził w parafii nauki przedmałżeńskie. Czy powinien być wprowadzony wymóg kompetencji w wyborach na stanowiska samorządowe?

– A czy on był dobrym wójtem, czy złym?

Był wójtem jedną kadencję, zostawił gminę zadłużoną, a w szafach teczki niezałatwionych spraw.

– No to odpowiedział pan sobie na pytanie. Można tylko ubolewać, że nie ma wymogów kompetencyjnych. Gdyby ktoś mi powiedział, tu, w gminie znanej z sadownictwa: masz 10 ha, idź i pryskaj sady… To za rok dobry sadownik nie poznałby swojego sadu.

Dlaczego?

– Ze zmartwienia złapałby się za głowę. Nie znam tajników, procedur, które potrzebne są w tej robocie. Wracając na podwórko samorządowe – najgorsze, gdy ludzie kompetentni są pozbawiani stanowisk, a na ich miejsce obsadzani niekompetentni, bez doświadczenia. Taki człowiek sam się męczy, męczą się z nim inni, a efektem są straty w budżecie. W kadencji 2002-2006 byłem radnym powiatu grójeckiego i pracowałem w komisji, która zajmowała się inwestycjami oraz planowaniem przestrzennym, bo jako budowlaniec znam się na tym. Gdy biorę do ręki projekt, od razu widzę błędy. Nawet mówią: oby projekt nie trafił do wójta, bo znajdzie błędy, których inni by nie zauważyli.

Który z takich projektów najbardziej pana zdziwił?

– Było ich kilka... Na przykład plany budowy linii wysokiego napięcia 400 kV, która miała łączyć elektrownię w Kozienicach z Warszawą. Raptem przed wyborami do Sejmu i Senatu podjęto decyzję o zmianie planu zagospodarowania przestrzennego Mazowsza, i to w sytuacji, gdy na poprzedni wydano ładnych parę milionów złotych. To był dla mnie horror – nowy plan prowadził linię przez tereny gminy Pniewy.

Może były jakieś merytoryczne powody?

– Jakie?! Czy chciałby pan jechać z Kozienic do Warszawy przez Pniewy? Jeździłem do ministerstwa, do Sejmu na posiedzenia komisji, do wojewody. Mówiłem: niech projektanci idą do podstawówki, nie musi to być ósma klasa, wystarczy piąta. Niech dadzą dzieciakom mapę, to lepiej wyznaczą tę linię! Proponowałem: puśćcie ją terenem zalewowym Wisły. Wycofano się z tego projektu, ale to pokazuje, jak polityka psuje samorządowcom robotę. Nie bądźmy naiwni, przed wyborami kandydaci na posłów i senatorów w swoich okręgach obiecywali: wybierzcie mnie, ja zmienię przebieg linii.

> Mieszkańców gminy nie interesuje polityka, kto jaką legitymację nosi.

Taka linia wysokiego napięcia stwarza ograniczenia dla deweloperów, dla właścicieli gruntów.

– Jaskrawym przykładem tego, jak mieszkańcy tracą na grach politycznych, jest przebudowa drogi powiatowej Pniewy-Rembertów na odcinku 7,6 km. Miała to być wspólna inwestycja naszej gminy i powiatu grójeckiego, dodatkowo współfinansowana z budżetu województwa. Na zlecenie starostwa przygotowano projekt, który zawierał podstawowe błędy, chociażby budowę zjazdów wychodzących z pasa drogowego na prywatne grunty. A wiadomo, że nie wolno wydawać publicznych pieniędzy na inwestycje na prywatnych gruntach. Gmina wyłożyła 30 tys. zł na projekt, za który starosta w ogóle nie powinien zapłacić! I co? Starostwo wycofało się z inwestycji.

O co w tym wszystkim chodzi?

– Warto wiedzieć, że mój kontrkandydat w wyborach na stanowisko wójta jest członkiem zarządu powiatu grójeckiego. To właśnie zarząd przedstawił radzie powiatu wniosek o rezygnację z tej inwestycji. W efekcie wojewoda też wycofał dotację. I takie są właśnie polityczne gierki pod hasłem: im gorzej, tym lepiej. Wycofamy

eprasa.pl 4ddd52fe30

3 mln zł, niech wójt się gimnastykuje, niech ludzie go obsobaczą. Mieszkańców gminy Pniewy nie interesuje polityka, przynależność partyjna, kto jaką legitymację nosi. Ich interesuje, czy droga będzie poprawiona. Ale partyjni koledzy dali mojemu kontrkandydatowi wyborczy argument, że to jest wina wójta, że się źle gospodarzy. Ja to przeżyję, niejedno w samorządzie widziałem, właśnie mija trzecia kadencja mojego wójtowania.

Nie zdziwił pana pomysł ograniczenia liczby kadencji?

– Jeśli nie będę efektywny, to nawet gdybym na kolanach przed ludźmi chodził, poklepią mnie po plecach, a i tak wybiorą lepszego gospodarza. To jest naturalna selekcja, w gminach na dłuższą metę nie pomogą rządzącym jakieś polityczne zagrywki. W ocenie mojej pracy powinny liczyć się fakty: gdy w 2007 r. rozpoczynałem wójtowanie, budżet gminy wynosił 7 mln zł – obecnie ponad 20 mln.

Ale ten argument można zbić inflacją, programem 500+, który rozdysponowują gminy i który sztucznie napompował ich budżety.

– U nas to kwota w granicach 3 mln zł. Wróćmy do liczb, one są obiektywne. W Polsce jest 1559 gmin wiejskich – w 2006 r. byliśmy pod względem dochodów na 1394. miejscu, a w roku 2016 – na 508.! Z tymi danymi nie da się dyskutować.

Co wpłynęło na taki wzrost budżetu?

– Przede wszystkim stwarzamy inwestorom przyjazne warunki. Już w 2002 r. cała nasza gmina miała zatwierdzone plany zagospodarowania przestrzennego, a byłem wówczas inspektorem ds. budownictwa i odpowiadałem za planowanie przestrzenne.

Do dziś wiele gmin nie może się tym pochwalić.

– I gdy inwestor przychodzi do urzędu, umiemy go poprowadzić, pomóc w uzyskaniu potrzebnych decyzji, dokumentów. Nie musi czekać. Dziś w ulotce wyborczej nie muszę pisać, że będę dbać o zwiększenie liczby miejsc pracy, gdyż jest ich wystarczająco wiele. Ostatnio dwie duże firmy weszły na teren i rozpoczynają budowę. To zapewni kolejne miejsca pracy.

Na czym konkretnie polega ta pomoc?

– Przychodzi inwestor, który nie dostał zgody z Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych na budowę wjazdu do drogi krajowej. Chce zrezygnować z inwestycji. Rozkładamy plany, pokazuję mu: tu są nieużytki, które przylegają do drogi gminnej. Niech pan się dogada z właścicielem, odkupi teren, a ja panu dam zgodę na wjazd do drogi gminnej. Przychodzi za godzinę i mówi: załatwione, będę budować. Powstanie nowy zakład pracy, ludzie dostaną robotę, zarobią miejscowe sklepy, mechanik samochodowy, fryzjer…

Także na tym polega gminna ekonomia.

– Mamy firmę klasy światowej, PepsiCo, mamy producentów stolarki budowlanej, urządzeń drenarskich, ale też małe firmy usługowe. Gdy podnosi się standard życia ludzi – to przy okazji poprawia się budżet gminy.

Zasilają go podatki od firm, mieszkańców…

– Na gminę trzeba spojrzeć jak na łańcuszek zależności, wszystkie elementy są jak naczynia połączone. Gdy zostałem wójtem, nie zamknęliśmy żadnej szkoły – zamiast ją zamknąć, otwierałem oddział przedszkolny. Nie zrobiłem jednego gminnego przedszkola, jak mi proponowano. A czasy były niełatwe, np. w szkole w Jeziorze miałem 34 uczniów i 12 nauczycieli, a więc szkoła do zamknięcia. Dziś mam tam ponad 100 uczniów i oddział przedszkolny. Młodzi zamiast wynajmować mieszkania w Warszawie, wolą tu mieszkać, a pracować w stolicy.

Byłbym samobójcą, gdybym chciał coś robić wbrew mieszkańcom.

Niech pan znajdzie gminę, w której są takie proporcje – na 4,7 tys. mieszkańców mamy cztery przedszkola, cztery szkoły i gimnazjum, które pod względem poziomu nauczania jest w czołówce w powiecie i na Mazowszu.

Ale już go nie będzie…

– I na dodatek muszę robić modernizację obiektów szkolnych, za reformą oświatową powinny iść pieniądze.

Najpierw minister Zalewska zapewniała, że reforma będzie bezkosztowa, a teraz twierdzi, że to samorządy są winne sytuacji, w jakiej znalazły się szkoły.

– Nic, tylko machnąć ręką. Wie pan, ja wychodzę z założenia, że nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. I co, teraz pójdę do premiera, ministra, posła i powiem: wymyśliliście reformę, to dajcie pieniądze? Ja w mojej gminie, gdy podejmuję decyzję, muszę przewidzieć, jakie będą jej koszty, jakie przyniesie efekty. Nie mogę obiecywać gruszek na wierzbie, trzeba mieć odwagę i wyobraźnię, żeby iść pod prąd.

Dobry samorządowiec musi mieć odwagę i wyobraźnię, żeby czasem iść pod prąd.

Na przykład?

– Nie ulegliśmy modzie na orliki, które moim zdaniem były pomysłem nie do końca trafionym. Może sprawdzają się w miastach, ale nie w małych wsiach.

Z perspektywy czasu trudno oprzeć się wrażeniu, że orliki to był w dużej mierze propagandowy program rządu. Drogie do wybudowania, kosztowne w utrzymaniu, wiele świeci pustkami, a w jednej trzeciej gmin w ogóle nie powstały.

– Przy największej szkole wybudowałem boisko wielofunkcyjne do siatkówki, koszykówki, piłki ręcznej i tenisa. Moim marzeniem jest wybudowanie takich boisk przy każdej szkole i na pewno będą one tańsze niż orliki. Samorządy same najlepiej wiedzą, co jest im potrzebne. Gdy obejmowałem wójtowanie, był taki rok, że sześć osób zginęło na 10-kilometrowym odcinku drogi krajowej przebiegającej przez naszą gminę. A ile zostało kalekami? Zaproponowałem radnym, żeby utworzyć straż gminną, na co zgodzili się zdecydowaną większością głosów. Oczywiście musieliśmy wydać pieniądze na etaty, adaptację pomieszczeń, sprzęt, radary, samochód, ale przyszły lata, że nie było ani jednego wypadku z ofiarami śmiertelnymi! Sam zacząłem wolniej jeździć. I komu to przeszkadzało? Gminy nie brały od rządu ani grosza na utrzymanie straży gminnych.

Przeciwnicy argumentowali, że zakładają straż głównie po to, żeby zarabiać na fotoradarach.

– To było medialne gadanie. Ja mówię: cały naród na tym zarabiał – oszczędzano pieniądze na dojazdach policjantów na interwencje, pieniądze, które poszłyby na karetki jeżdżące do wypadków, na szpitale,

eprasa.pl 4ddd52fe30

rehabilitacje, sanatoria, zasiłki pogrzebowe… No fakt, straciły na tym jedynie zakłady pogrzebowe.

I znowu mówimy o polityce.

– Wolałbym mówić o tym, co zrobiliśmy. Na przykład w ośrodku zdrowia mamy lekarzy rodzinnych, dwóch stomatologów, specjalistów, pediatrów. Do nas przyjeżdżają mieszkańcy sąsiednich gmin. I co ważne – zero zadłużenia. Gdy zostałem wójtem, kupiliśmy aparat do USG, a budżet gminy był o wiele niższy niż dziś. Chory nie może czekać pół roku na badanie. To wielki błąd w systemie zarządzania służbą zdrowia – jeśli chce się poprawić jej kondycję finansową, trzeba zainwestować w profilaktykę, i to na poziomie gminnych ośrodków zdrowia. Trzeba gminom stworzyć warunki do zakupu potrzebnego sprzętu diagnostycznego oraz do zatrudnienia lekarzy.

A jednak znowu o polityce.

– Nie, nie o polityce – o życiu. Jestem wyczulony na ochronę środowiska, uważam, że to fundament, na którym stoimy. Dziś dla większości gmin wiejskich problemem jest gospodarka wodna. Jako radny powiatu w latach 2002-2006 opracowałem dokumentację projektu spiętrzania wód na wszystkich ciekach wodnych w naszym rejonie. Obliczenia wykazały możliwość magazynowania olbrzymich zasobów wody. Dziś na terenie gminy nie mamy problemów z wodą, natomiast w kraju narzeka się na jej brak. Wydaje się pieniądze na usuwanie skutków suszy w rolnictwie, a może za parę miesięcy na usuwanie skutków powodzi. To jak w powiedzeniu: czas na grabarza, a leci się po lekarza.

Ugryzłem się w język, bo znów chciałem powiedzieć…

– O polityce? To porozmawiajmy o ludziach. Mam wspaniałych ludzi: dyrektora ośrodka zdrowia, dyrektorów szkół, kierownika biblioteki… Nie sposób wszystkich wymienić. Ja nie wtrącam się do tego, co robią, oni sami czują swoją robotę. No i oczywiście mam bardzo dobrych pracowników urzędu. Oni znają moją zasadę: jeśli urzędnik nie potrafi uśmiechać się do interesanta, to niech idzie pracować w rzeźni. Praca w urzędzie, gdy prawie wszyscy w gminie się znają, nie może polegać na odfajkowaniu spraw. Pracownik samorządowy musi czuć swoją gminę.

Na czym to polega?

– Gdy jadę samochodem, żona często mówi: ty masz zboczenie zawodowe, tylko patrzysz, czy tam dobrze zbroją, czy działka ma wymiar zgodny z planem miejscowym, a tam trzeba drogę naprawić... Dzieci mi powtarzają: ty jesteś od gminy uzależniony.

A współpraca z radnymi?

– Po wyborach zaprosiłem wszystkich radnych na spotkanie i poprosiłem: polityka skończyła się wraz z zamknięciem urn, teraz pracy wystarczy dla wszystkich. Zaproponowałem współpracę, na początku kadencji ustaliliśmy kierunki działań i je realizujemy. Byłbym samobójcą, gdybym chciał coś robić wbrew mieszkańcom, i niewiele bym zdziałał bez dobrej współpracy z ludźmi. Nierzadko sobie myślę: politycy, jeśli nie potraficie pomagać samorządom, to przynajmniej im nie przeszkadzajcie.

Roman Wojciechowski

Tereny rekreacyjne nad zalewem Jeziorki w miejscowości Osieczek.

Gmina Pniewy – gmina wiejska, 4,7 tys. mieszkańców, 102 km kw. powierzchni, położona 40 km od Warszawy w powiecie grójeckim, przy drodze krajowej nr 50. Należy do regionów czystych ekologicznie, przepływa przez nią rzeka Jeziorka – jedna z najczystszych w Polsce. Idea zrównoważonego rozwoju jest realizowana pod hasłem: gmina przyjazna mieszkańcom, środowisku, inwestorom.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4ddd52fe30

Oko w oko

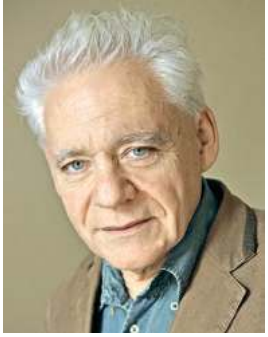

Tomasz Jastrun

SPLOT

Obejrzałem „Kler". Nie jest to film wybitny, ale dobry i mocny. W ten świat się wierzy. I wychodzi się z kina w gniewie na Kościół. Na pewno jest to ważne wydarzenie społeczne. Spodziewam się teraz efektu #me too, wielu ujawnień pedofilii kapłanów. Bogactwo hierarchów zawsze irytowało i oburzało. Powszechność alkoholizmu wśród księży też nie jest tajemnicą. Nie jest tajemnicą wysysanie pieniędzy od biednych wiernych. Ani antysemityzm w mowie kapłanów. Problem w tym, że Kościół przedstawiony został jako organizacja półmafijna, powiązana z politykami – tego PiS i prawica nie wybaczą. A Polacy szturmem rzucili się na kina, jakby od dawna wzbierała fala. Zbiegło się to z walką papieża Franciszka z pedofilią. Powstał mocny splot. Kościół i prawica wściekłe, bo bezradne. Jak mogło do tego dojść? Jeśli porządzimy dłużej, coś takiego będzie niemożliwe.

Sam miałem tylko dobre doświadczenia z księżmi, ale jakże były one elitarne. Przyjacielem naszego domu był ksiądz poeta Jan Twardowski, jeździłem nawet do niego na prywatne lekcje religii. Bliscy byli poeta ksiądz Janusz Pasierb i poeta ksiądz Janek Sochoń, który udzielał nam ślubu w kościele Wizytek. I bliski mi jest duchowy opiekun artystów – ksiądz Wiesław Niewęgłowski. Po stanie wojennym podróżowałem po całej Polsce ze swoimi politycznymi wierszami, byłem w wielu kościołach, zawsze serdecznie przyjmowany, ale to był szczególny czas, jednoczył nas wspólny wróg. Raz tylko, bodaj w kościele w Sopocie, ksiądz dał mi kolację i plótł monstrualne antysemickie bzdury, siedząc pod obrazem Matki Bożej, Żydówki. A z drugiej strony: moja pierwsza żona była dzieckiem, gdy w czasie spowiedzi dostała nieprzyzwoitą propozycję od księdza. Moja dobra znajoma niedawno romansowała z księdzem, który był alkoholikiem. Jak się tak poszpera wokół, to aż kipi. Niektórzy – jak Kaczyński – uważają, że bez Kościoła Polak rozpadnie się moralnie. Inni są pewni, że ten typ religijności, płytkiej i często fałszywej, zabiera pole innej, zdrowszej moralności, która mogłaby powstać. Jedno jest pewne – laicyzacja Polski przyśpiesza.

Media donoszą, że prezydent Duda i PiS chcą na fali wzmożenia patriotycznego odbudować w Warszawie pałace Saski i Brühla. Nareszcie coś pisowskiego, z czym mogę się zgodzić, co mi się podoba. Nowa architektura nie ma urody i wdzięku starej. A kto dzisiaj przejmuje się tym, że Starówka czy Zamek Królewski zostały zrekonstruowane? Stoją, jakby stały zawsze. Warszawa ciągle krwawi po wojnie.

Nasz miniony już wiek XX obfitował w dramaty, a jednak porażka architektury – nawet jak na ten dramatyczny wiek – należy do wydarzeń niezwykłych, rozgrywa się w wielkiej ciszy, w luksusie nowych, niebywałych technologii i materiałów. Jeśli ktoś nie wierzy w porażkę współczesnej architektury, niech pomyśli, w jakim mieście chciałby mieszkać, gdzie chciałby spacerować i spotykać się ze znajomymi. Przecież nie na warszawskim Bemowie, ale na starym Krakowskim Przedmieściu. I wszędzie, gdziekolwiek jestem, od Lizbony po Moskwę, widzę, jak coraz większy tłum ludzi próbuje przytulić się do coraz mniejszych ocalałych skrawków prawdziwego miasta, czyli miasta z innej epoki. Jak do tego doszło?

Od wieków naczyniem dla architektury był kwartał. Tam powstawały podwórka, nie zawsze higieniczne, często ciemne. Gdy drożały grunty, a miasto rosło wzwyż, podwórka zmieniły się w ponure studnie. Wtedy nastąpiła rewolucja w architekturze, zburzono tradycyjną ulicę, powstały miasta satelitarne, a ich późnym i chorym wnukiem staną się dzielnice z wielkiej płyty. Jak widać, za każdą rewolucję trzeba zapłacić. I to słono. I nie tylko Le Corbusier jest winny, chociaż ze złośliwą przesadą można go nazwać Marksem architektury. Już nieżyjący Jerzy Sołtan, który przez lata pracował u słynnego Corbu, opowiadał mi, jak po wojnie prosto z oflagu pojechał do Paryża, do swojego mistrza. Le Corbusier osobiście otworzył mu drzwi, poprawiając okulary krótkowidza, popatrzył na wysokiego przybysza z dołu i powiedział: „Tak, to Sołtan! Ale pan jest przecież za duży, za wysoki". Mistrz był w trakcie tworzenia nowego systemu wymiarowania i wzrost Sołtana psuł mu schemat. Politycy uwierzyli, że wystarczy pragmatyzm i teoretyczna wiedza, jak powinni mieszkać ludzie, domy stały się maszynami do mieszkania, a dzielnice mieszkalnymi fabrykami. Nowa architektura jednak się humanizuje i szuka nowego języka. Jest więc nadzieja. Stanowczo za mało myślimy i mówimy o architekturze, w której przecież żyjemy. W kampanii do wyborów samorządowych też o niej cicho.

Polacy szturmem rzucili się na „Kler", jakby od dawna wzbierała fala.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4ddd52fe30

ŚLEPA MIŁOŚĆ DO AMERYKI – CD.

Artykuł „Ślepa miłość do Ameryki" (PRZEGLĄD nr 38) wywołał duży odzew na portalach Interia.pl i Onet.pl. Skomentowano go przeszło 2 tys. razy. Oto niektóre wypowiedzi.

Ten artykuł powinien obowiązkowo przeczytać każdy zdrowo myślący Polak. Polityka Dudy i PiS prowadzi nas na manowce i do katastrofy! O Kaczyńskim nie wspomnę, bo ten człowiek już dawno odleciał!

Ważne

•

Ślepa miłość do Ameryki, nasze narodowe przywary, anachronizm myślenia, denna polityka zagraniczna, rusofobia, hołubienie mitów i bohaterszczyzny, zakłamywanie i dezawuowanie czasów PRL itd. to celne spostrzeżenia autora. Jego argumenty trafią do inteligentnych. Do prostaków niestety nie, a tych jest znacznie więcej. Ci prostacy to „lepszy sort", o którym tak pozytywnie mówią prezio i jego zausznicy.

Włocieski

•

Polska jest potrzebna USA w kilku sprawach: 1. szczekania na Rosję, 2. próbach obsikania nogawki Putina, 3. wspierania amerykańskich koncernów zbrojeniowych, 4. wspierania polityki Izraela wobec Palestyńczyków i Iranu. Za to wszystko Adrian zostanie poklepany po plecach.

greg

•

Ponad 40 lat trzeba było czekać na likwidację baz radzieckich, a teraz na własną prośbę i za nasze pieniądze zapraszamy kolejnego zbawcę, wystawiając się na atak w pierwszej kolejności. Nie wydaje mi się to rozsądne.

koło

•

Przypomnijcie sobie, jak się skończył sojusz z USA podczas inwazji w Iraku? Obiecano nam nawet pola naftowe zrabowane irakijskiemu narodowi. A co z tego zostało? Oszukali nas i znów nas oszukają.

do Trolli

•

Bardzo trzeźwe spojrzenie na rzeczywistość. Przerażające jest to, że prawdziwe. Dalsze postępowanie w ten sposób sprawi, że zostaniemy sami w Europie, a z tej pozycji już krok do kolejnych rozbiorów.

Brabbit

•

Dla USA polscy żołnierze to tylko mięso armatnie, które można w każdej chwili wydać na rzeź w imię własnych interesów. Czy tak postępuje sojusznik? USA wiedziały o pomordowaniu polskich oficerów w Katyniu choćby dzięki ppłk. Johnowi Van Vlietowi, który był świadkiem ekshumacji i 22 maja 1945 r. napisał raport dla Pentagonu. Van Vliet został zobowiązany do milczenia, a raport zaginął i nie został włączony do materiału dowodowego procesu w Norymberdze, podczas którego próbowano o tę zbrodnię oskarżyć Niemców.

sophis

•

Jankesi szukają frajera na dywersanta w sprawie Rosji. I właśnie znaleźli. Polska świetnie się do tego nadaje. Nic za to nie chce, a nawet chętnie dołoży od siebie. Nigdzie takiego kraju nie znajdą. Popatrzmy na Słowację. Nie muszą się płaszczyć jak my, a od lat mają wizy. Polska to jednak państwo teoretyczne.

wędkarz

•

Artykuł jest napisany z sensem i nie ma powodu wiązać go z PO czy z PiS, jako że obie partie są na kroplówce MFW i nic w polityce nie znaczą. Polska już nie będzie niezależna, a polityka praktykowana od 1989 r. tylko ją pogrąża.

Dorota

•

Polska jest w identycznej sytuacji jak wiele krajów Ameryki Południowej, gdy Stany Zjednoczone zainstalowały tam proamerykańskich przywódców. Ci ludzie są skorumpowanymi kłamcami, a kraje kolejnymi koloniami USA, zakładnikami amerykańskiej polityki imperialistycznej. Tylko skończony głupiec będzie się oszukiwał, że jest inaczej.

Czerwony

•

100% racji, ale do kogo ten tekst? Czy do obecnej władzy, która z prymitywnego rewizjonizmu, dzielenia społeczeństwa na lepszych i gorszych, opowiadania bzdur o wstawaniu z kolan, skłócania Polski z wszystkimi krajami naokoło uczyniła podstawę swojego istnienia? Czy do pospólstwa tęskniącego za „Czy się stoi, czy się leży, to wypłata się należy", którego głosy można kupić za 500+? Niestety, tak teraz w zdecydowanej większości wygląda Polska. Zrozumie i poprze autora 10-15%, czyli odsetek rozumnych Polaków, ale na wyborach pospólstwo i tak zmiażdży ich masą.

Gerwazy2X

•

Dużo prawdy i trafnych wniosków w tym artykule. W sumie tylko Węgry są sojusznikiem, na którego Polska może liczyć. W mniejszym stopniu Grupa Wyszehradzka.

AleksandraS

•

Zbroić się, to jak wejść do tunelu (bez odwrotu), w którym na końcu nie ma światełka, tylko błysk i „mięso armatnie". Po co to nam potrzebne? Gdybyśmy te pieniądze wydali na infrastrukturę, naukę, nowoczesny przemysł, wszyscy by nas szanowali i chcieli z nami współpracować. Nawet jak będą nas się bali, to i tak szacunku nie będziemy mieli żadnego.

Po co nam to

•

Tak dla przypomnienia – Trump jest prezydentem USA i jego działalność ma służyć przede wszystkim Amerykanom. I im ma się podobać, a nie reszcie świata.

Phunt Qacoov

•

I to właśnie ten prezydent jest największym przyjacielem PiS. Jego wielkim sukcesem będzie, jeżeli dotrwa do końca kadencji, bo przynajmniej raz w miesiącu grozi mu impeachment.

Zdzisław Skiba

•

Czytanie tego artykułu trwało dłużej niż 20 minut. A przecież sama rozmowa „prezydenta" z prezydentem była zaplanowana na 20 minut.

Mimi

eprasa.pl 4ddd52fe30

Najwspanialsza pomyłka

Edward Mikołajczyk

Lepszą mam pamięć do imienin niż zgonów, dlatego przegapiłem 426. rocznicę śmierci Montaigne'a (13 września), a przypomniałem sobie o niej dopiero na Świętego Michała (29 września). Michał Montaigne śmiało mógł dożyć stówki, więc nie jest to z mojej strony wielka ekstrawagancja występować po latach z pretensjami do francuskiej kostuchy za odmowę tej kilkunastodniowej prolongaty byłemu burmistrzowi Bordeaux.

Poza nami mało kto na świecie obchodzi imieniny, więc z pewnością również Michel nic nie słyszał o istnieniu takiej okazji w kalendarzu. Chyba tylko jeden człowiek na świecie, mianowicie Piotr Skrzynecki, uważał, że hołdy, owszem, ale imieniny także się należą Panu z Montaigne i je świętował w Piwnicy pod Baranami w Krakowie, na przełomie lat 50. i 60. ubiegłego stulecia. W tej piwnicy pierwszy raz pobrałem – jak należy zeznawać przed komisją – informację o sławnym już od wieków solenizancie.

Będzie zbawiony każdy, komu uda się choć raz rozbawić drugiego człowieka.

Dziełem życia Michela de Montaigne'a są „Próby", popis erudycji i talentu literackiego. Księgi powstawały latami. Łączą prosty wykład filozofii z żywym opisem doświadczenia autora. Ich język do tej pory fascynuje badacza, nie mówiąc o zwykłym czytelniku, który może nie wiedzieć, że do wczesnego pacholęctwa Michaś nie znał francuskiego. Miał szlaban na język ojczysty. Zawsze obok stał surowy łacinnik, Niemiec, albo któryś z jego asystentów. Rozmówek musiała się nauczyć cała rodzina i służba, bo uczone dziecko mówiło tylko po łacinie.

W narracji ksiąg co krok jest dygresja, co chwila wyskakuje cytat, a nie czuje się wybojów i nie ma o co się potknąć podczas lektury. Bezszelestnie suniesz do przodu jak pendolino, odkrywając nowe okazje do zachwytu i błyskotliwe historie łączące racjonalizm ze sceptycyzmem, co w życiu i filozofii praktykuje się oddzielnie.

Autor dał do przeczytania pierwsze dwie księgi „Prób" pewnemu prałatowi w Watykanie. Jechał do Rzymu wierzchem, 35 km dziennie, oczywiście z całym orszakiem i ze zbrojnymi. Podróż zajęła 17 miesięcy. Pięknie ją opisał, dostał pochwałę od Zbigniewa Herberta, ale prałat oddał rękopis z uwagami, co nie wróżyło niczego dobrego. Egzekucja odbyła się 80 lat później. W roku 1676 Kościół umieścił dzieło na indeksie.

W Rzymie Montaigne poznał sekretarza kard. Hozjusza, prałata Stanisława Reszkę, który tam załatwiał sprawy spadkowe po królowej Bonie. Wspominam o tym nie tylko z powodu „naszego" akcentu, ale w ogóle istniejącego domniemania, że zamiast do Włoch mógł Montaigne wyprawić się wtedy do Polski, albo zrobić to później, gdyby zdrowie pozwoliło. Wielka, bardzo wielka szkoda, że nie powstało świadectwo pobytu wielkiego humanisty w Polsce, bo do podróży nie doszło. Tak pisał, kiedy mu czyniono wyrzuty, że za długo nie było go w ojczyźnie: „Uważam wszystkich ludzi za swoich rodaków; tulę do serca Polaka tak samo jak Francuza, niżej stawiając w tym spójność narodową od powszechnej i ogólnej. Nie zdaje mi się własne niebo najbardziej niebieskie".

Nie dożył sześćdziesiątki. Umarł na kamicę nerkową. Dzisiejsza medycyna poradziłaby sobie z jego chorobą w niecałą godzinę. On cierpiał latami. Rozważania o bólu, lekarzach i medycynie są bardzo ważną częścią „Prób".

Gorzką anegdotę związaną z chorobą opowiada Józef Hen, autor pięknej książki „Ja, Michał z Montaigne…", z której czerpię tu najwięcej, mówiąc nawiasem. Otóż pewnego dnia ktoś przyniósł do dworu wiadomość, że na kamicę najlepsza jest świeża krew kozła. Chłopi z troską wyhodowali zwierzę. Po zaszlachtowaniu okazało się, że było chore na… kamicę nerkową.

„Piszę mą książkę dla niewielu ludzi i na niewiele lat", mówił Montaigne na krótko przed przeczuwaną śmiercią. Józef Hen przytacza to zdanie na końcu swojej opowieści o nim i opatruje cudowną puentą: „Dzieje literatury nie znają wspanialszej pomyłki". Od tytułu oryginału „Essais" pochodzi dzisiejsza nazwa gatunku literackiego – eseju.

Skrzynecki mawiał, powołując się na Mistrza, że będzie zbawiony każdy, komu uda się choć raz rozbawić drugiego człowieka. Nie znalazłem tego sądu w „Próbach". Pewnie Pan Michał szepnął to Panu Piotrowi na ucho, w zaufaniu. ■

FOT. ARCHIWUM

eprasa.pl 4ddd52fe30

KURTYNA W GÓRĘ

GNIEW NA NIBY

Tak jak „Strach" w TR Warszawa był na niby, tak i „Gniew" jest na niby. W teatrze to w końcu norma. Młoda reżyserka Małgorzata Wdowik szuka sposobu na poddawanie analizie najważniejszych ludzkich emocji. W „Strachu" wykorzystała oryginalny tekst Roberta Bolesty i to uchroniło spektakl przed katastrofą. Tym razem działa bez podpórki literackiej i w rezultacie daje rodzaj „radosnej zabawy w gniew", bo działania prowadzone w grupie trzech aktorów i czterech chłopców raczej przypominają zabawę niż gniew prawdziwy.

Może to właśnie droga, aby poddać ten bardzo niebezpieczny stan emocjonalny zdystansowanemu oglądowi. Okazuje się, że złe emocje można „animować", ale też okiełznać. Zresztą przywoływane w działaniu na małej scenie Teatru Powszechnego (pracowicie wyczyszczonej z foteli teatralnych) akty destrukcji przywodzą na myśl modne w USA punkty, gdzie można się nakrzyczeć do woli, pozbywając się w ten sposób wezbranego gniewu.

Inną metodą jest przepowiadanie wierszyków, chyba najsłodszy moment w tym performansie, kiedy aktor i chłopiec wspólnie recytują fragment Tuwimowskiej „Lokomotywy". Powszechny, jak widać, lubi penetrować pogranicza sceny, trochę się oddalając od jądra teatru, ale przecież jego szefowie wiedzą, że tam właśnie, na pograniczu, można od czasu do czasu wypatrzyć coś bardzo odkrywczego.

Tomasz Miłkowski

„Gniew", reżyseria Małgorzata Wdowik, Teatr Powszechny w Warszawie, premiera 21 września 2018

NA POWAŻNIE

DES OPERA

Lista zaskoczeń na festiwalu Warszawska Jesień była długa. Choćby ceny biletów. Za operę Andrzeja Krzanowskiego, gdzie były balet, chór, zapachy i cukierki, płaciło się 50 zł, a za utwory Peszata i Mykietyna tylko z orkiestrą i muzyką z taśmy – już 80 zł. Może uznano, że ranga kompozycji Pawła Mykietyna jest większa, a może droższe od cukierków były izotermiczne koce ratunkowe rozdawane publiczności chcącej wysłuchać utworu „Herr Thaddäus". W istocie ten 40-minutowy kawałek to wyśpiewane i zagrane na jednym tylko dźwięku des niemieckie tłumaczenie Inwokacji do „Pana Tadeusza" Adama Mickiewicza. Po co koce ratunkowe, skoro tłumaczenie wierne oryginałowi? Weselszy był utwór Piotra Peszata o trudnej drodze artysty, gdzie aktor na ekranie płacze rzewnymi łzami, ale tekst libretta trochę sobie kpi z całej sytuacji.

Bronisław Tumiłowicz

Piotr Peszat, „The Artist's Way", Paweł Mykietyn, „Herr Thaddäus", Orkiestra Akademii Beethovenowskiej, dyrygent Wiktor Kociuban, koncert w ramach Warszawskiej Jesieni, 24 września 2018

ZASŁUCHAJ SIĘ

Piotr Schmidt Quartet
SAXESFUL

SJRecords

Dla przypomnienia: Piotr Schmidt jest trębaczem. Do saksofonu ma jednak duży sentyment – to na nim chciał grać, tyle że w szkole muzycznej wybierać mógł jedynie między trąbką a fagotem. Na 10-lecie działalności artystycznej sprawił sobie, ale przede wszystkim nam, słuchaczom, piękny prezent. Nagrał płytę z wybitnymi polskimi saksofonistami. Są na niej głównie standardy jazzowe, każdy w wykonaniu podstawowego kwartetu i jednego z gości, za to bardzo indywidualnie zinterpretowane. Jak mówi Schmidt, zrealizował swoje marzenie – a odbiorca za jego sprawą może się rozmarzyć, bo to muzyka aksamitna (choćby „You don't know what love is" z Janem „Ptaszynem" Wróblewskim), delikatna, z pełnymi uroku partiami fortepianowymi Wojciecha Niedzieli i bardzo dobrą sekcją rytmiczną. Paradoksalnie najbardziej energetycznym kawałkiem jest tu Gershwinowska kołysanka „Summertime" zagrana z Piotrem Baronem. A cudownie miękko kołysze „Blue Monk" z Adamem Wendtem.

Aleksandra Pańko

MIĘDZY OKŁADKAMI

Michał Römer
DZIENNIKI 1916-1919

Ośrodek KARTA, Warszawa 2018

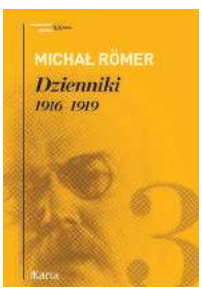

Dzienniki Michała Römera, a z litewska Mykolasa Römerisa, są świadectwem czasów, w których żył ten wybitny prawnik i działacz polityczny. Opasły tom trzeci obejmuje dzień po dniu okres kształtowania się niepodległości, z jej meandrami i zawiłościami. Na terenach dawnego Królestwa powstawały liczne stowarzyszenia, kluby i organizacje, które termin ten rozumiały w różny sposób. Większość widziała przyszłą Polskę pod kuratelą jednego z mocarstw zaborczych. Z trudem zdobywała sobie obywatelstwo koncepcja oparcia nowej państwowości na krajach ententy. Pojawiały się dopiero pierwsze apele do prezydenta Stanów Zjednoczonych Wilsona, a działania przebywających za granicą Paderewskiego i Sienkiewicza traktowano z rezerwą, nawet z ironią. Tym większy podziw należy się ojcom naszego nowego bytu państwowego, którzy scalali ziemie z trzech zaborów i starali się powiększyć terytorium II RP.

Bronisław Tumiłowicz

eprasa.pl 4ddd52fe30

NA EKRANACH

Aż siedem lat minęło od premiery ostatniego filmu Marka Koterskiego. Czy było na co czekać? Bez dwóch zdań. W „7 uczuciach" powraca kultowy bohater kina, Adaś Miauczyński – zmagający się z trudami codzienności neurotyczny inteligent. Tym razem jednak mężczyzna (gra go syn reżysera Michał, który Adasiem nasiąkał od dziecka i to widać) zamiast ratunku w butelce szuka pomocy w gabinecie psychoterapeuty, gdzie wraca do dzieciństwa. Na świat patrzymy z perspektywy dziecka, którego emocjonalność co rusz jest terroryzowana. Ojciec chce się pozbyć psa, mama odmawia zostania żoną, szkolne druhy biją, wyzywają, zdradzają. Jak to znieść, zwłaszcza że nikt z dorosłych o uczuciach rozmawiać nie chce i stają się one tabu większym nawet niż seks? To jeden z najbardziej gorzkich filmów Koterskiego, który dzieciństwo odziera z magii i pokazuje jako czas permanentnego deptania wrażliwości, zostawiający nieprzepracowane traumy. Na szczęście twórcę charakteryzuje specyficzny humor, szczególnie w obszarze języka, więc przynajmniej seans traumatyczny nie jest.

Artur Zaborski

ZAJRZYJ TU

DAWNO, DAWNO TEMU…

Baśnie braci Grimm to niewyczerpane źródło inspiracji dla wielu artystów, a także wiedzy dla historyków i badaczy literatury. Powstawały na ich motywach filmy, animacje, adaptacje teatralne. Mądre, ale i mroczne baśnie wciąż pobudzają wyobraźnię dzieci i rysowników. W Teatrze Lalka rozpoczęła się wystawa ilustracji baśni braci Grimm, stworzonych przez 20 estońskich artystów z różnych pokoleń.

WARSZAWA, TEATR LALKA, DO 10 LISTOPADA

FESTIWAL

34. WARSZAWSKI FESTIWAL FILMOWY

Konkurs filmów dokumentalnych na Warszawskim Festiwalu Filmowym to już bardzo mocna marka, a wybrane tytuły poruszają najbardziej aktualne lub niebanalne tematy. W tegorocznej sekcji konkursowej znalazły się m.in.: „Z biegiem Okawango" – zapis czteromiesięcznej wyprawy, która ma na celu ratowanie systemu rzecznego zasilającego deltę, „Kapela" – kronika narodzin romskiego zespołu z biednych osad wschodniej Słowacji, a także „Festiwal tańca" – o jednej z największych imprez poświęconych tańcowi ludowemu. „Agawa – duch narodu" to z kolei podróż do krainy tequili i meskalu. Cezary Grzesiuk w filmie „Niebieskie Chachary" zastanawia się, dlaczego człowiek zostaje kibicem, a powstający przez dwa lata dokument „Nie marnuj jedzenia" pokazuje walkę Ronni Kahn o ratowanie marnowanej żywności. Szczegółowy program: **wff.pl.**

WARSZAWA, KINOTEKA, MULTIKINO ZŁOTE TARASY, 12-21 PAŹDZIERNIKA

BERGMAN 100

W 1957 r. Ingmar Bergman awansował do panteonu kina – wtedy to premierę miały takie arcydzieła jak „Siódma pieczęć" i „Tam, gdzie rosną poziomki". Te tytuły będzie można oczywiście obejrzeć podczas przeglądu poświęconego reżyserowi. Podobnie jak pokazywany premierowo w Cannes film Jane Magnusson „Bergman – rok z życia" prezentujący sylwetkę reżysera bez upiększeń i patosu. W stulecie jego urodzin kino Muranów zaprasza na przegląd filmów oraz pokazy dokumentów poświęconych jego twórczości. W programie m.in. „Persona", „Wakacje z Moniką", „Jesienna sonata", „Fanny i Aleksander". Szczegóły: **kinomuranow.pl.**

WARSZAWA, 11-17 PAŹDZIERNIKA

Kolumny przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. NATALIA KABANOW, KINO ŚWIAT, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4ddd52fe30

Wojciech Ganczarek
Korespondencja z Paragwaju

KOMU SIĘ ODBIJA PO SOJOWYM LATTE

W Paragwaju przez soję zdychają zwierzęta, starsi kaszlą, młodsi chorują na raka, a dzieci rodzą się z deformacjami

W tym roku po raz pierwszy w historii Paragwaj wyprzedza wielkiego sąsiada z południa. Susza niszczy uprawy w Argentynie i niewielki śródlądowy kraj staje się trzecim największym – po USA i Brazylii – eksporterem soi na świecie. Tymczasem na każde 200 ton zbiorów importuje się tonę środków ochrony roślin. Mówimy o ok. 50 tys. ton chemii, która nie rozpływa się w powietrzu. Zostawia ślad, po cichu. Podczas gdy czołówki gazet triumfalnie donoszą o rekordowej produkcji, tych, którzy alarmują o szerzącej się fali białaczki, w najlepszym razie nikt nie słucha. W gorszym – zamyka się im usta.

KURY I POMARAŃCZE

– Miałam 60 kur, zdechło 40 – Florinda, starsza kobieta z Comuneros, krzyczy roztrzęsiona, ale nie pozwala sobie na płacz. – 40 kur i dwa prosiaki. Jedyne.

Monotonny pejzaż południowo-wschodniej części Paragwaju to powtarzające się bez końca pagórki: podjazd, zjazd, podjazd i tak w kółko. Po horyzont ciągną się z żelazną regularnością rzędy identycznych zielonych łodyżek. Nie ma tu miejsca na pomyłki. – Maszyny są sterowane zdalnie systemem GPS z dokładnością do 3 cm – opowiada Miguel, dyrektor działu części zamiennych w jednym z salonów sprzedaży sprzętu rolniczego. – Operator musi tylko dojechać z garażu na pole.

Trudno tu o drzewo. Czasem przejeżdża się długie kilometry i nie widzi ani jednego. Nie tego spodziewa się człowiek w sercu Ameryki Południowej, w samym środku kontynentu. Miała być Amazonia, są pola. Morze zieleni, morze soi.

– Tak mówią, ale to raczej pustynia, nie morze, bo chociaż zielone, nie ma w nim życia: robaczków, traw, zwierząt, nie ma nic. Wszystko wytrute – komentuje Elvio, sąsiad Florindy.

– Wylewają trucizny na pole, potem spadnie deszcz i to świństwo spływa mi na podwórko – wyjaśnia Florinda. – Kura się napije i zdycha.

Oddalone niewiele ponad 40 km od granicy z Brazylią Comuneros jest wyspą na tym morzu (oazą na pustyni?) – ludzka enklawa na bezludnej plantacji soi. 200 domów ustawiono w kwadrat na niewielkim obniżeniu terenu. Dwuhektarowe poletka rodzin rozchodzą się od środka na zewnątrz, aż do drutu kolczastego.

Elvio nie hoduje kur, ale ma problem z marchewkami. Kiedyś rosły jak szalone, ale odkąd sprowadził się na skrawek pola obsiany wcześniej soją, nie może się doczekać plonu. Zajęcy nie ma. Ryby pływają do góry brzuchami. – Jak to dlaczego? – powtarza pytanie. – Przecież te wszystkie insektycydy, pestycydy, fungicydy prędzej czy później spływają do rzeki.

– To samo z pomarańczami, nie rodzą – Florinda kręci głową zrezygnowana. – Drzewa dożywały kiedyś 40 lat. Teraz trzy, cztery lata i wszystko schnie.

Sama musi mieć koło sześćdziesiątki. Jej bujne, siwe włosy kłębią się nad żółtawą twarzą pooraną zmarszczkami. W przedpokoju niewielkiego domu Florinda prowadzi sklepik z tych, co to nie oferują wiele więcej niż ryż, makaron i yerba mate. Na polu uprawia kukurydzę – dla kur, maniok i fasolę – na obiad. W okolicach Wielkanocy jeździ do Buenos Aires sprzedawać na ulicy maniokowe bułeczki.

– Kto to widział? Taka starucha, w takim wieku, za granicę – wylicza i zostawia długie pauzy po każdej frazie. – A ci, co mają pieniądze w moim kraju, w moim – zaznacza, żeby nie było wątpliwości – to obcokrajowcy.

KTO JE SOJĘ

Kto? Niemcy, Japończycy, Ukraińcy, Polacy, ale przede wszystkim wielcy sąsiedzi z północy.

– Od czasu do czasu przyjdzie Paragwajczyk – przyznaje Miguel. – Ale to w drodze wyjątku. Na co dzień w pracy mówi się po portugalsku.

Migracje z Brazylii ruszyły w latach 70. Potomkowie włoskich i niemieckich rolników, którym nie wiodło się na kamienistych poletkach w górskiej części stanów Parana i Santa Catarina, masowo przekraczali granicę. Paragwajski dyktator Alfredo Stroessner chciał się pozbyć puszczy – mieli się w niej kryć partyzanci – i zarobić na podatkach ściąganych z pracowitej ludności napływowej.

– Soja to nie tylko choroby – kręci głową Rafael. Mówi z wyraźnym akcentem brazylijskim: urodził się w Paragwaju, ale w strefie imigranckiej, gdzie mało kto używa hiszpańskiego na co dzień. Słucha się za to brazylijskiego radia, ogląda brazylijską telewizję, je brazylijskie feijão. Jego rodzina dysponuje 1,5 tys. ha. – Soja to

eprasa.pl 4ddd52fe30

Paragwajską *tierra colorada*, czerwoną ziemię, uważa się za najżyźniejszą glebę na świecie. Po horyzont ciągną się rzędy identycznych zielonych łodyżek.

Dieta przeciętnej paragwajskiej rodziny z prowincji opiera się na zawartości ogródka.

przede wszystkim rozwój, bogactwo, komfort życia – dodaje.

Pomysł zadziałał – dziś wschodnie regiony należą do najzamożniejszych, wilgotny las atlantycki już nie istnieje, a mimo zamachu stanu z 1989 r. konserwatywna partia gen. Stroessnera, Partido Colorado, rządzi krajem od lat 50. do dziś, z czteroletnią przerwą między 2008 i 2012 r.

– Dzięki soi i technologii obniżamy ceny produktów. Teraz każdy: bogaty i biedny, może kupić mięso, mleko, karmę dla zwierząt. Pomagamy nakarmić świat – zapewnia Rafael.

W latach 90. amerykański koncern Monsanto wprowadził na rynek soję RR, transgeniczną odmianę odporną na Roundup, środek chwastobójczy na bazie glifosatu. To znacznie ułatwiło pracę. Roundup wybija na polu praktycznie wszystko, co nie jest transgeniczne. Obecnie prawie 100% soi w takich krajach jak Stany Zjednoczone czy Argentyna to rośliny modyfikowane genetycznie. W ostatnich 20 latach plony soi w Paragwaju wzrosły przeszło trzykrotnie. Jej uprawa zajmuje ok. 80% obsianych terenów w ogóle. 14% ziemi jest w rękach Brazylijczyków, w departamentach przygranicznych – nawet 60%.

Żywność każdy może kupić, jak mówi Rafael, ale już nie każdy może produkować. Nie każdy ma gdzie. Według danych Banku Światowego własność ziem w Paragwaju jest najbardziej skoncentrowana i nierówna na świecie – 85% pól i pastwisk należy do 2,5% właścicieli. Taka nierówność, połączona z historyczną niechęcią do Brazylii i Brazylijczyków, rodzi otwarty konflikt.

– Nie mogę powiedzieć, czy to ogólna niechęć – nauczyciel z państwowej szkoły rolniczej broni się przed generalizowaniem – ale jeśli spytasz konkretnie o mnie, to owszem, nienawidzę. I ta ich soja, kto jej potrzebuje? Kto ją je?

Zapewnia, że on nie. Że nikt nie je, wszystko idzie na eksport. I może mieć rację, bo rzeczywiście dieta przeciętnej paragwajskiej rodziny z prowincji opiera się na zawartości ogródka. A my? Herbatniki? Lecytyna sojowa. Czekolada? To samo. Majonez? Olej roślinny – bardzo często sojowy. Szynka? Proteina sojowa, równie kaloryczna, ale tańsza od mięsa. Zwierzęta na to mięso – kurczaki, świnie czy woły – są tuczone karmą na bazie soi. A popołudniami w kawiarniach, wiadomo: sojowe latte.

Nim się obejrzeliśmy, świat stał się sojowy. Ale to wcale nie oznacza, że zdrowszy, korzystniejszy, a przynajmniej nie dla wszystkich.

Paragwaj nie narzuca podatku od eksportu surowca. Do tego śladowy podatek katastralny i zniżki na VAT sprawiają, że rolnictwo – czyli soja i wołowina z latyfundiów o powierzchniach sięgających 100 tys. ha – które generuje 25,3% paragwajskiego PKB, uiszcza jedynie 6% ogółu podatków ściąganych w kraju. Nawet instytucja tak wolnorynkowa jak Międzynarodowy Fundusz Walutowy zaleca w raporcie wyższe opodatkowanie paragwajskiego sektora agro. Na razie biedni płacą za bogatych. Dopłacają do sojowego latte – gotówką i zdrowiem.

BÓLE I ZATRUCIA

W sierpniu br. sąd z San Francisco orzekł, że Monsanto ma wypłacić Dewayne'owi Johnsonowi 289 mln dol. odszkodowania. To pierwszy taki wyrok w historii firmy. 46-letni Johnson pracował przez lata jako ogrodnik szkolny i co najmniej dwa razy w miesiącu stosował Roundup. Mężczyzna zachorował na chłoniaka nieziarniczego, złośliwy nowotwór krwi. Według lekarzy Johnsonowi pozostaje najwyżej kilka miesięcy życia.

Florinda pyta, czy odwiedziłem już sąsiadkę. Nie? No to idziemy! Przechyla się na bujanym fotelu do przodu, wybija na równe nogi, chwyta mnie za rękę i ciągnie na drogę.

Klapki grzęzną nam w pomarańczowym błocie. Paragwajską *tierra colorada*, czerwoną ziemię, uważa się za najżyźniejszą glebę na świecie. Poranek jest cichy, we wsi nie widać żywej duszy.

– Wczoraj padało, wszyscy poszli sadzić maniok – wyjaśnia Florinda.

Łydki sąsiadki oblepiają ciemnawe liszaje. Jakoś specjalnie nie swędzi, opowiada kobieta, ale dziwne to, nie wiadomo, skąd się wzięło.

– Najpierw czuć ostry zapach, krótko potem zaczyna boleć głowa. Może nie jakoś bardzo, ale czuć takie drapanie w gardle – Elvio dotyka szyi opuszkami palców. Dzieciakom dostaje się najbardziej: wymiotują, dostają biegunki.

– A syna młodej widział?

Młoda, czyli sąsiadka z kolejnej parceli, krząta się przy glinianym palenisku. Lewa dłoń kilkuletniego chłopca jest wyraźnie mniejsza niż prawa. Powykręcane palce plączą się między sobą. Podobnie jak inne dzieci po opryskach chłopiec miewa rozwolnienia.

eprasa.pl 4ddd52fe30

Miejscowa przychodnia to dwa niewielkie pokoje, w których z trudem mieszczą się lekarz i dwie pielęgniarki. W korytarzu piętrzą się zawilgotniałe teczki z dokumentacją medyczną, panuje półmrok. Komuś udało się zdobyć niebieskie kafelki na posadzkę.

– W okolicy rozbierano basen – wyjaśnia Fabio, 30-letni medyk świeżo po studiach. – Na dach z blachy falistej złożyli się sąsiedzi – dodaje.

– Przede wszystkim ściągamy ubranie i aplikujemy solidny prysznic, żeby ograniczyć kontakt chemikaliów ze skórą dziecka. W przypadku rozwolnienia – tabletki na zatrucie, przy swędzeniu w okolicy oczu – przemywanie solą fizjologiczną, do tego krople. Leczenie objawowe. Nic więcej nie możemy zrobić – Fabio przyznaje z bólem. I dorzuca, że trudno byłoby mu udowodnić naukowo, że przyczyną dolegliwości są lub nie są opryski na okolicznych polach. – Do tego potrzeba analizy toksykologicznej, ale – rozgląda się po ciasnym pokoiku – takimi możliwościami nie dysponujemy.

Na ścianach gabinetu wisi kilka plansz z instrukcjami mycia rąk i higieny osobistej, metalowy regał oferuje aspirynę i bandaże na przerdzewiałych półkach, lamperię zżera wilgoć.

– Jedyne, co mogę ci powiedzieć na pewno, to to, że w dniach oprysków notujemy znacznie więcej przypadków bólu głowy, zatruć, biegunki i nagłych problemów skórnych.

NIEWYGODNY TEMAT

– Według mnie to bzdury – kpi Rafael. – Jeśli opryski są takie szkodliwe, to dlaczego ja w ogóle jeszcze żyję? Mieszkam w samym środku pola soi i masz mnie tutaj: zdrowego i przy kości.

– Nawet nie tyle, że się neguje – tłumaczy Miguel – o tym po prostu się nie mówi.

Mężczyzna chce zachować anonimowość, w tekście zmieniam mu imię. Zapewnia, że mógłby mieć kłopoty zarówno na polu zawodowym, jak i w kontaktach towarzyskich.

Prasa paragwajska również milczy. W 2015 r. Mariana Ladaga przygotowała obszerny reportaż dotyczący negatywnych skutków stosowania chemii rolniczej. Swoją pracę opublikowała na specjalnej stronie Agroquímicospy.com, a projekt powstał dzięki prestiżowemu grantowi od Międzynarodowego Centrum Dziennikarzy (ICFJ). Po tym sukcesie Ladagę zatrudnił „ABC Color", największy dziennik w kraju. Reporterka przeniosła się z prowincjonalnego Ciudad del Este do stolicy. Więcej o agrochemii nie napisała. Jej wcześniejszych tekstów na ten temat nikt w kraju nie wydrukował. Właściciel „ABC Color" również eksportuje soję.

„Możemy potwierdzić, że 90% przypadków białaczki i chłoniaka dotyczy regionów uprawy soi", stwierdza raport dr. José Isfrana ze Szpitala Klinicznego w Asunción. Lekarz przejrzał dokumentację medyczną i stwierdził, że jeśli 20 lat temu – czyli tuż przed bumem na glifosat – na 100 łóżek szpitalnych pacjenci z nowotworem krwi zajmowali dwa albo trzy, dziś ta liczba wzrosła do 30, a nawet 40. Dziesięć lat temu białaczka z chłoniakiem zajmowały 17. miejsce na liście najczęstszych schorzeń rakowych. Obecnie należą do pierwszej trójki.

W Paragwaju bardzo niewiele mówiło się o tych doniesieniach. Większy rozgłos uzyskali dziekan i studenci biotechnologii, którzy domagali się kary dyscyplinarnej dla Isfrana „za sprzeciwianie się rozwojowi kraju". Wprawdzie może się wydać śmieszne, że badania dotyczące szkodliwości agrochemii w Paragwaju ograniczają się do liczenia łóżek w szpitalu, ale na więcej brakuje środków. Ministerstwo Zdrowia nawet nie monitoruje rosnącej fali nowotworów, jednocześnie zaś przeznacza milionowe dotacje na program walki z ebolą, chorobą, której w Paragwaju nigdy nie zaobserwowano.

– Nie powiedziałabym, że istnieje presja, by nie badać – mówi Stela Benítez-Leite, która owszem, sprawdza wpływ upraw soi na zdrowie ludzkie – ale nie istnieje również motywacja, by tym się zajmować. W oficjalnych planach instytucjonalnych temat agrochemii nie istnieje.

Ekipa Steli badała dzieciaki ze szkoły w bezpośrednim sąsiedztwie fabryki pestycydów w Ñemby. Odnotowano podwyższone poziomy komórek martwych i o uszkodzonej informacji genetycznej. Wyniki laboratoryjne szły w parze z obserwacjami uczniów i rodziców. W porównaniu ze szkołą usytuowaną w innej dzielnicy miasta dzieci uczące się przy fabryce cztery razy częściej skarżyły się na problemy z oczami, trzy razy częściej na bóle głowy i dwa razy częściej miewały problemy skórne.

W szpitalu w Encarnación, stolicy sojowego departamentu Itapúa, Stela Benítez-Leite analizowała wady rozwojowe u noworodków. Okazało się, że dzieci kobiet mieszkających blisko spryskiwanych pól są dwa razy bardziej narażone na deformacje, wodogłowie czy problemy układu

Wyślij SMS o treści BASIA pod numer 74567 i pobierz tapetę (koszt 4,92 zł z VAT)

XXI wiek, latamy w kosmos, znamy strukturę DNA, dzwonimy do znajomych na drugiej półkuli, surfujemy po necie, mamy wiedzę na wyciągnięcie ręki, a nadal nie radzimy sobie z tym, co najbliżej. Z cierpieniem. Polska - kraj ułanów, kraj oprawców koni. Corocznie wysyłamy tysiące koni do rzeźni, bo gdzieś w innej części świata jest popyt na ich mięso. Więc godzinami jadą rzeźnickimi samochodami stare kasztanki, zużyte i chore gniadosze, jadą też młode konie. Jadą, bo na ich śmierci da się zarobić.

Oto Basia. Ma 13 lat. Basia wiodła życie wiejskiego konia. Może nie miała luksusów, ale zwykłe, wiejskie Baśki o luksusach mało wiedzą, więc raczej ich nie oczekują. Ot, starcza im dach nad głową, miska owsa, garstka siana. Basia to wszystko miała, a na swój owies ciężko pracowała. Ciągnęła wóz, obrabiała ziemię razem ze swoim gospodarzem. Rodziła źrebaki. Niestety w wyniku ostatniej ciąży dostała przepukliny. Mimo choroby odchowała swoje dziecko, ale dziś jest już zbędna i otrzymała wyrok śmierci. Przyjechał weterynarz – taki zwykły, jak to do wiejskich Basiek zazwyczaj przyjeżdżają, obejrzał, podrapał się z głowę i skierował Basię na ubój.

Dziś dla Basi jesteśmy jedynym ratunkiem. Klacz ma dużą przepuklinę. Nie może już rodzić, nie może pracować, a wymaga kosztownej diagnostyki, pobytu w klinice, operacji. Prosimy, pomóż ją uratować, wesprzyj powrót do zdrowia. Basia pracowała całe swoje życie, ale dla koni nie ma ani renty, ani emerytury. Dla chorych Basiek jest tylko ubojnia.
Życie Basi zostało wycenione na 3500 zł.
Transport do kliniki to kolejne 1500 zł. Szacowany koszt diagnostyki, operacji i opieki pooperacyjnej może sięgnąć nawet 10 tys. zł.
Dziś dla Basi liczy się każda złotówka.
Czas jest do 14 października.

Możesz pomóc dokonując darowizny z tytułem BASIA na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

FUNDACJA CENTAURUS
ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488
www.centaurus.org.pl
Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze Regulamin: http://centaurus.org.pl/rkkm

eprasa.pl 4ddd52fe30

nerwowego. Notuje się przy tym wysoki wskaźnik poronień.

Po tych badaniach CAPECO, Paragwajska Izba Eksporterów i Sprzedawców Zbóż i Roślin Oleistych, zażądała od władz uniwersyteckich raportu na temat prowadzonych prac.

– Wydaje mi się – Rafael zaczyna łagodnie – że te ich wszystkie bóle to raczej wina głodu, niedożywienia, tego typu rzeczy – nie bardzo wie, jak zakończyć, zastanawia się przez chwilę i dodaje: – i higiena, właśnie, brak higieny.

Fabio: – W dniach oprysków notujemy znacznie więcej przypadków bólu głowy, zatruć, biegunki i nagłych problemów skórnych.

Florinda: – Wylewają trucizny na pole, potem spadnie deszcz i to świństwo spływa mi na podwórko.

Może mieć rację. Rzeczywiście osiedla sąsiadujące z megauprawami soi to zazwyczaj ubogie wioski bezrolnych chłopów. Dla słabego, źle odżywionego organizmu wręcz śmiertelne mogą się okazać choroby, których dobrze odżywiony człowiek nawet nie zauważy.

Moara Benetti twierdzi jednak, że negatywne skutki agrochemii dotykają nie tylko najuboższych. Pastorka Kościoła luterańskiego żyje blisko z wiernymi. Odwiedza rodziny, z których większość to niemieckojęzyczni Brazylijczycy, producenci soi.

– W co trzecim domu ktoś boryka się z nowotworem – mówi ze smutkiem. – I to dotyczy osób coraz młodszych. Dzisiaj mamy 30-latków chorych na raka.

PIENIĄDZE

„W miniony wtorek nad ranem osiem radiowozów i 40 funkcjonariuszy policji otoczyło domy rolników z Kaguare'i, oddali strzały ostrzegawcze, sforsowali drzwi i wrzucili do środka puszki z gazem łzawiącym. Aresztowano pięć osób", podaje E'a Digital. To niezależny portal prowadzony przez Związek Zawodowy Dziennikarzy w Paragwaju, jedno z niewielu mediów, które zajmują się problemami wsi.

Wracających z demonstracji przeciw opryskom łatwo rozpoznać – na plecach mają czerwone ślady po gumowych kulach i pręgi po uderzeniach pałami. Ale w Kaguare'i ofiarą stał się szef lokalnej policji. „Było stosunkowo oczywiste, że pole Eschera nie spełnia wymagań ustawy o ochronie środowiska", powiedział dziennikarzom Juan Almada. Chodziło o to, że właściciel pola Claus Escher poprosił Almadę o interwencję. Ten odpowiedział, że najpierw konieczna jest inspekcja. Paragwajskie prawo zabrania prowadzenia oprysków w odległości mniejszej niż 100 m od osad ludzkich i narzuca obowiązek utrzymywania bariery drzew między uprawą a domami.

Nieco ponad tydzień później Almada stracił stanowisko, a nowy szef policji w Villarrica nie sprawiał problemów i przegonił protestujących chłopów z Kaguare'i. Escher jest przewodniczącym Stowarzyszenia Producentów Soi w Paragwaju, jednej z głównych sił ekonomicznych w kraju.

Opisana sytuacja nie była jedynym takim przypadkiem. W ciągu dwóch lat zarejestrowano prawie 20 podobnych konfliktów. Oprotestowywani producenci soi noszą nazwiska Escher, Hutz lub Webber, a protestujący to zazwyczaj Jiménez, Brítez czy Ortega.

W Paragwaju w dalszym ciągu mieć pieniądze oznacza móc zrobić cokolwiek i bez żadnych konsekwencji. Sierpniowy wyrok na Monsanto daje nadzieję, że tendencja światowa jest nieco inna. Biotechnologiczny gigant zapowiada apelację i chwali się setkami artykułów naukowych, które wykluczają szkodliwe skutki herbicydów na bazie glifosatu. Ale w materiale dowodowym sprawy znalazła się wewnętrzna korespondencja firmy wskazująca, że w Monsanto od dawna wiedziano o zagrożeniach, a badania „naukowe" mogły być z góry opłacone. Właśnie dlatego sąd w San Francisco zdecydował się przyznać wielomilionowe odszkodowanie ogrodnikowi – klientowi nic o zagrożeniach nie powiedziano.

Niewiele wcześniej doszło do przejęcia Monsanto przez niemiecki koncern Bayer. To bardzo ciekawy związek. Swego czasu Monsanto zarobiło krocie na produkcji tzw. *agent orange*, substancji odpowiedzialnej za śmierć i choroby milionów cywilów podczas wojny w Wietnamie. Jednym z głównych jego składników jest 2,4-D, herbicyd stosowany na paragwajskich polach. Natomiast Bayer w czasie II wojny światowej dostarczał niemieckiej armii cyklonu B, używanego w komorach gazowych obozów koncentracyjnych. Notabene przed wojną substancja pełniła funkcję… pestycydu przy produkcji rolnej.

REKORDY

W ostatnich latach w Paragwaju wszystkie wskaźniki rosną. Eksport soi skoczył aż o 18%, a wskaźnik ubóstwa podniósł się z 26% do 28%. Podobnie ma się sprawa z indeksem nierówności Giniego i liczbą głodujących. Stowarzyszenie Producentów Soi chwali się, że siedmiomilionowy Paragwaj produkuje żywność dla 80 mln ludzi na świecie, tymczasem prawie milion Paragwajczyków nie je tyle, ile powinno się jeść. Poświęcają się dla dobra ludzkości? Nie do końca.

Już od dziesięcioleci produkujemy dość jedzenia, by wykarmić całą planetę. Problemem jest dystrybucja. Istnieje, owszem, miliard głodujących, ale z drugiej strony mamy miliard przejedzonych. W Ameryce Południowej soja jest symbolem tych nierówności. Gdy opowiadam Florindzie, że w Polsce soja to symbol zdrowia, mody i postępu, wzdycha, macha ręką i wraca do obierania manioku.

Wojciech Ganczarek

FOT. WOJCIECH GANCZAREK

eprasa.pl 4ddd52fe30

Iza Komendołowicz

MATKI PRZEDWCZESNE, MATKI PÓŹNE

Wiek biologiczny zajścia w ciążę nie jest ograniczony konkretnymi widełkami, bo natura robi dziwne rzeczy

Okazywało się, że bolący brzuch to pełne rozwarcie i dziewczynka właśnie rodzi.

MŁODOCIANE MATKI

Najmłodszą matką w Polsce jest prawdopodobnie 12-letnia dziewczynka, która we wrześniu 2016 r. urodziła dziecko w szpitalu w Kielcach. W 2013 r. 13-latka spod Chodzieży (Wielkopolska) urodziła zdrowe dziecko. 16-letnia Dżesika spod Włocławka jest najprawdopodobniej najmłodszą beneficjentką programu 500+. Ma dwoje dzieci, pierwsze urodziła jako 13-latka.

•

Z ŻYCIA WZIĘTE

Trzecia klasa liceum, luty. Piąty miesiąc, rośnie mi już brzuch. Nie było wyjścia. Trzeba było się przyznać. Powiedzieliśmy rodzicom, moim i jego. Przyszły tatuś był synem naszych sąsiadów, rok starszy ode mnie. Rodzice nie byli nawet źli, wspólnie uradzili, że pochodzę do szkoły tak długo, jak się da, urodzę, a po wakacjach pójdę do liceum wieczorowego. Mój tata był jedynym ginekologiem w okolicy, domyślałam się, że przerywa ciąże. A ja marzyłam, żeby pójść na medycynę. Oczywiście o antykoncepcji nie wiedziałam nic. Odkąd rodzice wzięli sprawy we własne ręce, wszystko zaczęło się układać. Urodziłam Maciusia, zrobiłam maturę, wzięliśmy ślub. Wyjechałam na studia, a Maciusia wychowywali moi rodzice i teściowie. Nie wróciłam już do rodzinnego miasteczka, urodziłam dwójkę dzieci (już z drugim mężem, bo małżeństwo z ojcem Maćka szybko się rozpadło), a Maciek został u rodziców, tam poszedł do szkoły, miał kolegów. Tak już zostało. Widujemy się w święta, czasem w weekendy. Traktuje mnie jak siostrę, dla niego rodzicami byli i są dziadkowie.

Małgorzata, lat 49, Lublin

•

– Bywały takie dziewczynki, które przychodziły z mamusiami na izbę przyjęć, bo bolał je brzuch, po czym okazywało się, że ten bolący brzuch to jest pełne rozwarcie i dziewczynka właśnie rodzi, a jej matka nic nie zauważyła.

Po tej dziewczynce nie było nic widać?

– Dziewczynka nosiła luźne bluzy, mocno ściśnięty pasek, dziecko dwa i pół kilo. Nawet specjalnie nie było to widoczne. Ale będąc jej matką, to, szczerze mówiąc, chyba bym zauważyła.

Takie przypadki się zdarzają.

Dr Marzena Dębska

•

Najmłodsza matka, która rodziła w pani szpitalu, w Sosnowcu?

– 12-latka.

To ciąża z gwałtu?

– Z ojczymem.

Nie było szansy na aborcję?

– Nie, bo matka zorientowała się za późno, gdy ciąża dziewczynki była już zbyt wysoka. Zgłosiłam to do prokuratury i odbyła się sprawa sądowa. On siedział, był rozwód. Matka strasznie to przeżyła, nawet chciała, żeby wpisać, że to jej dziecko. Ale to już się załatwia z prawnikami, a nie z lekarzem. A ta 12-letnia dziewczynka była bardzo fajna, jej matka się nią zajęła, nie było awantur.

Anna Podstawska-Dziewit, emerytowana ginekolog położnik

•

– Ze Szpitala Bielańskiego pamiętam 16-letnią dziewczynę, która zaszła w ciążę z 17-letnim chłopakiem. Jej rodzice chcieli, żeby tę ciążę przerwać. Wtedy powiedziałem, że dziewczyna ma grupę RH–, więc w pierwszej ciąży jest gwarantowane, że nie wystąpi konflikt serologiczny u dziecka. Wszystkie następne mogą być ryzykowne. „Państwo musicie to rozważyć". No i ona urodziła. Poród zaczął się przed terminem, młodzi nie wzięli jeszcze ślubu. Za-

FOT. ARKADIUSZ ZIÓŁEK/EAST NEWS

eprasa.pl 4ddd52fe30

pytali mnie, czy ojciec dziecka, nieletni, mógłby być przy porodzie. Myślę sobie: „Dlaczego nie", ale lepiej by było, gdyby jej matka była z tym chłopakiem. I tak się stało, urodziło się zdrowe dziecko.

Prof. Longin Marianowski

•

– Miałem taką 12-latkę tutaj w szpitalu w M. Nie miała pojęcia, że zaczął się poród. Myślała, że brzuch ją boli.

Stanisław, ginekolog ze szpitala powiatowego

– Najmłodsza moja pacjentka miała 15 lat, gdy zaszła w ciążę, i 16, kiedy urodziła. Przychodziła do mnie ze swoją mamą. To była wpadka. W sumie szczęśliwe zakończenie: dziś babcia opiekuje się wnuczkiem, pomaga córce, obie ładnie przeżyły tę ciążę. Ale, wie pani, to smutne i poruszające: siedzi przede mną jeszcze przecież dziecko, które jest w ciąży. Ta dziewczynka, pamiętam, była wtedy w wieku mojego syna. Ale cóż, urodziła.

Renata, ginekolog z dużego miasta w centralnej Polsce

•

– Najgorsze było to, jak młodziutkie pacjentki, nastolatki, które rodziły w bólach swoje dzieci na porodówce, wołały na pomoc mamę. Nie partnera, ojca dziecka, nie lekarza. Do tej pory mam w uszach ten przejmujący krzyk: „Mamoo, mamoooo!".

Maria, emerytowana ginekolog z centralnej Polski

•

TEN PIERWSZY RAZ

Kiedy dziewczynka powinna po raz pierwszy przyjść na badanie ginekologiczne?

– Teoretycznie pierwsza wizyta powinna się odbyć mniej więcej w ciągu pierwszych dwóch lat od pierwszej miesiączki. Jeżeli miesiączka nie występuje albo są jakieś problemy, np. trądzik, owłosienie czy jakieś bóle, to pacjentki pojawiają się wcześniej. Często mam takie pacjentki po czterdziestce, które przyprowadzają swoje córki.

Badanie odbywa się w obecności mamy?

– Na początku tak, a potem mama wychodzi. To są fajne wizyty, bardzo je lubię. Jestem osobą dosyć bezpośrednią i umiem stworzyć dobrą atmosferę. Dziewczyny dobrze się czują, potem słyszę od matek, że są zadowolone.

Dla nich to ważny moment.

– Tak, dlatego trzeba się bardziej postarać. To jest bardzo szczególna wizyta, która często rzutuje na całe życie. Najważniejsze jest nawiązanie relacji, wzbudzenie zaufania. USG robi się przez brzuch, można wszystko zobaczyć. Jeśli nic się nie dzieje, to nie ma potrzeby, żeby pchać palce. Dziewczyna wyjdzie spokojna, przekona się, że nie jest to straszne. Wróci.

Dr Marzena Dębska

•

Szokujące są pewnie też te młodziutkie mamy?

– W zeszłym roku „rodziliśmy" dziecko Zośce, która miała 14 lat. Nie zapomnę też 15-letniej dziewczynki, która rodziła po raz drugi. Ona była nie do końca rozwinięta umysłowo, pierwsze dziecko urodziła w 13. roku życia. Nikt nie pomyślał o tym, że trzeba będzie ją zabezpieczyć, więc w 15. roku urodziła drugie. Najgłupsze w tym wszystkim jest to, że z punktu widzenia biologii rozrodu te dziewczyny są zupełnie dobre do zachodzenia w ciążę. Z punktu widzenia sytuacji społecznej to jest dramat. To są dzieci niesamodzielne życiowo, które z reguły mają potem problemy z kontynuacją nauki.

Prof. Romuald Dębski

STARE MATKI

Z ŻYCIA WZIĘTE

– Kiedy urodziłam Polę, miałam 40 lat. Moja starsza córka skończyła 25 lat. Była na mnie obrażona, mówiła, że zwariowałam. Fakt. Trochę zwariowałam. Z miłości do Szymona. On był 15 lat ode mnie młodszy i nie miał własnych dzieci. Marzył, żeby zostać ojcem. Wiedziałam, że jeśli nie będziemy mieli dziecka, to nasz związek prędzej czy później się rozpadnie. Ale zaszłam w ciążę niemal od razu, widocznie hormony we mnie buzowały. W ciąży czułam się świetnie, urodziłam przez cięcie. Ale potem nie było już tak różowo, nie miałam siły wstawać w nocy, nosić małej. Na szczęście Szymon okazał się fajnym tatą.

Dorota, lat 50, Warszawa

•

– Przyszła do mnie kiedyś pacjentka w wieku 44 lat i powiedziała, że musi zajść w ciążę, bo się rozwiodła. Kiedy była w szczęśliwym związku, nie miała ochoty zostać matką. Ustalili, że będą żyli tylko we dwoje, sami dla siebie. Ale nagle mąż porzucił ją dla młodszej i ta kobieta została sama jak palec, bo rodzice nie żyli, a rodzeństwo mieszkało na drugiej półkuli. Więc wymyśliła, że urodzi sobie dziecko. Zapytałem, czy ma z kim zajść w ciążę, uśmiechnęła się tajemniczo. Do mnie miała tylko jedną prośbę, abym „jej odpowiednio ustawił hormony, żeby ciąża przyszła szybko". Po badaniach okazało się, że właśnie wchodzi w wiek przekwitania. Nie wiem, jakie były jej dalsze losy, chyba na mnie się obraziła za diagnozę, bo już nigdy nie wróciła do gabinetu.

Paweł, ginekolog położnik z wojewódzkiego miasta na wschodzie Polski

•

Najstarszą znaną matką w Polsce jest aktorka Barbara Sienkiewicz, która w 2015 r. w wieku 60 lat urodziła bliźnięta. Jej późne macierzyństwo stało się tematem numer jeden w mediach, gdy aktorka zwróciła się do Olgierda Łukasiewicza, szefa ZASP, z prośbą o pomoc finansową.

•

NIE MÓWIĘ, ŻE JEST ZA PÓŹNO

Pan doktor ma wyjątkowo liberalne podejście do wieku kobiety, która chce zajść w ciążę. Wielu lekarzy uznaje, że np. czterdziestka i więcej to już zbyt późno, tymczasem pan…

– No tak, bo kwestia posiadania dzieci jest jedną z podstawowych spraw naszego bytu. Przekazanie genetycznej egzystencji to biologiczny imperatyw, tak działa biologia. Kiedy natrafiamy na kogoś, kto chce ten swój imperatyw zrealizować, musimy mu dać taką szansę. A decyzję o macierzyństwie kobiety podejmują w różnym wieku. W moim odczuciu to jest jedno z fundamentalnych praw. Wybieramy,

Nastolatki na porodówce wołały na pomoc mamę. Nie partnera, ojca dziecka, nie lekarza.

eprasa.pl 4ddd52fe30

kiedy, z kim i dlaczego chcemy mieć potomstwo.

Na zarzuty, że starsza matka nie wychowa dzieci do dorosłości, odpowiada pan, że młody wiek też tego nie gwarantuje. Zdarzają się śmiertelne choroby, wypadki…

– Ależ oczywiście, jest milion czynników, które dotyczą każdego, zarówno młodych, jak i starszych. Oczywiście teraz mamy znacznie większą szansę dożyć późnego wieku i statystyczna matka, która urodzi nawet bardzo późno, z ogromnym prawdopodobieństwem dochowa to dziecko przynajmniej do studiów. Przed nią jest życie rzędu osiemdziesięciu kilku, nawet 90 lat. Może się zdarzyć, że umrze następnego dnia, ale to ryzyko dotyczy wszystkich. I młodych, i starych. Tylko mało się mówi o tym, że to my, lekarze, wygenerowaliśmy ten schemat myślenia.

To znaczy?

– Kiedyś płodność była przesunięta na bardzo wczesny okres, bo wiadomym było, że biologicznie organizm nie będzie wydolny do rodzenia w wieku 30, 40 lat. Obecnie dzięki postępowi higieny, dostępowi do dobrej żywności, brakowi chorób infekcyjnych i epidemii organizm ma szansę przeżyć w dobrej kondycji znacznie dłużej. Dlaczego nie dać mu szansy na to, żeby replikował swoje geny?

Nie można komuś powiedzieć: dla pani jest już za późno. Z punktu widzenia biologii wszystko się przesunęło.

Przychodzą pacjentki, którym zdarzyło się usłyszeć od innych specjalistów, że już za późno na dziecko?

– Nie można komuś powiedzieć: dla pani jest już za późno. Może jest za późno na to, żeby chodzić na balet w wieku 50 lat, ale niewątpliwie, z punktu widzenia biologii wszystko się przesunęło. I w jakimś stopniu jest to sukces ludzkości, że potrafiliśmy tak zmienić świat i środowisko, byśmy mogli żyć długo i w miarę dobrej kondycji. Jestem przekonany, że za 100, 200 lat będziemy żyć 100 lat i znowu granica zachodzenia w ciążę się przesunie.

Proszę popatrzeć, że dzięki metodom naukowym potrafimy już zachować młode komórki i mieć z nich ciążę w wieku czterdziestu kilku, 50 lat. (…)

Jakie pacjentki trafiają do pana? Takie, które mają wszystko, także ciążę, zaplanowane od A do Z?

– Większość to kobiety, które przemyślały całą swoją sytuację życiową i dlatego decydują się na ciążę w tym, a nie w innym momencie. To absolutnie świadoma decyzja. Wpadek jest bardzo mało, one wynikają z nieświadomości bądź uwierzenia w babcine sposoby.

Czyli?

– Nadal jedną z przyczyn wpadek jest to, że część kobiet uważa laktację za ochronę przed ciążą, a to nieprawda. Bardzo często wpadki są związane z błędami antykoncepcji. (…) Nie zawsze są to ciąże oczeki-

eprasa.pl 4ddd52fe30

wane, choć czasami zamieniają się w ciąże chciane.

Wydaje mi się, że jest to jeden z argumentów za tym, żeby dostęp do aborcji był dostępem szerokim, dającym szanse na „uratowanie" sytuacji życiowej kobiety. Myślę o tym, że kobieta jako dorosła, samodzielna jednostka ma prawo do tej decyzji. Powinniśmy iść taką drogą, jak większość rozwiniętych krajów zachodnich: mamy edukację seksualną, dostęp do antykoncepcji i dostęp do aborcji, nawet na życzenie. W wielu krajach tak się dzieje i moim zdaniem tak powinno być w Polsce.

Jakie kobiety decydują się na ciążę w sposób bardzo przemyślany?

– To jest przedział 35, 40, 42 lata.

Pana najstarsza pacjentka?

– Taka, która samoistnie zaszła w ciążę, miała 52 lata.

utworzenia żłobków przy akademiach, uczelniach itp.

A dojrzałe panie bizneswomen, które mówią: „Muszę zajść w ciążę w listopadzie, bo w lutym kończy mi się kontrakt, proszę mi pomóc"?

– Niedawno była u mnie menedżer wysokiego szczebla, 41 lat. Od progu oznajmiła, że podejrzewa, że z powodu redukcji stanowiska mogą ją zwolnić z pracy za trzy miesiące. „Panie doktorze, a więc w związku z tą sytuacją mam dwa miesiące, by zajść w ciążę, bo mi to rozwiązuje problemy życiowe. Akurat mam faceta, który chce, abym z nim zaszła w ciążę, w drugą też!".

I to jest myślenie życzeniowe, które wynika z naszych socjalnych, społecznych warunków. Bo kwestia pracy jest uwarunkowaniem socjalnym i społecznym. Ludzie usiłują wywrzeć

lata temu pod moją opieką była pacjentka, która urodziła pierwsze dziecko w wieku 48 lat. Nawet chciała rodzić naturalnie, ale skończyło się cięciem cesarskim. Dzisiaj skierowałem do siódmego porodu 47-latkę. To nie jest jakaś sensacja.

Dr Wojciech Puzyna

•

Kobiety rodzą coraz później. Ile lat mają najstarsze?

– Najstarsza kobieta, która rodziła w naszym szpitalu, miała 59 lat i kilka miesięcy. Urodziła bliźniaki. Miałem okazję prowadzić końcówkę jej ciąży, dobrze znam kulisy. To oczywiście nie była naturalna ciąża.

A naturalne starsze matki?

– Najstarszą naturalnie rodzącą matką była pięćdziesięciolatka. W Lublinie wspominali mi kiedyś o naturalnym zajściu w ciążę kobiety, która

Przyszła pacjentka w wieku 44 lat i powiedziała, że musi zajść w ciążę, bo się rozwiodła.

Samoistnie?

– Czyli bez specjalnej medycznej interwencji. Wcale nie jest tak, że wiek biologiczny zajścia w ciążę jest ograniczony konkretnymi widełkami, bo matka natura robi różne dziwne rzeczy.

A jakie biologicznie miała na to szanse ta pacjentka?

– Tu możemy mówić o procencie, a może nawet mniej niż procencie szans na to, żeby w tym wieku naturalnie zajść w ciążę. Ale to możliwe. Mało tego, dziecko urodziło się zdrowe i absolutnie nic złego się nie działo.

Ta 52-latka bardzo chciała tej ciąży?

– Owszem, to była ciąża oczekiwana, upragniona, ale to jest inny aspekt tematu. Nam się młoda matka kojarzy z dwudziestokilkulatką, ale teraz już tak nie będzie, bo możliwości medyczne zmieniły nasze zachowania, a te dają nam wybór. Ten wybór jest świadomy, a przez to, że ludzie chcą żyć komfortowo i chcą stworzyć dla swoich dzieci świat wygodny i zasobny, te decyzje będą podejmowane późno. Musimy się z tym pogodzić. Jeżeli chcemy przenieść wiek rodzenia dzieci na wcześniejszy, to jedyną, w moim odczuciu, drogą jest stworzenie lepszych warunków i ogromnej pomocy dla kobiet. Mam na myśli możliwości studiowania równolegle z posiadaniem dzieci,

na nas presję nie dlatego, że dojrzeli do tej decyzji, ale dlatego, że taką mają potrzebę. Na szczęście wyniki badań tej kobiety wskazują na to, że ciąża jest możliwa. Czekamy. (…)

Dr Grzegorz Południewski

•

CORAZ STARSZE W LICZBACH

Polskie kobiety na pierwsze dziecko decydują się przeciętnie w wieku 27 lat – wynika z danych GUS. Jednocześnie wzrasta u nas liczba kobiet, które rodzą pierwsze lub kolejne dziecko po 40. roku życia. Zdarzają się matki 50-letnie, a nawet starsze.

W 1990 r. najwięcej kobiet rodziło dzieci w przedziale wiekowym od 20 do 24 lat (36,4%), w 2016 roku – od 25 do 29 lat (33,1%) oraz od 30 do 34 lat (33%).

Od 1990 r. odsetek kobiet rodzących dzieci w przedziale wiekowym od 20 do 24 lat zmniejszył się o ponad połowę (36,4% do 14,6%), prawie dwukrotnie wzrósł natomiast odsetek kobiet rodzących dzieci w przedziale wiekowym od 30 do 34 lat (z 17,4% do 33%).

•

– Pan prof. Roszkowski, szef kliniki na Karowej, wymyślał od starych pierwiastek kobietom, które pierwsze dziecko rodziły po 24. roku życia. Dzisiaj medycyna, oparta na faktach, uważa, że tą granicą jest 35 lat. Dwa

miała chyba 56 lat. Ktoś ją widział, nawet zrobił jej badanie USG, ale potem zniknęła. Więc podejrzewam, że ta ciąża nie była kontynuowana.

Obecnie po 45. roku życia najczęściej rodzą pacjentki z dawstwa oocytów. Jest ich dużo, choć mało ośrodków w Polsce wykonuje takie zabiegi. I znowu mówimy o placówkach w Brnie, Ostrawie. Mają bardzo wysoką skuteczność. W Polsce jest to nieuregulowane prawnie i w gruncie rzeczy dawstwo opiera się na tzw. nadliczbowych komórkach jajowych: pobranych było 10 komórek, z tego się zrobiło dwa transfery, jest dwójka dzieci, zostały cztery komórki jajowe, z którymi nie wiadomo, co zrobić, to można je oddać do adopcji innym. Ale to są komórki jajowe osoby, która sama miała problemy z zajściem w ciążę. W Czechach są stymulowane studentki medycyny, młode, zdrowe dziewczyny, niczym nieobciążone, za pieniądze. I mamy komórki jajowe świeżutkie, młodziutkie. Jeśli podadzą dwa, to przynajmniej jeden się przyjmuje.

Prof. Romuald Dębski

Fragmenty książki Izy Komendołowicz *Ginekolodzy. Tajemnice gabinetów*, Znak, Kraków 2018

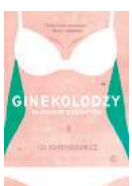

eprasa.pl 4ddd52fe30

SZAFRAN, CZAJ I BARANINA

Irańczycy zasiadają do stołu

Róża jest dla Irańczyków namiastką rajskiego ogrodu.

Aleksandra Chrobak

Baran skwierczący na grillu – tych perfum nie da się zapomnieć. Kto raz doświadczył aromaterapii *kebab-e kubide*, szaszłyku z mielonej baraniny z przyprawami, ten wie, że żyje. To klasyk irańskiego street foodu, tani, wszechobecny i smaczny, ulubiona strawa podróżnych. Można mieć pewność, że nawet w najbardziej zakurzonej wiosce znajdzie się otwarta jadłodajnia z kebabem. Nie ma również bazaru bez dobrego grilla i sprawnej obsługi, funkcjonującego jak stołówka dla kupców, którzy wpadają tam w przewie na lunch. Dla turysty liczącego każdego tumana kebab to nadzieja na przetrwanie. Po kilku tygodniach można go znienawidzić i przysiąc na wszystkie świętości, że już nigdy się go nie tknie, ale po jakimś czasie zaczyna się za nim tęsknić.

W wersji tańszej kebab podaje się z chlebem zwanym *nan*, płaskim plackiem wypiekanym na bieżąco. Kosztuje równowartość od 8 do 13 zł. Droższy dodatek to ryż. Ten zwykły, tańszy, pochodzi z Indii i nie cieszy się estymą Irańczyków. Jeśli jadłodajnia oferuje irański ryż, jest to wyszczególnione w karcie. Idzie za tym także wyższa cena – nawet do równowartości 25 zł.

Do kebaba jak kawę do wuzetki dodaje się grillowanego pomidora. Najczęściej ma całkowicie zwęgloną skórkę. Biada temu, kto odmówi jego spożycia w irańskim towarzystwie! Do tego powinny pojawić się cebula i cytryna. To prawda, że nie tylko kebabem Iran stoi, ale to danie pierwszego kontaktu w tym kraju.

Kebab sprzedawany na polskich ulicach ma proweniencję turecką. Opiera się na frezowaniu obracających się warstw mięsa. Irański kebab tak nie wygląda, chociaż można dostać w tym kraju też turecki kebab, *donner*. Irański jest w formie szaszłyka – składa się z nadziewanych na metalowy pręt kawałków baraniny i marynowanych cząstek kurczaka, *dżudże*. Jednak absolutnym szachem irańskiego street foodu jest kebab z mielonego mięsa, *kubide*. Codziennie tysiące rąk młodzieńców – czeladników o czarnych oczach i w przykrótkich spodniach – oblepiają szpikulce mięsem i obracają je na grillu. Nie ma bistra, które nie dawałoby dorastającym chłopcom i młodym mężczyznom okazji do zarobienia paru groszy. Uwijają się wokół grilla pod czujnym okiem brzuchatego szefa, trzymającego dłoń na sakiewce. Młodzi pomocnicy krążą między stolikami i donoszą napoje w puszkach, ciekawi każdego klienta, szczególnie z zagranicy, marząc o wyjeździe w dalekie kraje. (…)

Dla mnie jest to ogród ziemskich rozkoszy. Uwielbiam soczysty, miękki, aromatyczny i świeżo zdjęty z ognia kebab, w wersji na szybko z cienkim nanem albo na bogato z irańskim ryżem z szafranem i masłem. Dla mnie róża, szafran i baranina to smaki Iranu.

Kebab nie jest tylko strawą pielgrzymów i ubogich. Najlepsze szirazkie tradycyjne restauracje podają go w wersji *gourmet*, np. z pistacjami i orzechami włoskimi. Baranina jest też dostępna w wersji *hardcore* – tylko dla prawdziwych amatorów i turystów o mocnych nerwach. W niepozornych restauracjach, wciąż popularnych tak w miastach, jak i wioskach, pod

eprasa.pl 4ddd52fe30

słodkim szyldem z radosną owcą na zielonym pastwisku serwuje się *kalle pacze*. Jest to zupa z bonusem, a mianowicie głową, kopytami i często wnętrznościami barana. Nazwa oznacza dokładnie to: głowa i kopyto. To baranina dla zaawansowanych. (…)

Moją ulubioną potrawą jest jednak *qorme sabzi* – baranina w potrawce z ziół z suszoną cytryną i czerwoną fasolką. Irańska kuchnia nie jest pikantna, raczej aromatyczna i pełna ziół. Najlepiej przygotować to danie ze świeżej zieleniny, która jest zawsze częścią posiłku. Panie domu, a nawet nobliwe babcie rankiem ruszają do ulicznego sprzedawcy ziół i wracają z ich całym naręczem. (…)

Do potrawy będzie potrzebna jeszcze odrobina kurkumy i element kwaśny, czyli suszona cytryna. Można ją dostać na każdym stoisku z przyprawami, których mieszanki wyglądają jak dzieła sztuki nowoczesnej lub przekrój starego pnia sekwoi (…). Niektórzy sprzedawcy na miejscu proszkują korzenie i kolorowe bloki, można ich poobserwować na zapleczach ciasnych sklepików, spowitych wielobarwnymi chmurami ucieranych przypraw. Jest tam też *kaszk* – cierpkie kuleczki suszonego jogurtu, kosze suszonych kwiatów i główek róż do herbacianych naparów oraz popularna suszona żurawina, *zereszk*, doskonała do ryżu podawanego z pieczonym kurczakiem, *zereszk polou*. Cytryny są w dwóch wersjach, albo suszone – całe, tańsze – albo tylko ich środki, kwaśne serca ususzone na niemal czarny kolor. Kilka kawałków wrzuconych do duszonej w ziołach baraniny magicznie nadaje jej głębię smaku.

Irańczycy uwielbiają też pikle, *torszi*. Sprzedaje się je w specjalnych sklepach. Wielkie słoje marynowanych ogórków, marchewek i szalotek występują z brzegów handlowych pomieszczeń na ulice. (…) Ogórki w słonej zalewie bardzo przypominają nasze polskie kiszone, są jednak mniejsze i można je schrupać na jeden raz. Popularne są też bardzo kwaśne i pikantne pasty serwowane jako dodatek do mięsa. Innym typowym dodatkiem obecnym przy większych gościnach, jest biały, słony, łagodny w smaku ser, podawany z orzechami włoskimi jak przy degustacji win.

Idealnym uzupełnieniem irańskich dań jest kwaśny napój z jogurtu, *duq*.

Domowe spotkania przy gotowaniu.

Najlepszy jest świeży, z dodatkiem mięty albo mieszanki ośmiu ziół. Nie da się dostać dobrego duqu poza Iranem – sprawdziłam. (…)

Nie ma irańskiego obiadu bez ryżu. Ten lokalny, uprawiany na zielonej północy w prowincjach Gilan i Mazandaran, jest przepyszny. Można go jeść solo z dodatkiem masła. Miałam szczęście poznać producenta tego białego złota. Omid, czyli „nadzieja" w rodzaju męskim, jest ryżowym ultrakonserwatystą. Nigdy nie jada ryżu poza domem, gdyż uważa, że restauratorzy kłamią i z żądzy zysku serwują pośledni indyjski sort jako ziarno *made in Iran.* Powszechna jest opinia, że ów tani zamiennik wzdyma brzuch, w odróżnieniu od irańskiego ryżu, węglowodanu najwyższej klasy. Czasami w cenniku oba gatunki są wyszczególnione osobno. Ryżowy nacjonalizm kwitnie. (…)

Nie ma ryżu w pyszniejszej postaci niż *tahdig* – gwóźdź programu każdej irańskiej biesiady i obiekt rywalizacji członków rodziny. To chrupiąca ryżowa skorupka, uformowana na dnie garnka w procesie powolnego pieczenia. Kiedy gospodyni stawia garnek dnem do góry na okrągłej tacy, oczom wszystkim ukazuje się *tahdig*, który albo od razu podziwiają, albo kręcą nosem, że niedobrze wyszedł, a gospodyni bije się w piersi. Ryż dzieli się między gości i domowników, tak aby każdy otrzymał swój przydział tego przysmaku. (…)

Kolejnym podstawowym atrybutem perskiej kuchni jest szafran. Nie ma wielu, którzy nie słyszeli, że jest to najdroższa przyprawa świata, której cena jest wyższa od złota. Szafran to suszone słupki fioletowego krokusa. Kwiaty zbiera się ręcznie wczesną jesienią z fioletowych dywanów szafranowych pól Maszhadu i Jazdu. Następnie wybiera się z nich drogocenne słupki i suszy je. Czasami na lokalnych bazarach sprzedaje się całe kwiaty wprost z brudnych szarych plandek, wyglądających jak z innej bajki na tle betonu i dyndających na hakach baranich półtusz.

Na jeden gram tej przyprawy, który w Iranie kosztuje równowartość ok. 8 zł, potrzeba 200 kwiatów. Jeden gram to w praktyce sporo, gdyż już odrobina szafranu wystarczy, by uszlachetnić potrawę. To przyprawa wielofunkcyjna, doskonały balans smaku między kwiatem a korzeniem. Nigdy nie wsypuje się jej wprost do potraw, bez zaparzenia. Oprócz dywanów szafran to najbardziej znany i szlachetny towar eksportowy Iranu, powszechny dodatek do każdego rodzaju mięs, ryżu, słodyczy, herbaty. Nie ma dania w Iranie, którego nie można by doprawić szafranem. Daje on też piękny kolor ciemnego indyjskiego złota. Odrobina dodana do białego ryżu ożywia go i barwi. Podobno pomaga w leczeniu depresji, co być może wyjaśnia pogodne usposobienie Irańczyków, którzy używają go w przemysłowych ilościach.

Zupa z głową, kopytami i wnętrznościami to baranina dla zaawansowanych.

W całym moim życiu niewiele doświadczeń przebiło smak szafranowych lodów z dodatkiem śmietany i miodu. Najlepsze kupuje się na placu Naqsze Dżahan w Isfahanie, obok wejścia na bazar i dwóch bodajże najbardziej spektakularnych turkusowych meczetów na świecie. Dziś to już nie budka, ale nowoczesna lodziarnia z taśmowym obiegiem klientów, prawie jak McDrive, gdzie przy wejściu się zamawia, następnie wybiera dodatki, płaci i odbiera. (…)

Jeśli chodzi o aromaty irańskich słodyczy, szafran często występuje w duecie z esencją róży. W perskim istnieje powiedzenie: „tylko Bóg jest różą bez kolców". Róża to nie tylko kwiat o symbolice mistycznej doskonałości, stały element perskiej poezji, motyw dekoracyjny w pałacach i me-

FOT. ALEKSANDRA CHROBAK

eprasa.pl 4ddd52fe30

czetach oraz nadużywana ikona tamtejszej popkultury. Róża, *gol-e sorch*, budzi w irańskiej duszy poetycki zapał i przenosi ludzi do innego świata, gdzie króluje piękno i wolność. (…)

Róża jest dla Irańczyków namiastką rajskiego ogrodu. Jej stolica to Kaszan. Irańczycy automatycznie kojarzą to miasto z perfumami i wodą różaną, a dopiero później z tradycyjnymi łaźniami czy domami bogatych kupców z kadżarskich czasów, które obecnie zamieniono w muzeum. Co roku późną wiosną w Kaszanie odbywa się festiwal wody różanej, przypadający po żniwach płatków damasceńskich róż, zwanych lokalnie „mohammadowymi". (…)

Najważniejszym różanym produktem jest bezapelacyjnie *golab*, czyli esencja używana do słodyczy. Każda gospodyni ma go w szafce. Syrop z tego mistycznego kwiatu dodaje egzotyki każdemu deserowi. *Golab* jest niezbędnym składnikiem domowej chałwy i baklawy. Daje intensywny kwiatowy aromat, z którym można łatwo przesadzić. Damasceńska róża ma moc i potrafi kompletnie zdominować nawet szafran. Trzeba pewnej ręki, by zbalansować te smaki.

Setare wraz z siostrą nauczyły mnie, jak szybko ukręcić chałwę właściwie z niczego. Na wielką patelnię wysypałyśmy kilo mąki pszennej, która prażyła się na wolnym ogniu ponad pół godziny, mieszana na zmianę naszymi sześcioma ramionami. Po zbrązowieniu do odcienia cappuccino należy ją od razu zdjąć z ognia. Spalona mąka jest do niczego. Następnie trzeba dodać miód, zaparzony szafran i *golab*. Panie zdawały się to robić na oko z genetycznie wbudowaną miarką. Następie najsilniejsza z nas, czyli ciocia, zakasała rękawy do łokci i poczęła energicznie ugniatać formujące się ciasto. Irańska *halwa* nie jest wysuszonym bloczkiem z orzechów i ziaren sezamu, jak ta turecka. Przypomina żółtą słodką pastę. Słodka, jednocześnie korzenna i kwiatowa, trafia w dziesiątkę, jeśli chodzi o lokalne gusta. Niekiedy dodaje się do niej zabójczo aromatyczny kardamon lub świeże, siekane pistacje. Gotową chałwę przekłada się na małe talerzyki i formuje przy pomocy łyżeczki. (…)

Podstawą żywienia jest chleb nasz codzienny. *Nan* wypieka się w wielkich, buchających ogniem glinianych piecach. Piekarze od późnych godzin nocnych zmagają się żywiołem, aby go okiełznać i jak w pracowni alchemika zmienić roztwór mąki, wody i drożdży w chrupiący chleb. Przyklejają placki ciasta do podniebienia pieca, by po chwili za pomocą żelaznego szpikulca i łopatki sprawnie, jednym ruchem wyciągnąć je z ognistej paszczy. Są trzy podstawowe rodzaje nanu. Spektakularny, trójkątnawy i chrupiący o długości około metra to *sangak*,

Trudno oprzeć się takim wypieczonym cudom.

z wypustkami od pieczenia go na specjalnych kamieniach. Czasem posypuje się go odrobiną sezamu. Jest niezastąpionym towarzyszem ciężkich dań z baraniny. Okrągły i cienki o średnicy pół metra to *taftun*, doskonały do tahdigu, czasami dodaje się do niego szczyptę szafranu. Mały i cieniusieńki jak papier z wypustkami *lawasz* często używa się do street foodu. Można weń świetnie zawijać mały kebab z cebulą i odrobiną pietruszki. Porcja na raz. Nany po wyjęciu z pieca lądują na kratkach i stołach, aby się chwilę odleżeć, najlepiej na świeżym powietrzu.

Tradycyjne piekarnie przewidują dwie kolejki, męską i damską, która jest zawsze krótsza. Noszenie wielkich bochnów chleba to zajęcie wymagające krzepy. Miejskie piekarnie jednak rzadziej bawią się w kolejkowy gender. Zniecierpliwieni klienci okupują dziurę w ścianie, przez którą podaje się gotowe placki. Każdy pcha się po jak najświeższe, jeszcze ciepłe. Trudno się oprzeć takim wypieczonym cudom i często klient podgryza kawałeczek już w drodze do auta. Nikt też nie kupuje jednej sztuki. Chleb to zakup rodzinny, bierze się zatem kilka, kilkanaście na raz, całe naręcze. W domu pieczywo natychmiast się rozparcelowuje. Wydziela się kilka na dany dzień, a resztę tnie się specjalnymi nożyczkami jak papier i pakuje w próżniowe woreczki na później i do tahdigu. Magia nanu ulatnia się wraz z utratą ciepła, najlepiej więc konsumować go prosto z piekarni.

Do chleba nie może zabraknąć herbaty, przynajmniej nie w Iranie. (…) W Iranie produkuje się rodzimą herbatę – w rejonach zielonej północy, tam gdzie ryż. To napój egalitarny. Piją go nadziani właściciele tradycyjnych hoteli w Isfahanie w wypolerowanych mokasynach i staruszkowie w przerwie przy wypasie owiec. Nie można nie podjąć gościa herbatą, nawet jeśli to tylko przygodna znajomość. Herbata to jedno z narzędzi ta'arofu i spoiwo dla nowej przyjaźni. Czaj, jak setka wódki, przełamuje lody. Punktem honoru jest wypicie z przybyszem herbacianego bruderszaftu. Zwykle pija się ten starożytny napój z cukrem w nieregularnych kostkach, który zwie się *qand*. Wkłada się go między wargi i sączy przezeń gorzki czaj.

Tradycyjny Irańczyk nie rusza w podróż bez mocnego naparu. W autobusach, choć raczej tych zwykłych, wypchanych wąskimi siedzeniami, niż w tych w wersji VIP, pasażerowie jeszcze przed zamknięciem drzwi wyciągają szklanki z duraleksu, żeby polać sobie i towarzyszowi. A co dopiero kierowca, z dala od domu i samowaru! Ten ma niedaleko kółka specjalny uchwyt na herbatę, a cukier *qand* w woreczku spoczywa zaraz obok popielniczki. Czaj i papierosek pozwalają kierowcy przetrwać długie godziny na trasie. Po powrocie do domu będzie na niego czekał gorący samowar. Oddana żona i matka dla swoich domowników przygotuje herbatę z kilkoma suszonymi główkami kwiatu róży jako dowód troski i miłości. (…)

Fragmenty książki Aleksandry Chrobak *Fashionistki zrzucają czadory. Moje odkrywanie Iranu*, Znak, Kraków 2018, premiera 18 października

eprasa.pl 4ddd52fe30

Ile MSZ w MSZ? Niewiele…

Tydzień temu pisaliśmy o Jacku Gawryszewskim, który prosto z fotela wiceszefa ABW pojechał na stanowisko ambasadora RP w Chile. I o tym, że cała ta historia ma najpewniej drugie dno, bo to jedyny człowiek ze szczytów ABW, którego „dobra zmiana" nie tylko nie wyrzuciła, ale jeszcze wysłała na placówkę.

À propos Gawryszewskiego, warto zauważyć jeszcze jedną rzecz. Oto przez całe lata ludzie związani z PiS lamentowali, że polska dyplomacja jest przesiąknięta służbami specjalnymi, że rozdają one karty w MSZ i że trzeba zrobić z tym porządek. Tak wołano, dając przy tym do zrozumienia, że tymi, którzy brudzą nieskalane dyplomatyczne kadry, są „złogi" z czasów Polski Ludowej, czyli funkcjonariusze i współpracownicy PRL-owskich służb specjalnych.

O nowych służbach milczano, tak jakby z MSZ nie miały one nic wspólnego.

Okazało sie to bujdą, czego dowodzi prezentowany posłom życiorys Gawryszewskiego. Otóż wstąpił on do UOP jako działacz podziemnych struktur Solidarności w roku 1991. Od tego czasu rozwija się jego kariera. Ale dosyć niekonsekwentnie, bo trochę w Polsce, a trochę za granicą. Czyli na placówkach.

Wiceminister Piotr Wawrzyk dokładnie to powymieniał. „W latach 1999-2000 [Gawryszewski] pracował na stanowisku *attaché* ambasady RP w Tunisie, będąc odpowiedzialnym za bezpieczeństwo przedstawicielstwa oraz za realizację czynności z zakresu pomocy konsularnej. W latach 2000-2005 pracował na stanowisku konsula – I sekretarza ambasady RP w Bogocie. (…) W latach 2007-2008 pracował na stanowisku I radcy ambasady RP w Meksyku, pełniąc w tym okresie funkcję *chargé d'affaires* placówki. Był także odpowiedzialny za realizację czynności konsularnych. W 2009 r. rozpoczął pracę na stanowisku I radcy ambasady RP w Berlinie, gdzie zajmował się m.in. wybranymi aspektami polsko-niemieckiej współpracy w obszarze bezpieczeństwa".

A w roku 2013 został mianowany na stanowisko zastępcy szefa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Od roku 1999 do 2013 zaliczył więc cztery placówki, będąc w tym czasie w kraju tylko w latach 2005-2007. Czyli za rządów PiS. I piastował wówczas stanowisko dyrektora Departamentu Przeciwdziałania Terroryzmowi ABW.

Gdy się patrzy na ten życiorys, widać, że służby specjalne traktują MSZ jak przybudówkę, gdzie średniej rangi funkcjonariusz, i to nie z wywiadu, lecz z ABW, przechodzi z placówki na placówkę. Nic więc od czasów PRL, poza szyldami, się nie zmieniło. A jeśli już – to na gorsze.

Dodajmy jeszcze jedno – często stosowaną zasadą jest, że pewne stanowiska na placówkach przysługują służbom z automatu. Prześledźmy więc, kto zajmował stanowiska Gawryszewskiego przed nim i po nim, i możemy mieć ciekawą analizę. Innymi słowy, na posiedzeniu komisji sejmowej sypnięto parę osób. A może nie?

Na zakończenie aż się prosi o taką konstatację – Jacek Gawryszewski w latach 1999-2013 praktycznie ciągle przebywał poza krajem. W tym czasie oficjalnie pracował w MSZ, a nieoficjalnie – w ABW. A gdy wracał do kraju, najpierw został dyrektorem departamentu, a potem wiceszefem agencji.

Przepraszam, na jakiej podstawie? Czym takim mógł się wyróżnić w Kolumbii czy w Meksyku, jakimi zdolnościami organizacyjnymi, by zaraz proponować mu wiceszefowanie w dużej strukturze?

Ta kariera świadczy też o miałkości ABW i chorej polityce kadrowej.

Attaché

Protest policjantów, strażaków, pograniczników i straży więziennej z 2 października był zdaniem organizatorów największą demonstracją w historii służb mundurowych. Szef MSWiA Joachim Brudziński w „Wiadomościach" skwitował go: „Ten teatr".

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 4ddd52fe30

JOLKA

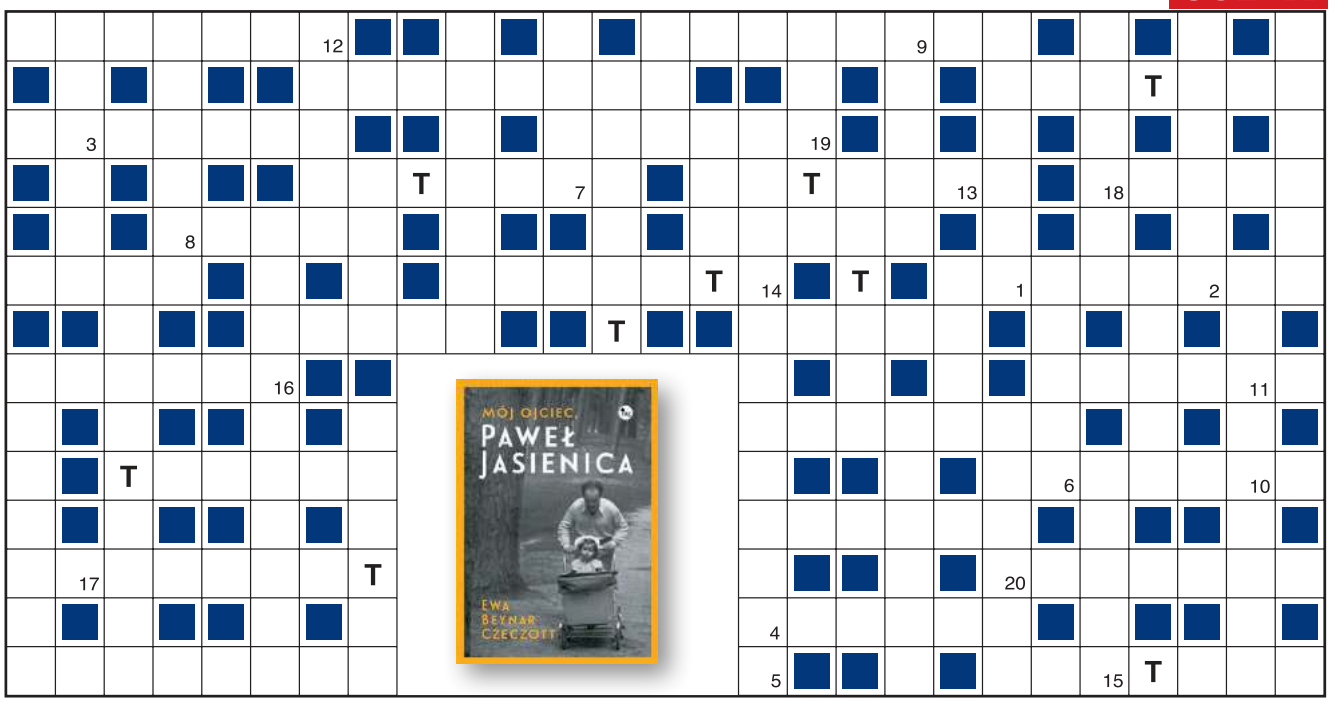

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- buty dla sportowców
- nie dane jej było poślubić Kirkora
- stolica Jordanii
- tempo muzyczne z tytułu piosenki Abby
- Pawlicki lub Królikowski – aktorzy
- wyraz zachwytu widowni
- góra w herbie Armenii
- lasso
- tętnica lub ważny szlak
- kładzie nawierzchnię na jezdni
- …ojca to stryj
- świątynia z ikonostasem
- w jej rodaka się gra
- potrzebny biorcy
- „…wojny według Goi”
- antylopa kanna
- namiastka, surogat
- suszone pokrywa biały nalot cukru
- imię muzyka Zappy
- przydatne w ogródku i piaskownicy
- gremium, grupa
- kraj wyznawców wudu
- przybysz niemile dziś widziany
- imię Brudzińskiego
- o zawodniku reprezentacji kraju
- zespołowe podejmowanie decyzji
- …i kropki w alfabecie Morse'a
- „…Pons”, powieść Balzaka
- cieszą amatora słodyczy
- technik Roman z „Czterdziestolatka”
- imię Szpaka i Ogórka
- ktoś chudy i wątły
- Heidi Klum lub Diane Kruger
- kandydaci wierzą, że wyborcy w nie uwierzą
- pętle sieci, krople tłuszczu
- …bagnetów – pomnik Francuzów poległych pod Verdun
- egzotyczny gatunek storczyka
- dawniej odźwiernym zwany
- obsypuje się z żelastwa
- ciągłe zastępowanie jednych osób drugimi
- wieprzowina na kotlety
- uboczny lub prawny
- umie pisać i czytać w Stumilowym Lesie
- medal dla pokonanego w finale
- reakcja odwrotna do analizy
- tymczasowe schronienie z gałęzi
- winorośli lub Indian
- …i oko w opozycji do czucia i wiary
- owoc większości roślin iglastych
- polska biała zwisłoucha
- np. bezowy, wedlowski
- deklamowany przez malucha
- rodak, krajan
- doktor samozwaniec
- męczy ciągłym narzekaniem

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-878”. Do rozlosowania książki „Mój ojciec, Paweł Jasienica” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 14 października 2018 r.

Rozwiązanie „JOLKI-875” z 23 września: *Uczucie rządzi rozumem.*
Nagrody otrzymują: Henryk Olszewski z Aten, Zbigniew Popielski z Nadarzyna, Krystyna Stefańczyk z Ełku.

eprasa.pl 4ddd52fe30

PENETRACJE

EWA NEGRUSZ-SZĘSNA,
ŻONA PIOTRA

Nad manifestem, który rozrzucił w miejscu spalenia, pracował od marca 2017 r. Taką datę mają pierwsze pliki z tekstem, które zapisały się w jego komputerze. Po śmierci Piotra dotarło do mnie, jak bardzo musiał się bać. Jak bardzo cierpiał. Nie tylko dlatego, że bał się śmierci, ale także dlatego, że musiał nas, najbliższych, oszukiwać. Do wszystkich napisał listy pożegnalne. Krótkie. Zawsze był małomówny. Nie rozlicza się w nich, ale podsumowuje, co było dobre. Jeden list jest do nas wszystkich. Napisał: „Przede wszystkim nie chciałbym, żebyście wy ani ktokolwiek inny uważali, że to, co zrobiłem, to było jakieś załamanie depresyjne. Prawda jest taka, że decyzję podjąłem już parę miesięcy temu, ale po pierwsze, nie spieszyłem się, żeby zobaczyć, jak będzie się rozwijać sytuacja w kraju. A po drugie, ciężko mi było zaakceptować myśl o śmierci. Kocham was i jedyne, czego żałuję, to tego, że zadałem wam taki ból. Mam nadzieje, że wolna Polska wam to wynagrodzi".

STEFAN ZGLICZYŃSKI,
DYREKTOR PUBLIKACJI

Bardzo lubię Roberta Biedronia i Adriana Zandberga. Cenię ich inteligencję, poglądy, humor i refleks polityczny. Jednak nie będę na nich głosował, bo sytuacja polityczna jest zbyt poważna. Poza Inicjatywą Polska żadna partia czy organizacja lewicowa nie wyciągnęły wniosku po klęsce wyborczej 2015 r., kiedy to po raz pierwszy w historii w polskim parlamencie zabrakło przedstawicieli lewicy. Sam się do tego przyczyniłem, głosując na Razem, czego zresztą dziś żałuję.

JOANNA KOS-KRAUZE,
REŻYSERKA

Bywam trudna. Pewnych rzeczy nie akceptuję, mam społecznikowski rys charakteru i czasem, jak mnie coś wkurzy, rodzi się we mnie dzika furia i powiem słowo za dużo. Jak ta Podstolina: „Chyża w dziele, w myśleniu nieprędka". Zawęża mi się tolerancja na to, że ktoś chce mną manipulować, narzucać mi, co mam myśleć. Boję się ludzi, którzy mają misję, mówią innym, jak powinni żyć. Ja tego nie kupuję. Ani łatwych ocen, ani radykalizmu. Z dużo mniejszą śmiałością oceniam dziś cudze życie i wybory.

KAROLINA LEWICKA,
DZIENNIKARKA, TOK FM

Jeżeli mam do siebie o coś pretensję, to że nie krzyczałam jeszcze głośniej, byśmy nie dawali w TVP Info co drugi piątek transmisji z prac zespołu parlamentarnego Antoniego Macierewicza. To był kompletny bełkot. Jacyś pseudoeksperci, mówiący łamaną polszczyzną, przedstawiali niewyraźne zdjęcia i grafiki. A wszystko ciurkiem szło we wszystkich stacjach informacyjnych. W efekcie po kilku latach okazało się, że w zamach w Smoleńsku wierzy co piąty Polak. Pomagaliśmy stworzyć tego Frankensteina.

Ebony and ivory – modelki za kulisami pokazu mody wiosna-lato 2019 w Mediolanie.

FOT. AFP/EAST NEWS

Aby język giętki…

WOJCIECH SMARZOWSKI O WIDZACH
Po raz pierwszy zrobiłem film, który od publiczności również wymaga odwagi.

STEFAN CHWIN O KATOLICYZMIE POLAKÓW
W Polsce nawet ateista jest katolikiem, bo i on ma za sobą pierwszą komunię, co zawsze zostawia w duszy jakiś ślad.

JACEK BRACIAK O SUTANNIE
To bardzo elegancki kostium. W koloratce, tak jak w bryczesach, każdy wygląda dobrze.

JAN MARIA ROKITA O DONALDZIE TUSKU
Jest skrajnym oportunistą. Nigdy nie cenił PO. Ciągle jęczał: „Jezu, znowu muszę do tych matołów gdzieś tam jechać".

ANNA MATERSKA-SOSNOWSKA O ALEKSANDRZE KWAŚNIEWSKIM
Z perspektywy czasu oceniam go coraz lepiej. Jego prezydentura była naprawdę dobra.

ALEKSANDER HALL O ANDRZEJU DUDZIE
Konsekwencja w działaniu i silny charakter nie są jego mocnymi stronami.

PROF. ZBIGNIEW MIKOŁEJKO O KŁAMSTWACH
Ludzie, trochę na własne życzenie, bo łatwiej jest być leniwym umysłowo, niż pracować intelektualnie, stali się bezbronni wobec kłamstwa.

AGNIESZKA RADWAŃSKA O SIOSTRZE URSZULI
Jako nastolatki potrafiłyśmy się pobić o każdą bluzkę. Nie było miło. Zdarzało się, że jedna spała z bluzką pod poduszką, żeby drugiej jej nie dać.

JAN PESZEK O BABCI
Odjeżdżając pociągiem, krzyknęła: Janeczku, pamiętaj, życie jest piękne i krótkie jak pociąg.

OLGA FRYCZ O ZAKUPACH
Uwielbiam lumpeksy, gdzie od lat znajduję superubrania. Teraz buszuję w ciucholandach w poszukiwaniu rzeczy dla dziecka.

EWA WACHOWICZ O DOBRYCH PIEROGACH
Tajemnica tkwi w ciepłej wodzie do ciasta.

eprasa.pl 4ddd52fe30

Bransoletka na słońce

Wynalazek naukowców z Royal Melbourne Institute of Technology ma ostrzegać przed zbyt długim przebywaniem na słońcu. Papierowa bransoletka dzięki pokryciu jej specjalnym tuszem, czułym na promienie UV, sygnalizuje, kiedy jej właściciel zbyt długo przebywa na słońcu i promieniowanie może mu zaszkodzić. Gdy jest bezpieczny, na bransoletce widnieją uśmiechnięte buźki, ale kiedy przebywanie na słońcu się wydłuża, buźki stają się skrzywione. Bransoletki są w kilku wersjach, odpowiednich dla różnych karnacji skóry.

Alarm w foteliku

W Włoszech od lipca przyszłego roku każdy dziecięcy fotelik samochodowy będzie musiał zostać wyposażony w alarm zapobiegający pozostawieniu dziecka w aucie. Będzie on się włączał w momencie, gdy pasy na miejscu dziecka będą zapięte po zgaszeniu silnika. Koszt takiego alarmu to 150-350 euro, a kara za jego brak będzie wynosiła od 81 do 326 euro.

Kara za pszczoły

47-letni sadownik z Karyntii w Austrii został skazany na rok więzienia (z czego na cztery miesiące bezwzględnego osadzenia) za spryskanie drzew owocowych środkiem zabójczym dla pszczół. Sąd podkreślił, że mężczyzna miał duże doświadczenie i uczył innych sadownictwa, a więc nie mógł być nieświadomy skutków swojego działania. Sadownik spowodował śmierć 50 rodzin pszczelich, w każdej było kilkadziesiąt tysięcy owadów.

Coś dla ciała i dla ducha – robot tenisista pokazany w czasie Consumer Electronics Show w Las Vegas oraz robot szachista na konferencji World Artificial Intelligence w Szanghaju.

Niebezpieczne oświadczyny

Linie lotnicze China Eastern Airlines zwolniły stewardessę za to, że narzeczony oświadczył się jej w trakcie lotu. Para otrzymała od pasażerów gromkie oklaski, ale przewoźnik zareagował zupełnie inaczej. Swoją decyzję argumentuje tym, że kobieta była odpowiedzialna za bezpieczeństwo lotu, a zdarzenie spowodowało zagrożenie dla pasażerów.

Szkodliwy pył

Inżynierowie ze Stony Brook University School of Medicine w stanie Nowy Jork zbadali wpływ pyłu księżycowego na organizm ludzki. Okazało się, że nie tylko niszczył on komórki w ciele człowieka, ale przyczyniał się również do uszkodzenia genomu. Pył ten jest niezwykle drobny i naelektryzowany wysokoenergetycznymi cząstkami, które pochodzą ze Słońca. Prawdopodobnie jego wielkość powoduje, że dostaje się on do płuc, a później do krwiobiegu.

Rowerowa autostrada

W Jaworznie otwarto pierwszą w Polsce bezkolizyjną drogę szybkiego ruchu dla rowerów. Velostrada ma 10 km długości i po dwa pasy ruchu w obu kierunkach oraz chodniki dla pieszych. Po drodze rowerzyści przejadą dwoma kładkami oraz tunelem. Na całej długości trasy będzie obowiązywał limit prędkości maksymalnej wynoszący 50 km/godz. Policja ma zamiar prowadzić na niej kontrole trzeźwości i prędkości.

MEMY BEZ ŚCIEMY

Przegląd
„PRZEGLĄD" NA ANTENIE
RDC
Warszawa 101 FM
DAB+

eprasa.pl 4ddd52fe30

OPRACUJ PLAN

Jak zadbać, by cała rodzina korzystała z internetu i urządzeń mobilnych w rozsądny sposób? Amerykańska Akademia Pediatrii zaleca, by stworzyć rodzinny *media plan*.

Plan korzystania z mediów powinien uwzględniać zdrowie, potrzeby edukacyjne i potrzebę zabawy każdego dziecka oraz całej rodziny. Warto w nim ująć:

– pomieszczenia, w których nie można używać urządzeń mobilnych, np. kuchnia, sypialnia;
– pory, kiedy nie można używać urządzeń mobilnych, oglądać telewizji ani korzystać z komputera, np. w czasie posiłków albo przed pójściem spać;
– wspólne oglądanie filmów albo granie w gry wideo – warto korzystać z mediów w taki sposób, by sprzyjały kreatywności i wzmacnianiu relacji w rodzinie;
– ogólne zasady korzystania z urządzeń i sieci, np. „nie korzystamy ze smartfona, kiedy z kimś rozmawiamy", „nie trzymamy telefonu na stole w czasie posiłku", „nie obrażamy innych on-line".

Rodzice mogą także użyć kalkulatora czasu korzystania z mediów dostępnego na stronie www.helthychildren.org. Po odjęciu czasu na sen, szkołę, aktywność sportową, posiłki, kontakty z rodziną itp. można obliczyć, ile czasu pozostaje na różnego rodzaju media.

charaktery magazyn psychologiczny

Na podstawie www.helthychildren.org, www.aap.org.

FOT. FB/NIEŚPIĘWSTAJĘZKOLAN (2), FB/SEKCJAGIMNASTYCZNA, AFP/EAST NEWS (2)

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Kacper Leśniewicz, Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:
Sandra Zawadzka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 4ddd52fe30

Prace Aleksandry Kalisz przedstawiają wybrane fragmenty kobiecych ciał. Artystka koncentruje się na grze świateł i cieni na delikatnych i miękkich formach modelek. Maluje detale dłoni, piersi czy nóg i umiejscawia je w przestrzeniach wypełnionych kolorowymi wzorami, co nadaje obrazom pewną abstrakcyjność. Ukazuje subtelność formy ciała w połączeniu z wyrazistością wzorów, wykorzystując ornamenty kultur Bliskiego Wschodu. Całość emanuje dyskretnym i ulotnym erotyzmem.

Aleksandra Kalisz Un/Covered

Centrum Sztuki Współczesnej Znaki Czasu w Toruniu
Wały gen. Władysława Sikorskiego 13
do 28 października

eprasa.pl 4ddd52fe30

19-21 X 2018

XVII KROKUS JAZZ FESTIWAL

im. Tadeusza „Errolla" Kosińskiego

JELENIA GÓRA

SCENA GŁÓWNA

19.10. 20:00
MACIEJ OBARA QUARTET PL/NOR

20.10. 20:00
AMBROSE AKINMUSIRE QUARTET USA

21.10. 20:00
Q YA VY PL

KONCERTY KONKURSOWE

20–21.10. 12:00
POWIEW MŁODEGO JAZZU

Koncerty zapowiada: Tomasz Tłuczkiewicz

SCENA KLUBOWA Klub KWADRAT

19.10. 22:00
VIBE QUARTET PL

20.10. 22:00
NUSS / GOLDSBY / NUSS DE/USA

21.10. 22:00
PATRYCJUSZ GRUSZECKI TRIO PL

www.krokusjazzfestiwal.pl
www.jck.pl/bilety

Jeleniogórskie Centrum Kultury • ul. Bankowa 28/30 • tel. 75 64 78 884...885

ORGANIZATORZY SPONSORZY FUNDATORZY NAGRÓD PATRONAT MEDIALNY PARTNERZY

eprasa.pl 4ddd52fe30

TEATR CAPITOL

Lars Albaum
& Dietmar Jacobs

Cud

Reżyseria
Andrzej Rozhin

Przekład
Izabela Rozhin

Najgorętsza komedia tej jesieni! · KUP BILET · teatrcapitol.pl

Breszka Lenartowicz Kalus Grzywna Radel Malinowski Fidusiewicz Maciejewski Kowalska Śleszyńska Wróbel

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 4ddd52fe30